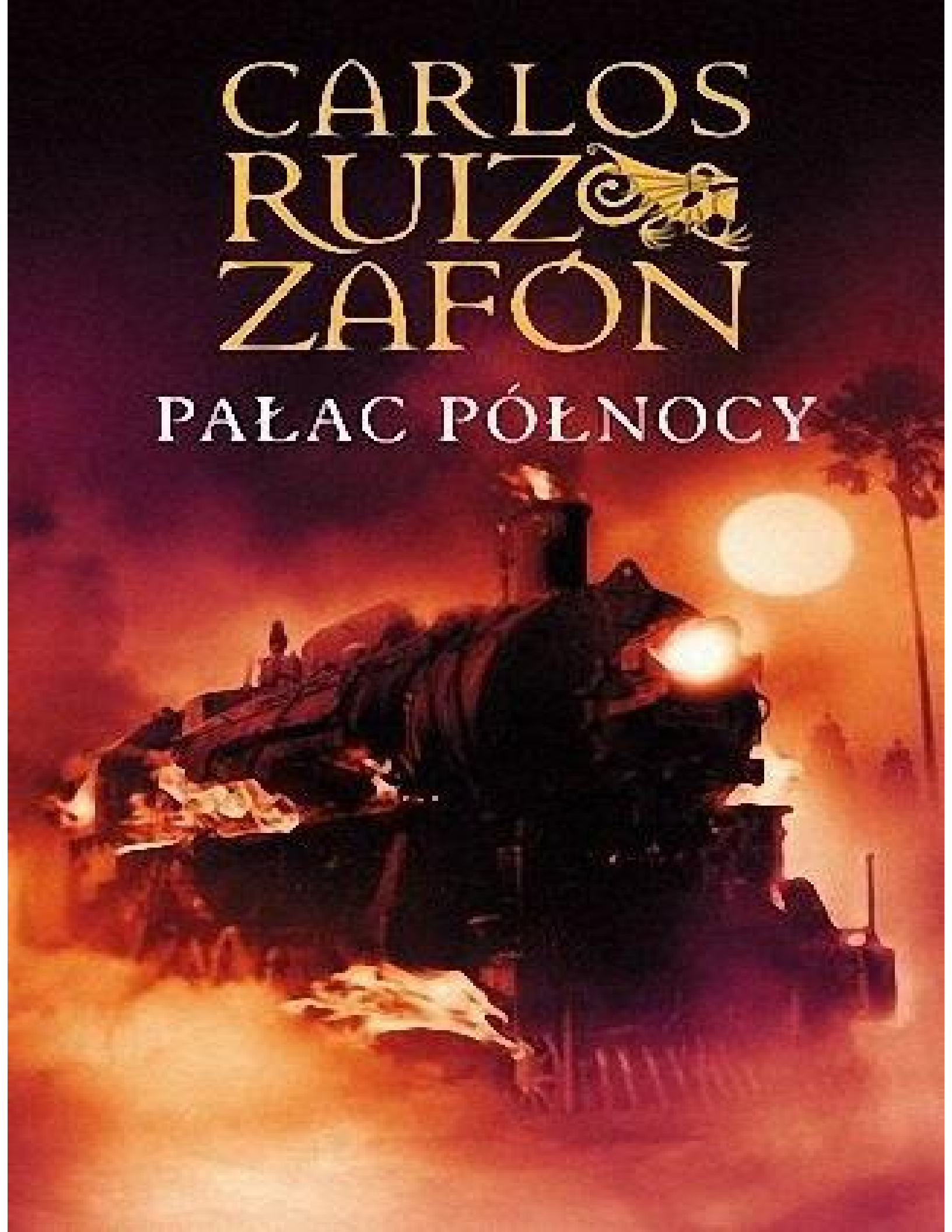


CARLOS
RUIZ
ZAFÓN

PAŁAC PÓENOY



Ruiz Zafón Carlos

Księżę Mgły 02

Pałac Północy

Kalkuta, 1932. Ben, wychowanek sierocińca St. Patrick's, skończył już 16 lat, więc podobnie jak jego przyjaciele będzie musiał

opuścić dom dziecka i rozpocząć dorosłe życie. Tuż przed wyjazdem poznaje Sheere, swoją rówieśniczkę, i zabiera ją do Pałacu Północy na ostatnie spotkanie tajnego stowarzyszenia, które założył wraz z przyjaciółmi.

Gdy dziewczyna opowiada im tragiczną historię swojej rodziny, członkowie stowarzyszenia postanawiają jej pomóc w odnalezieniu legendarnego domu, który pojawia się w opowieści. Nie wiedzą, że właśnie natrafili na trop jednej z najpotworniejszych tajemnic Kalkuty.

Płonący pociąg, dworzec widmo, ognista zjawa - to tylko niektóre elementy makabrycznej lamigłówki, którą przyjdzie im rozwiązać... Misja, która miała być niecodzienną przygodą, niebawem okazuje się śmiertelnie niebezpiecznym wyzwaniem.

Drogi Czytelniku,

Pałac Północy był moją drugą powieścią; ukazał się w Hiszpanii w 1994 roku. Czytelnicy, którzy znają mnie przede wszystkim jako autora *Cienia wiatru* i *Gry anioła*, mogą nie wiedzieć, że moje pierwsze cztery powieści wydano w kategorii literatury młodzieżowej. Choć powstały z myślą o młodziźnie, miałem nadzieję, że przypadną do gustu wszystkim czytelnikom, bez względu na wiek. Przyświecała mi chęć napisania książek, które pragnąłbym przeczytać nie tylko w dzieciństwie, ale również jako nastolatek, młody, dwudziestotrzyletni mężczyzna, czterdziestolatek czy osiemdziesięcioletni starszy pan.

Nadszedł wreszcie czas, gdy po latach trudnych batalii o prawa autorskie książki mogły zostać udostępnione czytelnikom na całym świecie. Mimo że od pierwszego wydania minęło wiele lat, powieści wciąż cieszą się popularnością zarówno wśród młodych, jak i wśród starszych odbiorców, co mnie ogromnie cieszy. Sądzę, że istnieją historie o uniwersalnym wydźwięku, dlatego mam nadzieję, iż dorośli czytelnicy moich późniejszych książek zechcą sięgnąć również po te, które opowiadają o magii, mrocznych tajemnicach i przygodach.

Wszystkim zaś nowym czytelnikom chciałbym życzyć wielu wspaniałych przygód w świecie literatury.

Z życzeniami bezpiecznej podróży,

Carlos Ruiz Zafón

luty 2010

Nigdy nie zapomnę tej nocy, kiedy Kalkutę otulił biały całun śniegu.

Z kalendarza wiszącego w sierocińcu St. Patrick's spadały już ostatnie kartki maja 1932 roku, zabierając w przeszłość jeden z najgorętszych miesięcy w całej historii tego miasta pałaców.

Z dnia na dzień czekaliśmy ze smutkiem i z lękiem na lato, podczas którego mieliśmy skończyć szesnaście lat, co oznaczało nasze rozstanie i rozwiązanie Chowbar Society, sekretnego klubu, który stowarzyszał

tylko siedmiu członków, a zarazem naszego domu, jedyne podczas wielu lat pobytu w sierocińcu.

Tam dorastaliśmy, sami sobie starczając za całą rodzinę i nie mając innych wspomnień niż historie opowiadane sobie po północy przy ognisku rozpalonym na podwórzu starego opuszczonego domu na rogu Cotton Street i Brabourne Road, zrujnowanego budynku nazwanego przez nas Pałacem Północy. Nie wiedziałem wówczas, że to moje ostatnie spotkanie z ulicami, na których dorastałem, i z miejscem, którego zły czar prześladuje mnie do dziś.

Od tamtego czasu nie wróciłem już do Kalkuty, ale zawsze pozostałem wierny przysiędze złożonej w milczeniu w białym deszczu nad brzegiem rzeki Hooghly: że nigdy nie zapomnimy tego, czego byliśmy świadkami. Z upływem lat nauczyłem się skrzętnie gromadzić w pamięci każde najdrobniejsze przeżycie owych dni i zachowywać listy, które dochodziły do mnie z przeklętego miasta, podsycając płomień moich wspomnień.

Dowiedziałem się z nich, że nasz Pałac zburzono, by na jego zgliszczach wybudować biurowiec, i że Mr. Thomas Carter, dyrektor St.

Patrick's, zmarł, przeżywszy ostatnie lata swego życia w ciemnościach, po owym pożarze, który na zawsze zamknął jego oczy.

Czytałem w listach o stopniowym znikaniu miejsc, wśród których upływało wówczas nasze życie. Furia miasta pożerającego samego siebie i fatamorgana czasu w końcu zatarły wszelki ślad po członkach Chowbar Society.

W ten oto sposób, nie mając innego wyboru, musiałem nauczyć się żyć z obawą, że nasza historia z braku narratora przepadnie na zawsze.

Ironia losu sprawiła, że to właśnie ja, osoba najmniej do tego odpowiednia, miałem podjąć się trudu opowiedzenia naszej historii i wyjawienia sekretu, który tyle lat temu połączył nas i zarazem rozdzielił

na zawsze na starym dworcu kolejowym Jheeter's Gate. Wolałbym, by ktoś inny zajął się wydobyciem jej z niepamięci, ale po raz kolejny życie pokazało, iż pisana mi była rola świadka, a nie głównego bohatera zdarzeń.

Przez wszystkie lata zachowałem nieliczne listy Bena i Roshana, dołączając je do dokumentów, które naświetlały los każdego z członków naszego szczególnego stowarzyszenia. Zaglądałem do

tych listów wielokrotnie i nieraz czytałem je na głos w pustelni mego gabinetu. Być może czułem intuicyjnie, że przeznaczone mi było stać się depozytariuszem pamięci całej naszej grupy. Być może rozumiałem, że spośród tych siedmiu chłopców ja zawsze byłem najmniej skłonny do podejmowania ryzyka, niczym się nie wyróżniałem i zachowywałem daleko posuniętą ostrożność, tym samym więc miałem największe szanse przetrwania.

Pomny tej sytuacji, ożywiony nadzieją, że nie zawiedzie mnie pamięć, spróbuję na nowo przeżyć tajemnicze i przerażające zdarzenia owych czterech dni maja 1932 roku.

Nie będzie to zadanie łatwe i proszę czytelników o wyrozumiałość dla wysiłków mego nieudolnego pióra wydobywającego z przeszłości tamto mroczne lato w Kalkucie. Staralem się jak najwierniej zre-konstruować to, co rzeczywiście się zdarzyło, i cofnąłem się pamięcią do wypadków, które miały nieubłaganie przeciąć linię naszego przeznaczenia. Pozostaje mi już tylko zniknąć ze sceny i pozwolić, by przemówiły same zdarzenia.

Nigdy nie zapomnę moich przyjaciół, ich twarzy ściętych przera-

żeniem owej nocy, kiedy w Kalkucie zaczął padać śnieg. Ale zacznę zgodnie z zasadą, którą wpoił mi mój przyjaciel Ben, czyli opowiem rzecz całą od początku...

Powrót ciemności

Kalkuta, maj 1916 roku

Tuż po północy z nocnej mgły unoszącej się nad wodami rzeki Hooghly niczym feter przekleństwa wyłoniła się barka. Na dziobie, w wątłym świetle dopalającego się kaganka zawieszzonego przy maszcie, można było dostrzec sylwetkę mężczyzny owiniętego peleryną, który pracowicie wiosłował w stronę odległego brzegu. Dalej na zachód widać było zarys Fortu William na Maidan, okrytego płaszczem popielatych chmur w świetle ciągnącego się jak okiem sięgnąć bezkresnego całunu latarni i ognisk. Kalkuta.

Mężczyzna, chcąc złapać oddech, znieruchomiał na chwilę i spojrzał na sylwetkę dworca Jheeter's Gate, zacierającą się w ciemności, która zasłaniała przeciwległy brzeg rzeki. Im głębiej łódź zanurzała się w kłęby mgły, tym bardziej budynek dworca ze stali i szkła ginał wśród otaczających go gmachów osiadłych na mieliźnie zapomnianego przepychu. Oczy mężczyzny błąkały się po owej dżungli marmurowych mauzoleów zdewastowanych przez dekady zaniedbania i opuszczenia, po ich gołych ścianach, które furia monsunów wyprała z ochry, niebieskości i złocistości, rozmywając je niczym akwarele gasnące w wodach stawu.

Jedynie pewność, że pozostało mu zaledwie kilka godzin życia, a może nawet mniej, dodawała mu siłę, by nie poddawać się po tym, jak w trzewiach tego przekłętego miejsca opuścił kobietę, której przysiągł, iż będzie jej strzec choćby za cenę własnego życia. Owej nocy, kiedy porucznik Peake ruszał na pokładzie starej barki w swą ostatnią podróż do Kalkuty, każda sekunda jego życia gasła w deszczu, który nadszedł

pod osłoną świtu.

Prowadząc barkę i starając się jak najszybciej dotrzeć do brzegu, porucznik słyszał płacz dwojga niemowląt ukrytych we wnętrzu łodzi.

Odwrócił się i spostrzegł, że światła płynącej w ślad za nim łodzi migotały w odległości zaledwie kilkuset metrów, coraz bliżej. Mógł

wyobrazić sobie uśmiech swego bezlitosnego prześladowcy, który cieszył się już zdobyczą.

Nie zważając na płaczące z głodu i z zimna dzieci, skupił resztkę sił

na tym, by przybić łodzią do brzegu rzeki omywającej niezgłębiony i widmowy labirynt ulic Kalkuty. Wystarczyło dwieście lat, by przeistoczyć gęstą dżunglę rosnącą wokół Kalighatu w miasto, do którego Bóg nigdy nie odważył się wejść.

W kilka minut nad miastem rozpętała się burza z furią niszczycielskiego ducha. Od połowy kwietnia niemal do końca czerwca miasto konało w szponach tak zwanego indyjskiego lata. Znosiło czterdziestostopniowe upały i wilgotność sięgającą poziomu pełnego nasycenia wodą. W ciągu paru chwil, wskutek gwałtownych wyładowań elektrycznych przemieniających niebo w dzieło pirotechniczne, temperatura mogła spaść o trzydzieści stopni.

Lejący się strugami deszcz nie pozwalał widzieć rachitycznych zbutwiałych pomostów chwiejących się nad powierzchnią wody. Peake wiosłował, póki nie poczuł uderzenia dziobu o drewniane nabrzeże rybaków, i dopiero po przycumowaniu skoczył po leżące wewnątrz łodzi dzieci owinięte w koc. Kiedy wziął maluchy na ręce, rozległ się ich płacz, znaczący noc krwawym śladem, który naprowadzał drapieżcę na trop zdobyczy. Peake przycisnął niemowlęta do piersi i zszedł na brzeg.

Poprzez gęstą zasłonę lejącej się wściekle wody można było dostrzec drugą barkę, która powoli zbliżała się do brzegu niby łódź

żałobna. Czując chwytający za gardło strach, Peake rzucił się biegiem w kierunku ulic przylegających do Maidan od południa i zniknął w cieniach części miasta, którą uprzywilejowani mieszkańcy, w większości Brytyjczycy, nazywali Białym Miastem.

Pozostawała mu nadal iskierka nadziei, że zdoła ocalić dzieci, ale dzieliła go jeszcze spora odległość od północnego sektora, w którym znajdował się dom Aryami Bose. Staruszka była jedyną osobą, która mogła mu pomóc. Peake zatrzymał się na chwilę i spojrzał w bezkres ciemności Maidan, szukając odległego blasku niskich latarń rysujących migotliwe gwiazdy w północnej części miasta. Ciemne ulice okryte welonem burzy mogły być jego najlepszą kryjówką. Porucznik mocniej przycisnął dzieci i mszył na wschód, szukając schronienia w cieniu wielkich pałaców w centrum miasta.

Chwilę później ścigająca go czarna barka przybiła do nabrzeża.

Trzech mężczyzn wyskoczyło z łodzi i zacumowało ją. Powoli otworzyły się drzwi kabiny i ciemna postać w czarnym płaszczu zeszła pomostem rzuconym z nabrzeża przez niebacznym na deszcz pomocników. Mężczyzna, znalazłszy się na lądzie, wyciągnął dłoń w czarnej rękawiczce, wskazując

kierunek, w którym zniknął Peake. Na ustach pojawił mu się nikły uśmiech, ale w strugach wody nie mógł tego dostrzec żaden z jego ludzi.

* * *

Bicze deszczu zamieniły ciemną i krętą drogę wijącą się przez Maidan, obok fortecy, w jedno wielkie błotnisto. Peake pamiętał jak przez mgłę, że już kiedyś przedzierał się przez tę część miasta, podczas walk ulicznych pod dowództwem pułkownika Llewelyna, w świetle dnia, na koniu, w szwadronie żołnierzy łaknących krwi. Szydercze przeznaczenie kazało mu teraz przemierzać ów otwarty teren, który lord Clive rozkazał zrównać z ziemią w roku 1758, aby działa z Fortu William mogły strzelać bez przeszkód. Tyle że tym razem to on miał

być zdobyczą.

Porucznik pobiegł desperacko ku alei drzew, czując na sobie spojrzenia kryjących się w mroku milczących strażników - nocnych mieszkańców Maidan.

Wiedział, że nikt nie zajdzie mu drogi, by go napaść i wyrwać mu płaszcz albo dzieci płaczące na jego rękach. Niewidzialni mieszkańcy czuli pozostawianą przez niego woń śmierci i nikt nie ośmieliłby się stanąć jego prześladowcy na drodze.

Peake przeskoczył ogrodzenie dzielące Maidan od Chowringhee Road i ruszył główną arterią Kalkuty. Majestatyczna aleja zbudowana została wzdłuż dawnego szlaku jeszcze trzysta lat temu wiodącego przez dżunglę bengalską na południe, ku świątyni bogini Kali, Kalighat, od której pochodziła nazwa miasta.

Tłocząca się tu zazwyczaj o nocnej porze ciżba schroniła się gdzieś przed deszczem i miasto wyglądało jak wielki opuszczony i zaśmiecony bazar. Peake dobrze wiedział, że ściana wody, która ograniczała widoczność i po zmroku pomagała mu się skryć, mogła w każdej chwili zniknąć, tak jak się pojawiła. Burze, przesuwane się od oceanu ku delcie Gangesu, oddalały się szybko na północ i wschód, zrzuciwszy swój oczyszczający potop nad Półwyspem Bengalskim. Zostawiały za sobą opary mgły i ulice zalane trującymi kałużami, w których, zanurzone po pas, taplały się dzieci, a dwukółki grzęzły niczym osadzone na mieliźnie statki.

Porucznik biegł w stronę północnego krańca Chowringhee Road, póki nie poczuł, że nogi mu słabną i że dźwiga dzieci z coraz większym trudem. Światła północnego sektora miasta migotały zza aksamitnej kurtyny deszczu. Peake nie miał wątpliwości, że długo nie wytrzyma tego tempa, a od domu Aryami Bose dzielił go jeszcze spory kawałek.

Musiał na chwilę przerwać bieg.

Przystanął dla złapania tchu, chroniąc się pod schodami dawnej składnicy towarów bławatnych; ogłoszenia na murach obwieszczały rozbiórkę budynku. Peake miał wrażenie, że chyba dokonywał inspekcji w tym miejscu lata temu w związku z donosem złożonym przez zamożnego kupca. Rzekomo mieściła się tam palarnia opium.

Teraz po chybotliwych stopniach spływała brudna woda, podobna do czarnej krwi broczącej z głębokiej rany. Miejsce wydawało się opuszczone i zdewastowane. Porucznik uniósł dzieci i spojrzał w ich przerażone oczy; niemowlęta już nie płakały, tylko trzęsły się z zimna.

Koc, w który je owinał, był przemoczony. Wziął w swoje dłonie ich malutkie rączki w nadziei, że uda mu się je nieco ogrzać, i poprzez szczeliny między stopniami spojrzał na ulice prowadzące z Maidan.

Nie pamiętał, ilu zabójców wynajął jego prześladowca, ale wiedział, że w bębunku rewolweru pozostały mu już tylko dwie kule, dwa naboje, którymi powinien gospodarować tak, jakby potrafił czarować. Resztę kul wystrzelił w tunelach stacji. Zawinał niemowlęta w mniej przemoczony skraj koca i położył na kawałku suchej ziemi pod niszą w ścianie budynku.

Wyciągnął rewolwer i powoli wyjrzał zza schodów. Wyludniona w swej południowej części Chowringhee Road wyglądała niczym widmowa sceneria oczekująca na początek przedstawienia. Porucznik wyteżył wzrok i rozpoznał smugę dalekich świateł na drugim brzegu Hooghly. Usłyszawszy odgłos szybkich kroków na zalewanym deszczem bruku, natychmiast cofnął się do cienia.

Trzech osobników wyłoniło się z ciemności Maidan - wspomnienia Hyde Parku w sercu tropikalnej dżungli. Ostrza noży błysnęły w półmroku niczym języki płynnego srebra. Peake szybko podniósł dzieci i zaczerpnął powietrza. Wiedział, że gdyby teraz rzucił się do ucieczki, mężczyźni w jednej chwili runęliby na niego jak zgłodniała sfora psów.

Przywarł nieruchomo do ściany magazynu i śledził każdy ruch prześladowców, którzy zatrzymali się i rozglądali, szukając jego śladów.

Trzej płatni mordercy zamienili ze sobą parę niezrozumiałych słów; jeden z nich wskazał gestem, że powinni się rozdzielić. Peake poczuł

ciarki, widząc, że ten, który wydał polecenie, ruszył prosto w stronę jego kryjówki pod schodami. Przez głowę przemknęła mu myśl, że to zapach strachu naprowadzi najemnika.

Zaczął w panice szukać wzrokiem jakiegoś otworu w ścianie pod schodami. Przykląkł przy niszy, w której położył dzieci, i spróbował

obluzować nieco już zmurszałe deski. Drewno, zaatakowane przez wilgoć, ustąpiło bez najmniejszego oporu. Wyziew wydobywający się z piwnicy zrujnowanego budynku przyprawił go o mdłości. Peake obejrzał

się za siebie i zobaczył, że zabójca znajduje się jakieś dwadzieścia metrów od schodów i trzyma w ręku nóż.

Peake owinał niemowlęta własnym płaszczem i przez dziurę w ścianie wczołgał się do środka. Bolesne dźgnięcie parę centymetrów powyżej kolana w jednej chwili sparaliżowało mu prawą nogę.

Drżącymi rękoma obmacał udo i jego palce natrafiły na zardzewiały gwóźdź boleśnie wrzynający się w ciało. Tłumiąc krzyk, chwycił

wystający kawałek zimnego metalu, pociągnął z całej siły i poczuł, jak razem z gwoździem wyrывa kawał skóry, a pomiędzy palców wypływa ciepła krew.

Mdłości i ból zasnuły mu oczy mgłą. Ciężko dysząc, chwycił dzieci i podźwignął się z trudem. Przed nim rozciągała się przedziwna, jakby nierealna hala z setkami pustych regałów, tworzących niknącą w mrokach siatkę. Nie wahając się ani chwili, pobiegł na drugi kraniec składu. Konstrukcja, bliska zawalenia, trzeszczała pod naporem burzy.

* * *

Kiedy Peake, przemierzywszy setki metrów, wyszedł na zewnątrz, ze zdumieniem stwierdził, że znajduje się zaledwie kilkadziesiąt metrów od Tiretta Bazar, jednego z wielu targowisk północnej części miasta.

Podziękował losowi i ruszył krętą plątaniną wąskich uliczek w głąb tej pstrokatej części Kalkuty, w stronę domu Aryami Bose.

W dziesięć minut doszedł do siedziby ostatniej damy z rodziny Bose. Aryami mieszkała sama w starym domu w stylu bengalskim, zasłoniętym ścianą bujnej, zarastającej podwórzec i nietkniętej ludzką ręką roślinności, która przydawała mu wyglądu zapomnianego i niedostępnego ustronia.

Żaden mieszkaniec północnej Kalkuty, okolicy znanej również jako Czarne Miasto, nie ośmieliłby się przekroczyć granicy tego podwórza i wejść na teren posesji Aryami Bose. Budziła w ludziach zarówno szacunek, jak i lęk. W północnej Kalkucie nie było nikogo, kto w jakimś momencie swego życia nie słyszałby o niej i jej rodzie. Miejscowym przypominała ducha: była równie potężna i niewidzialna.

Peake podbiegł do bramy z czarnymi i wysokimi jak lance sztachetami, otwierającej się na dróżkę ujętą z obu stron w krzewy z podwórca, i schodami z popękanego marmuru dostał się do drzwi wejściowych. Przyciskając niemowlęta do siebie, zaczął wolną ręką walić w drzwi z nadzieją, że huk burzy nie zagłuszy jego uderzeń.

Łomotał do drzwi, oglądając się za siebie i wpatrując w bezludne ulice, zdjęty trwogą, że w każdej chwili mogą się pojawić jego prześladowcy. Kiedy wreszcie drzwi ustąpiły, Peake odwrócił się ku wnętrzu. Wpierw oślepiło go światło kaganka, później dotarł do jego uszu niesłyszany od pięciu lat głos, cichutko wymawiający jego imię.

Przesłonił dłonią oczy i dojrzał nieprzeniknioną twarz Aryami Bose.

Kobieta spojrzała mu głęboko w oczy, następnie przeniosła wzrok na niemowlęta. Na jej twarz padł cień bólu. Peake spuścił wzrok.

- Ona nie żyje, Aryami - wyszeptał. - Już nie żyła, kiedy się tam zjawiłem...

Aryami zamknęła oczy i westchnęła głęboko. Peake zrozumiał, że ziściły się najgorsze przeczucia kobiety, trawiące jej duszę niczym pryśnięcie kwasu.

- Wejdz - odezwała się wreszcie, przepuszczając go i zamykając za nim drzwi.

Peake położył niemowlęta, na stole i zdjął z nich przemoczone ubranka. Aryami w milczeniu zawinęła je w suche pieluchy, a Peake dołożył dREW do ognia w kominku.

- Ścigają mnie, Aryami - powiedział Peake. - Nie mogę tu zostać.

- Jesteś ranny - odparła kobieta, wskazując ranę, jaką pozostawił w jego nodze gwóźdź z piwnicy dawnego składu bławatnego.

- To nic takiego, drobne zadrapanie - skłamał Peake. - Nie boli mnie.

Aryami podeszła do niego i wyciągnęła dłoń, by dotknąć jego spoconej twarzy.

- Zawsze ją kochałeś...

Peake uciekł wzrokiem w bok, ku niemowlętom, i nie odpowiedział.

- To mogły być twoje dzieci - powiedziała Aryami. - Może wtedy los byłby dla nich łaskawszy.

- Muszę już iść, Aryami - uciął porucznik. - Nie mogę tu zostać.

Będą mnie ścigać, dopóki mnie nie dopadną.

Wymienili spojrzenia, w których kryło się poczucie przegranej i świadomość, co czeka Peake'a, gdy znajdzie się na ulicach Kalkuty.

Aryami ujęła dłonie porucznika w swoje ręce i ścisnęła je mocno.

- Byłam wobec ciebie niesprawiedliwa - powiedziała. - Bałam się o swoją córkę, bałam się, jakie życie ją czeka u boku brytyjskiego oficera.

Ale myliłam się. Chyba nigdy mi nie przebaczysz.

- To już nie ma najmniejszego znaczenia - odparł Peake. - Muszę iść.

Podszedł do stołu, by ostatni raz rzucić okiem na grzejące się w ciepłe ognia dzieci. Spojrzały nań błyszczącymi i figlarnie uśmiechniętymi oczyma. Były uratowane. Porucznik skierował się ku drzwiom i westchnął głęboko. Po tych kilku chwilach spokoju poczuł

nagle, jak nieubłagane ogarnia go zmęczenie i coraz trudniej znieść mu szarpiący ból w nodze.

Resztkami sił dotarł z dziećmi do tego miejsca, teraz zaś opadły go wątpliwości, czy potrafi przeciwstawić się temu, co go nieuchronnie czekało. Na dworze deszcz wciąż smagał zarośla i nie było ani śladu prześladowcy porucznika i jego zbirów.

- Michael... - odezwała się Aryami za jego plecami.

Młody porucznik zatrzymał się, ale nawet nie spojrzął za siebie.

- Ona wiedziała o tym - skłamała Aryami. - Zawsze o tym wiedziała i jestem przekonana, że do pewnego stopnia odwzajemniała twoje uczucia. Wszystko przeze mnie. Nie chowaj do niej urazy.

Peake pokiwał głową w milczeniu i zamknął za sobą drzwi. Przez chwilę stał w deszczu, po czym, już uspokojony, ruszył przed siebie na spotkanie z prześladowcami. Wrócił tą samą drogą i dotarł do opuszczonego składu, gdzie ponownie zanurzył się w mrok starego budynku, by tam, chroniąc się w jakimś ustronnym miejscu, poczekać.

Ukryty w ciemnościach poczuł, jak wyczerpanie i ból z wolna zlewają się w upajające uczucie osamotnienia i spokoju. Na jego wargach pojawił się cień uśmiechu. Nie odnajdywał już w sobie nadziei ani chęci życia.

* * *

Długie i smukłe palce w czarnej rękawiczce pogłaskały zakrwawiony gwóźdź wystający z połamanej deski przy wejściu do piwnic dawnego składu. Podczas gdy jego ludzie czekali, stojąc za nim, smukły mężczyzna skrywający twarz pod czarnym kapturem powoli uniósł palec wskazujący do ust i zliznął kropelkę ciemnej i gęstej krwi, smakując ją niczym kroplę miodu.

Po chwili odwrócił się ku ludziom, których parę godzin wcześniej wynajął za kilka monet i obietnicę wypłaty reszty po wykonaniu zlecenia, i ruchem głowy wskazał wewnątrz budynku. Trzech zbirów szybko pochyliło się w stronę wyrwy zrobionej przez Peake'a. Człowiek w kapturze uśmiechnął się w ciemnościach.

- Osobliwe miejsce wybrał pan, poruczniku Peake, na miejsce swojej śmierci - szepnęła.

Ukrywszy się za stosem pustych skrzyń we wnętrzu piwnicy, Peake śledził trzy sylwetki wślizgujące się do podziemi i choć nie mógł ze swego miejsca dojrzeć ich zleceńodawcy, był pewien, że stoi tam, przy ścianie, na zewnątrz. Czuł jego obecność. Wyjął rewolwer i tłumiąc dźwięk przemokniętą peleryną, przekręcił bębenek, tak by jeden z pocisków gotów był do wystrzelenia. Nie miał już nic przeciwko temu, żeby umrzeć, ale nie zamierzał wybierać się na tamten świat w pojedynkę.

Adrenalina wypełniająca jego żyły usmierzyła rwący ból nad kolanem, przeistaczając go w głucho i dalekie pulsowanie. Zaskoczony swoim własnym spokojem i opanowaniem, Peake raz jeszcze się uśmiechnął i czekał nieruchomo. Patrzył, jak trzej mężczyźni z wielką ostrożnością posuwają się wzdłuż pustych regałów i stają kilkanaście metrów od niego. Jeden z nich uniósł rękę na znak, żeby się zatrzymali, drugą wskazywał coś na podłodze. Peake uniósł rewolwer, celując w nich, i lekko dotknął spustu.

Na kolejny znak mężczyźni rozdzielili się. Dwóch z nich zaczęło podchodzić ostrożnie do stosu skrzyń, trzeci zaś ruszył prosto w stronę Peake'a. Porucznik odczekał chwilę, a następnie pchnął ku następnikowi kolumnę skrzynek. Skrzynie zwały się, a w tym czasie Peake skoczył

w stronę wylomu w ścianie, przez który wszyscy weszli.

Jeden z najemników przeciął mu drogę i wyciągnął nóż. Ostrze błysnęło tuż koło jego twarzy, ale zanim bandyta zdążył zamachnąć się ponownie, Peake przystawił mu lufę do szyi.

- Rzuć nóż - wycodził.

Mężczyzna, widząc lodowaty wzrok porucznika, posłusznie wykonał rozkaz. Peake chwycił go za włosy i nie odrywając rewolweru od szyi, odwrócił się ku pozostałym bandytom, zasłaniając się zakładnikiem jak żywą tarczą. Dwaj najemnicy zbliżyli się do niego, czujni na każdy jego ruch.

- Poruczniku, daruj sobie tę scenę i oddaj nam to, czego szukamy -

usłyszał za plecami znajomy głos. - Ci ludzie to zacni ojcowie rodzin.

Peake zwrócił wzrok ku zakapturzonemu mężczyźnie, który stał

parę metrów od niego i się uśmiechał. Kiedyś, nie tak znów dawno, zaczął w tej twarzy dostrzegać twarz przyjaciela. Teraz z trudem rozpoznawał w niej twarz swego zabójcy.

- Jawahala, wiesz dobrze, że nie zawaham się strzelić mu w łeb -

jęknął Peake.

Jego zakładnik zamknął oczy, drżąc. Mężczyzna w kapturze powoli skrzyżował ręce i ciężko westchnął.

- Proszę bardzo, jeśli ma ci to sprawić przyjemność, poruczniku -

powiedział - ale i tak stąd nie wyjdiesz.

- Ja nie żartuję - powiedział Peake, wbijając lufę rewolweru w podbródek najemnika.

- Oczywiście, poruczniku - przytaknął Jawahala pojednawczo. -

Strzelaj, jeśli starczy ci odwagi, żeby zabić człowieka z zimną krwią i bez zgody Jego Królewskiej Wysokości. Albo oddaj broń, a wtedy będziemy mogli dojść do porozumienia korzystnego dla obu stron.

Dwaj uzbrojeni zabójcy stali nieruchomo, gotowi na znak mężczyzny w kapturze w każdej chwili rzucić się na Peake'a. Porucznik się uśmiechnął.

- Zgoda - odezwał się w końcu. - A co powiesz na takie porozumienie?

Pchnął zakładnika na ziemię i wycelował rewolwer w mężczyznę w kapturze. Po piwnicy rozniosło się echo wystrzału. Z chmury dymu wyłoniła się otwarta dłoń w rękawiczce. Peake'owi wydało się, że widzi, jak zmiażdżony pocisk błyszczy w półmroku, roztapiając się z wolna w niteczkę płynnego metalu, która spływa pomiędzy smukłych palców niczym garść piasku.

- Pudło, poruczniku - odezwał się człowiek w kapturze. - Proszę jeszcze raz spróbować, ale tym razem z bliższej odległości.

Błyskawicznie chwycił za przegub dłoni, w której Peake trzymał rewolwer, i przystawił lufę broni porucznika do swojego czoła.

- Nie uczyli cię tego w akademii? - syknął.

- Był czas, kiedy byliśmy przyjaciółmi - odparł Peake.

Jawahal uśmiechnął się z pogardą.

- Ten czas już minął, poruczniku - rzucił.

- Niech mi Bóg wybaczy - szepnął Peake, ponownie naciskając spust.

Przez chwilę, która wydała mu się wiecznością, Peake patrzył, jak kula przebija głowę Jawahala i rozrywa kaptur. Przez ranę w lodowato uśmiechniętej twarzy zaczęło przeświecać światło. Po kilku sekundach dymiąca dziura wyrwana przez pocisk powoli się zrosła. Peake poczuł, jak rewolwer wypada mu z dłoni.

Rozjarzone oczy jego przeciwnika wbiły się w jego oczy, a z ust wychynął długi czarny język.

- Jeszcze tego nie rozumiesz, poruczniku, prawda? Gdzie są dzieci?

To nie było pytanie, to był rozkaz.

Peake pokręcił głową oniemiały z przerażenia.

- Sam tego chciałeś.

Jawahal ścisnął jego rękę i Peake poczuł, jak tamten miażdży mu kości. Padł na kolana, nie mogąc z bólu złapać tchu.

- Gdzie są dzieci? - powtórzył Jawahal.

Peake usiłował coś powiedzieć, ale piekący żar, który bił od krwawiącej ręki, sparaliżował mu język.

- Chcesz coś powiedzieć, poruczniku? - spytał Jawahal, klękając przy nim.

Peake kiwnął głową.

- I bardzo słusznie - uśmiechnął się jego wróg. - Powiem szczerze, że twoje cierpienie wcale mnie nie bawi. Pomóż mi je ukrócić.

- Dzieci umarły - wyjęczał Peake.

Zdołał dostrzec na twarzy Jawahala grymas zniechęcenia.

- Nie, nie. Do tej pory szło ci nieźle, nie psuj tego teraz.

- Umarły - powtórzył Peake.

Jawahal wzruszył ramionami i skinął powoli głową.

- Sam tego chciałeś - oznajmił. - Nie pozostawiasz mi wyboru. Ale zanim odejdziesz, pozwól, że ci przypomnę: kiedy życie Kylian było w twoich rękach, nie potrafiłeś zrobić nic, żeby ją uratować. Tacy ludzie jak ty przyczynili się do jej śmierci. Ale ich dni dobiegły kresu. A ty jesteś ostatnim z nich. Przyszłość należy do mnie.

Peake spojrzał na Jawahala błagalnym wzrokiem i dostrzegł, jak jego źrenice okolone dwoma żółtymi kręgami z wolna zwężają się, zanikając niemal w wąziutkich szczelinach. Mężczyzna uśmiechnął się i zaczął z największą delikatnością zdejmować rękawiczkę zakrywającą prawą dłoń.

- Niestety, nie dożyjesz chwili, kiedy będziesz mógł zobaczyć to na własne oczy - dodał Jawahal. - I przestań się łudzić, że twój bohaterski wyczyn do czegoś doprowadzi. Jesteś skończonym głupcem, poruczniku Peake. Zresztą zawsze miałem cię za głupca, a tuż przed śmiercią tylko mnie w tym przeświadczeniu utwierdzasz. Mam nadzieję, że istnieje piekło wyłącznie dla głupców, Peake, bo tam właśnie zaraz cię pošlę.

Peake zamknął oczy i usłyszał syk płomieni tuż przy swojej twarzy.

A po chwili, nieskończenie długiej, poczuł, jak na jego szyi zaciskają się płonące palce i gaszą ostatni oddech. Z oddali zaś dochodził go stukot owego przeklętego pociągu i nieludzkie krzyki setek dzieci ogarniętych płomieniami. Później nastąpiła ciemność.

* * *

Aryami Bose obeszła cały dom, gasząc jedną po drugiej wszystkie świece rozjaśniające jej sanktuarium. Pozostawiła jedynie blade światło ognia, rzucającego na gołe ściany ulotne blaski. Niemowlęta spały już w ciepłe kominka, a grobową ciszę panującą w całym domu zakłócał

jedynie trzask ognia i bębnienie kropel deszczu o zamknięte okiennice.

Po twarzy Aryami popłynęły nieme łzy, gdy wydobyta spośród najdroższych jej sercu pamiątek, składanych w kufierku z brązu i kości słoniowej, fotografię swojej córki Kylian.

Zdjęcie to zrobił stary, pochodzący z Bombaju wędrowny fotograf, jeszcze przed ślubem Kylian, i nie chciał za nie zapłaty. Na fotografii Kylian wyglądała właśnie tak, jak ją Aryami zapamiętała: spowita owym dziwnym blaskiem, który zdawał się z niej emanować, oczarowując wszystkich, również zawodowego fotografa. To właśnie on obdarzył ją przydomkiem, który do niej przylgnał: Księżniczka Światła.

Kylian oczywiście nigdy nie była prawdziwą księżniczką, a jej jedynym królestwem były ulice, na

których dorastała. Kiedy opuszczała siedzibę rodu Bose, by rozpocząć nowe życie u boku małżonka, mieszkańcy Machuabazaar żegnali ją ze łzami w oczach, odprowadzając wzrokiem białą karetę, która uwoziła na zawsze księżniczkę Czarnego Miasta. Była jeszcze dziewczynką, gdy zrzędzeniem losu wyjechała stąd, by już nigdy nie wrócić.

Aryami usiadła obok niemowląt przy kominku i przycisnęła starą fotografię do piersi. Burza znowu dała o sobie znać. Fala gniewu wypowiedziała Aryami, co powinna teraz zrobić. Prześladowca Peake'a na pewno nie poprzestanie na zamordowaniu go. Dzięki odwadze i poświęceniu porucznika zyskała cenne minuty, których żadną miarą nie mogła teraz roztrwonić, nawet oplakując pamięć córki. Wiedziała z doświadczenia, że przyszłość pozostawi jej aż nadto czasu, by żalić się nad błędami popełnionymi w przeszłości.

* * *

Odłożyła fotografię do kuferka i wzięła medalion, który poleciła wybić dla córki lata temu; Kylian nigdy nie założyła tego klejnotu.

Medalion składał się z dwóch wykonanych ze złota kręgów, symbolizujących słońce i księżyc, tak do siebie dopasowanych, iż stanowiły jedną część. Nacisnęła środek medalionu. Części rozłączyły się. Ujawszy każdą z części za złoty łańcuszek, powiesiła je osobno na szyjach niemowląt.

Wciąż zastanawiała się, co powinna zrobić. Wyglądało na to, iż jedynym sposobem ocalenia dzieci było ich rozdzielenie, zatarcie ich przeszłości i ukrycie tożsamości zarówno przed światem, jak i przed nimi samymi, nawet gdyby niosło to z sobą ból. Niemowlęta nie mogły być razem, bo wcześniej czy później prawda wyszłaby na jaw. Takiego ryzyka nie mogła ponosić żadną miarą. I nie miała wyjścia. Ostateczną decyzję musiała podjąć przed świtem.

Wzięła niemowlęta na ręce i pocałowała każde z nich delikatnie w czoło. Poczowała, jak maleńkie rączki głaszczą ją po twarzy, paluszki dotykają spływających jej po policzkach łez, a pogodne oczy wpatrują się w nią niczego nieświadome. Jeszcze raz mocno przytuliła dzieci, po czym położyła je w maleńkiej, naprędce przygotowanej kołysce.

Następnie siadła przy świetle kaganka i sięgnęła po skrawek papieru i pióro. Przyszłość wnuków była teraz w jej rękach. Głęboko westchnęła i zaczęła pisać. Słyszała dobiegający z daleka coraz cichszy odgłos słabnącego deszczu i rumor burzy, która oddalała się ku północy, by ustąpić nieba bezkresnej powłoce gwiazd.

* * *

Thomas Carter, przeżywszy pięćdziesiąt lat, z czego trzydzieści trzy w Kalkucie, był święcie przekonany, że nic go już w tym mieście nie zaskoczy. Rankiem owego majowego dnia 1916 roku, po jednej z najgwałtowniejszych burz - poza porą monsunów - jakie pamiętał, niespodzianka znalazła się pod drzwiami sierocińca w postaci koszyczka z niemowlęciem i opieczętowanego listu adresowanego do niego osobiście.

Niespodzianka była podwójna. Po pierwsze, nikt w Kalkucie nie zadawał sobie trudu, by podrzucać

niemowlęta pod drzwiami sierocińca; do tego wystarczył przecież byle zaułek, śmietnisko lub studnia. Tym bardziej zaś - to po drugie - nikt nie zawracał sobie głowy pisaniem listów rekomendacyjnych takich jak ten, podpisanych w dodatku prawdziwym, bez najmniejszych wątpliwości, imieniem i nazwiskiem.

Carter zdjął okulary, by popatrzeć na nie pod światło, następnie chuchnął na każde ze szkieł osobno i przetaił je mocno sfatygowaną chusteczką z surowej bawełny, której używał wyłącznie do tego celu co najmniej dwadzieścia pięć razy dziennie, trzydzieści pięć zaś podczas indyjskiego lata.

Niemowlę leżało teraz w znajdującej się na parterze sypialni naczelnej pielęgniarki, Vendeli, odpoczywając pod jej czujnym okiem, przebadane przez doktora Woodwarda, wyrwanego ze snu tuż przed świtem bez jakichkolwiek wyjaśnień prócz odwołania się do przysięgi Hipokratesa.

Stan dziecka był ogólnie dobry. Poza pewnymi oznakami odwodnienia nic nie wskazywało na to, by niemowlę dotknięte było jakąś zarazą, jedną z wielu, jakie w tym mieście odbierały życie tysiącom podobnych mu istot, nie pozwalając im osiągnąć wieku, w którym wymawia się imię matki. Przy dziecku znaleziono jedynie medalion ze złota w kształcie słońca, który Carter trzymał teraz w palcach, i ów list, który jeśli rzeczywiście był autentyczny - a trudno mu było znaleźć argumenty przeciwko tej tezie - stawiał go w kłopotliwej sytuacji.

Carter schował medalion do szuflady biurka i zamknął ją na klucz, po czym kolejny raz przeczytał adresowany do siebie list.

Wielce szanowny Panie,

wskutek tragicznych okoliczności i przez wzgląd na łączącą Pana z moim zmarłym mężem, trwającą ponad dziesięć lat przyjaźń zmuszona jestem prosić Pana o pomoc. W tamtych czasach małżonek mój nie szczędził słów podziwu dla pańskiej szlachetności i nadzwyczajnej spolegliwości. Dlatego dzisiaj błagam, by potraktował Pan jak najpoważniej moją prośbę, choćby się Panu zdała osobliwa, i postarał

się ją spełnić w jak największej tajemnicy.

Dziecko, które zmuszona jestem Panu oddać, straciło rodziców z rąk mordercy, który poprzysiągł sobie, iż zgładzi zarówno ich samych, jak i ich potomstwo. Nie mogę, a i chwila po temu nie jest najszcześniejsza, wyjawić Panu, jakimi kierował się pobudkami. Dość, że odnalezienie dziecka musi być zachowane w jak największej tajemnicy i że pod żadnym pozorem nie może Pan poinformować o tym policji lub też władz brytyjskich, gdyż i tu, i tam morderca ma kontakty z ludźmi, którzy nie zawahają się natychmiast mu o tym donieść.

Z oczywistych powodów nie mogę zatrzymać dziecka u siebie, nie narażając go na los, jaki spotkał jego rodziców. Dlatego błagam, by zaopiekował się Pan nim, nadał mu imię i wychował je zgodnie ze szczytnymi zasadami prowadzonej przez siebie placówki, czyniąc w przyszłości człowiekiem równie szlachetnym i prawym, jak jego rodzice.

Jestem świadoma tego, że chłopiec nigdy nie będzie mógł poznać swojej przeszłości, ale to sprawa

życia i śmierci, więc niech tak zostanie.

Nie mam zbyt wiele czasu, by podzielić się z Panem szczegółami, więc tylko raz jeszcze przypomnę Panu o przyjaźni i zaufaniu, którymi darzył Pana mój małżonek, by po części usprawiedliwić moją prośbę.

Będę również wdzięczna, jeśli po przeczytaniu tego listu zniszczy go Pan, jak również wszystko, co mogłoby naprowadzić na ślad dziecka.

Boję się nad tym, że nie mogę osobiście przedłożyć swojej prośby, ale nie pozwala mi na to powaga sytuacji.

Ufając, iż zdoła Pan podjąć odpowiednią decyzję, proszę przyjąć wyrazy dozgonnej wdzięczności.

ARYAMI BOSE

Pukanie do drzwi wyrwało Cartera z lektury. Zdjął okulary, złożył starannie list i schował do szuflady biurka, po czym zamknął ją na klucz.

- Proszę - odezwał się.

Vendela, naczelną pielęgniarką sierocińca St. Patrick's, zajrzała do gabinetu. Jej twarz miała jak zwykle nieodmiennie surowy i nieprzystępny wyraz, a spojrzenie nie wróżyło niczego dobrego.

- Jakiś pan chce się z panem widzieć - powiedziała sucho.

Carter uniósł brwi.

- A czego chce?

- Nie raczył zapoznać mnie ze szczegółami - odparła pielęgniarka, ale sądząc z miny, intuicja podpowiadała jej, że owe szczegóły są mocno podejrzane.

Po chwili wahania zdecydowała się przekroczyć próg i weszła do pokoju, zamykając za sobą drzwi.

- Wydaje mi się, że chodzi o chłopca - dodała, nie kryjąc niepokoju.

- Nic nie powiedziałam.

- Rozmawiała pani z kimś jeszcze? - spytał Carter.

Vendela przecząco pokręciła głową. Carter schował klucz od biurka do kieszeni spodni.

- Mogę mu powiedzieć, że pana nie ma - zaproponowała Vendela.

Carter przez chwilę rozważał tę myśl. W końcu doszedł do wniosku, że jeśli podejrzenia Vendeli są uzasadnione (a zazwyczaj tak było), unikanie spotkania z przybyszem jedynie potwierdzi wrażenie, iż

St.

Patrick's ma coś do ukrycia. Decyzja dojrzała w nim szybko.

- Nie. Przyjmę go. Proszę go wpuścić i przypilnować, żeby nikt z personelu z nim się nie spotkał. Sprawa wymaga absolutnej dyskrecji.

Dobrze?

- Oczywiście.

Słuchając odgłosu oddalających się korytarzem kroków Vendeli, kolejny raz czyścił okulary i uprzytamniał sobie, że krople deszczu znów natarczywie zaczynają sieć o szyby okien.

* * *

Mężczyzna ubrany był w długi czarny płaszcz, głowę miał zaś owiniętą w turban, na którym można było podziwiać ciemny medalion w kształcie węża. Zachowanie i ogłada wskazywałyby na zamożnego kupca z północnej dzielnicy Kalkuty, rysy były niewątpliwie hinduskie, choć cera ujawniała niemal chorobliwą bladość kogoś, kogo nigdy nie dosięgły promienie słoneczne.

Narodzona na ulicach Kalkuty mieszanina ras powstała ze spotkania Bengalczyków, Ormian, Żydów, Anglików, Chińczyków i wielu innych niezliczonych grup przybyłych tu w poszukiwaniu bogactwa lub schronienia. Twarz przybysza mogła reprezentować którąś z owych grup etnicznych albo i żadną z nich.

Podając tacę z dwiema filiżankami przygotowanej przez Vendelę herbaty, Carter poczuł na swoich plecach badawczy, przeszywający go niemal wzrok.

- Proszę, niech pan spocznie - zwrócił się uprzejmie do nieznanego. - Słodzi pan?

- Obojętne.

W głosie nieznanego nie słyhać było żadnego specyficznego akcentu. Carter przełknął ślinę, ułożył wargi do uśmiechu i odwrócił się do gościa, trzymając w ręce filiżankę. Palce w czarnej rękawiczce, długie i ostre niczym szpony, chwyciły zdecydowanym ruchem gorącą porcelanę. Carter zajął miejsce w swoim fotelu i zaczął powoli mieszać posłodzoną herbatę.

- Przykro mi, że niepokoję pana o tej porze, panie Carter.

Wyobrażam sobie, że ma pan sporo zajęć na głowie, więc postaram się nie rozwodzić za bardzo - podjął rozmowę mężczyzna.

Carter skinął uprzejmie głową.

- Wobec tego jaki jest cel pańskiej wizyty, panie...? - zaczął Carter.

- Nazywam się Jawahal - przedstawił się nieznamy. - Od razu przystąpię do rzeczy. Być może będzie pan zdziwiony moim pytaniem, ale chciałbym wiedzieć, czy ostatniej nocy lub też w ciągu dzisiejszego dnia nie zostało znalezione dziecko, kilkudniowe niemowlę?

Carter ściągnął brwi, przywołując na twarz wyraz możliwie najbardziej szczerego zaskoczenia. Ani zbyt oczywisty, ani nazbyt subtelny.

- Dziecko? Przepraszam, ale chyba nie rozumiem.

Mężczyzna, który przedstawił się jako Jawahal, uśmiechnął się szeroko.

- Zaraz panu wytłumaczę. Nie bardzo wiem, od czego miałbym zacząć. Sprawa jest nieco ambarasująca. Zdaję się całkowicie na pańską dyskrekcję.

- Może pan mi zaufać, panie Jawahal - pospieszył z zapewnieniem Carter, popijając łyk herbaty.

Mężczyzna, który jeszcze nie spróbował swojej herbaty, rozsiadł się wygodniej w fotelu, najwyraźniej odprężony, i przystąpił do wyjaśnień.

- Jestem właścicielem poważnego przedsiębiorstwa tekstylnego na północy miasta - poinformował - i, jak to się mówi, człowiekiem dobrze sytuowanym. Niektórzy uważają mnie za bogacza, i nie można odmówić im racji. Ode mnie zależy sytuacja materialna wielu rodzin i prawdziwy to dla mnie zaszczyt, iż w miarę możliwości mogę im pomagać.

- Wszyscy staramy się robić co w naszej mocy, tak to już jest -

wtrącił Carter, nie odrywając wzroku od czarnych i nieprzeniknionych oczu.

- Oczywiście - odparł nieznamy. - Do pana zacnej placówki sprowadziła mnie dość krępująca i przykra sprawa, którą chciałbym rozwiązać bez zbędnej zwłoki. Jakiś czas temu dziewczyna, która pracuje w jednym z moich zakładów, urodziła dziecko. Ojcem dziecka jest najprawdopodobniej anglohinduski wałkoń, który bywał u niej, ale którego miejsce pobytu jest nieznane od czasu, gdy dowiedział się, że dziewczyna zaszła w ciążę. Jej rodzina pochodzi ponoć z Delhi, rygorystycznie przestrzega nakazów islamu i o całej sprawie nie miała najmniejszego pojęcia.

Carter pokiwał głową ze smutkiem, wyrażając współczujące ubolewanie.

- Dwa dni temu dowiedziałem się od jednego z moich zarządców, że dziewczyna w przystępie szaleństwa uciekła od krewnych, u których mieszkała, żeby, zdaje się, sprzedać dziecko - kontynuował Jawahal. -

Proszę jej nie potępiać, to porządna dziewczyna, ale nie wytrzymała presji. Nie ma się czemu dziwić. Ten kraj, zresztą tak samo jak pański, panie Carter, nie jest zbyt tolerancyjny wobec ludzkich słabości.

- I sądzi pan, że dziecko znajduje się tutaj, panie Jahawal? - zapytał

Carter, usiłując schwycić nitkę ponownie prowadzącą do kłębka.

- Jawahal - poprawił gość. - Muszę przyznać, iż gdy dotarli do mnie wieści o tych zdarzeniach, poczułem się w pewnej mierze odpowiedzialny. Mimo wszystko dziewczyna pracowała u mnie. Z

kilkoma zaufanymi ludźmi udaliśmy się do miasta na poszukiwania i zdołaliśmy się wywiedzieć, że dziewczyna sprzedała dziecko jakiemuś nikczemnemu kryminaliście, który przysposabia dzieci do żebraniny.

Smutna i godna ubolewania to praktyka, ale taka już jest ta nasza rzeczywistość. Odnaleźliśmy go, ale z przyczyn, które nie czas teraz wyjaśniać, zdołał nam uciec. To wydarzyło się ostatniej nocy w pobliżu sierocińca. Mam powody przypuszczać, że ze strachu przed tym, co ewentualnie miałyby go czekać, ów typ mógł porzucić dziecko nieopodal.

- Rozumiem - stwierdził Carter. - A czy powiadomił pan o tych zdarzeniach odpowiednie władze lokalne? Handel dziećmi, jak dobrze pan wie, jest surowo karanym przestępstwem.

Nieznajomy skrzyżował ręce na piersi i westchnął.

- Miałem nadzieję, że uda mi się rozwiązać sprawę, nie uciekając się do tak drastycznych kroków - odparł. - Szczerze mówiąc, gdybym to uczynił, wydałbym dziewczynę, a dziecko skazał na chowanie się bez matki i ojca.

Carter wnikliwie przeanalizował w myślach historię opowiadaną przez nieznajomego, powoli, kilkakrotnie potakując głową na znak zrozumienia. Nie wierzył w ani jedno jego słowo.

- Przykro mi, że nie mogę panu pomóc, panie Jawahal. Niestety, nie znaleźliśmy żadnego dziecka i nie dotarła do nas jakakolwiek informacja, aby w naszej okolicy zdarzyło się coś podobnego - wyjaśniał

Carter. - Niemniej, jeśli zostawi mi pan swój adres, to w przypadku otrzymania jakiegokolwiek wieści natychmiast pana powiadomię, aczkolwiek obawiam się, iż jeśli jakieś dziecko zostanie podrzucone do tego przytułku, zmuszony będę poinformować odpowiednie władze.

Takie obowiązują mnie przepisy.

Mężczyzna przez chwilę spoglądał w milczeniu na Cartera. Ani razu nie mrugnął. Carter wytrzymał jego spojrzenie, nie przestając się uśmiechać, choć czuł, jak ściska go w żołądku, a tętno przyspiesza coraz bardziej, jakby miał naprzeciw siebie węża, który szykuje się do ataku.

Nieznajomy jednak uśmiechnął się serdecznie i wskazał na siedzibę władz brytyjskich, Raj Bhawan, pałacowy budynek, widoczny w oddali w strugach deszczu.

- Brytyjczycy w sposób godny podziwu przestrzegają prawa i przynosi to wam zaszczyt. Czyż to nie lord Wellesley postanowił

przenieść siedzibę rządu w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym dziewiątym do tego wspaniałego

gmachu, by podnieść rangę ustanawianych przez niego praw? A może było to w roku tysiąc osiemsetnym? - spytał Jawahal.

- Obawiam się, że nie jestem znawcą historii lokalnej - odparł

Carter zdezorientowany osobliwym zwrotem rozmowy.

Gość zmarszczył brwi na znak łaskawej i wyrozumiałej dezaprobaty wobec zadeklarowanej ignorancji.

- Kalkuta liczy sobie zaledwie dwieście pięćdziesiąt lat i jest tak dalece pozbawiona historii, że możemy chociaż poznać to, co jest, panie Carter. Wracając do tematu, sądzę jednak, że było to w roku tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym dziewiątym. A zna pan przyczyny przeniesienia? Gubernator Wellesley powiedział, że Indie powinny być rządzone z pałacu, a nie z budynku dla buchalterów; kierując się ideami księcia, a nie kupca korzennego. Konkretna wizja rządzenia, można by rzec.

- Bez wątpienia - przytaknął Carter, wstając z zamiarem pożegnania dziwnego gościa.

- Zwłaszcza, o ile to możliwe, w imperium, w którym dekadencja jest sztuką, a Kalkuta jej największym muzeum - dodał Jawahal.

Carter przytaknął nieznacznie, nie bardzo wiedząc, czemu właściwie przytakuje.

- Przepraszam, że zabrałem panu tyle drogiego czasu, panie Carter - zakończył Jawahal.

- To żaden kłopot, proszę mi wierzyć - odparł Carter. - Przykro mi tylko, że nie mogłem przyjść panu z pomocą. W przypadkach takich jak ten przez pana opisany każdy powinien zrobić wszystko co w jego mocy.

- Otóż to - zgodził się Jawahal, wstając. - Raz jeszcze pragnę panu podziękować za wysłuchanie mnie. Jeśli pan pozwoli, chciałbym zadać jeszcze jedno pytanie.

- W miarę możliwości postaram się panu na nie odpowiedzieć - nie zawahał się Carter, błagając w myślach, by intruz jak najszybciej odszedł.

Jawahal uśmiechnął się złośliwie, jakby czytał w jego myślach.

- W jakim wieku chłopcy, których przygarniacie, opuszczają pański ośrodek?

Carter nie potrafił ukryć zaskoczenia.

- Mam nadzieję, że nie wkroczyłem na teren poufnych informacji -

zaczął usprawiedliwiać się Jawahal. - Jeśli tak jest, proszę zapomnieć o moim pytaniu. To zwykła ciekawość.

- Ależ skądże. To żaden sekret. Wychowankowie St. Patrick's przebywają pod naszym dachem do dnia szesnastych urodzin. Z tym dniem upływa okres opieki prawnej. Są osobami dorosłymi, w każdym razie według prawa, i mogą zacząć życie na własny rachunek. Jak pan wie, to instytucja uprzywilejowana.

Jawahal wysłuchał go uważnie, jakby szczególnie zainteresował się tematem.

- Wyobrażam sobie, że chwila, gdy odchodzą po tylu latach poświęconych ich wychowaniu, musi być dla pana bolesna - wyraził

przypuszczenie Jawahal. - W pewnej mierze jest pan ojcem wszystkich tych chłopców.

- To część mojej pracy - skłamał Carter.

- Oczywiście. Niemniej, wybaczy pan, że o to pytam, skąd państwo wiedzą, jaki jest rzeczywisty wiek dziecka, skoro jest ono sierotą? Macie pewnie jakiś sposób, przypuszczam...

- Za datę urodzenia przyjmuje się dzień przyjęcia naszego podopiecznego lub też ustalana jest ona na zasadzie pewnych rachub stosowanych przez nasz ośrodek - wyjaśnił Carter, niezadowolony, że miałyby tłumaczyć się z przyjętych w St. Patrick's procedur.

- To czyni z pana małego Boga, panie Carter - skwitował Jawahal.

- Pozwoli pan, że nie zgodzę się z pańskim sądem - zauważył

kwaśno Carter.

Jawahal nie bez satysfakcji dostrzegł wyraz niesmaku na twarzy Cartera.

- Proszę wybaczyć mi moją śmiałość - zreflektował się Jawahal. -

W każdym razie cieszę się, że mogłem pana poznać. Bardzo prawdopodobne, że w przyszłości znów pana odwiedzę, tym razem z jakimś datkiem wspierającym pana placówkę. A może wrócę za szesnaście lat, by poznać chłopców, którzy dzisiaj zostaną przyjęci do pana wielkiej rodziny...

- Będzie dla mnie prawdziwym zaszczytem widzieć pana w tych progach, jeśli zechce pan nas ponownie odwiedzić - odparł Carter, odprowadzając nieznanego do drzwi gabinetu. - Zdaje się, że znowu pada deszcz. Może poczeka pan, aż się przejaśni?

Mężczyzna odwrócił się ku Carterowi. Jego czarne oczy rozjarzyły się. Spojrzeniem tym zdawał się nicować każdy gest Cartera, każde drgnienie na jego twarzy od momentu, kiedy wkroczył do gabinetu, węsząc w każdej szparze, drobiazgowo analizując każde usłyszane słowo. Carter natychmiast pożałował odruchów swego dobrego wychowania i dopiero co złożonej oferty.

W tej chwili jego jedynym i najgorętszym pragnieniem było, aby ten człowiek jak najszybciej zszedł mu z oczu. I nic go nie obchodziło, że ulicami miasta przewala się straszliwy huragan.

- Ulewa niebawem ustanie, panie Carter - odpowiedział Jawahal. -

W każdym razie bardzo dziękuję.

Vendela, zawsze czujna, czekała już na korytarzu, by po skończonej wizycie odprowadzić gościa do wyjścia. Carter podszedł do okna i popatrzył na ciemną sylwetkę oddalającą się w strugach deszczu i znikającą wreszcie w zaułkach u stóp wzgórza. Stał jeszcze przez chwilę ze wzrokiem utkwionym w Raj Bhawan, siedzibę rządu. Parę minut póź-

niej, tak jak Jawahal przewidział, deszcz ustał.

Thomas Carter nalał sobie kolejną herbatę i usiadł w fotelu. Przed sobą miał panoramę miasta. Wychował się w Liverpoolu, w miejscu podobnym do kierowanego przez siebie sierocińca St. Patrick's. W

murach placówki nauczył się trzech rzeczy, które zapamiętał na całe życie: doceniać wartość tego, co materialne, ale z umiarem, kochać klasyków i na koniec - co nie znaczy, że było to mniej ważne - na miłą rozpoznawać kłamcę.

Popijając herbatę, doszedł do wniosku, że czas najwyższy zacząć obchodzić pięćdziesiąte urodziny, zważywszy, iż Kalkuta wciąż była dlań pełna niespodzianek. Podszedł do witryny i wyjął z niej pudło cygar, które trzymał na specjalne okazje. Przyłożył długą zapałkę i trzymał ją przy cennej sztuce najdłużej, jak mógł i jak wymagał tego rytuał.

Następnie, wykorzystując ogień zapałki, wyjął z szuflady biurka list Aryami Bose i podpalił go. Podczas gdy pergamin obracał się w garstkę popiołu na małej tacy z wygrawerowanymi inicjałami St. Patrick's, Carter, rozkoszując się smakiem tytoniu, postanawiał, iż na cześć jednego z idoli jego młodości, Benjamina Franklina, nowy pensjonariusz sierocińca St. Patrick's będzie miał na imię Ben i że on sam dołoży wszelkich starań, by chłopiec znalazł w tych murach rodzinę, której los go pozbawił.

Zanim przejdę do dalszego ciągu mej opowieści, szczegółowo relacjonując naprawdę istotne zdarzenia, które miały miejsce szesnaście lat później, muszę zatrzymać się na chwilę, by przedstawić niektórych jej bohaterów. Wystarczy rzec, że w czasie wspomnianych już wypadków części z nas nie było jeszcze na świecie, a inni byli, ale zaledwie od kilku dni. Jedyne, co nas łączyło i w rezultacie połączyło pod dachem St.

Patrick's, to to, że nigdy nie mieliśmy rodziny ani domu.

Nauczyliśmy się żyć bez obu tych rzeczy lub też, mówiąc inaczej, zastępując je nową rodziną i tworząc nasz własny dom. Rodzinę i dom wybrane podług naszej woli, gdzie nie było miejsca na przypadek ani kłamstwo. Żaden z nas nie znał innego ojca poza panem Thomasem Carterem, wciąż wygłaszającym nam przemowy o mądrości ukrytej na stronach Dantego i Wergiliusza, ani innej matki poza Kalkutą, z jej tajemnicami kryjącymi się na jej ulicach pod gwiazdzistym niebem Półwyspu Bengalskiego.

Nazwę dla naszego prywatnego klubu wybrał Ben i on jedynie znał

jej pochodzenie; ponoć była to pierwsza lepsza nazwa, jaka mu wpadła do głowy, choć niektórzy z nas podejrzewali, że wziął ją ze starego katalogu bombajskich firm importerskich. Tak czy owak, w którymś momencie naszego życia powstała Chowbar Society i od tej chwili zabawy w sierocińcu straciły całą swoją czarodziejską moc.

Byliśmy już na tyle sprytni, że potrafiliśmy bez większego trudu bezkarnie wyślizgnąć się z budynku po północy, z początkiem godziny policyjnej wyznaczonej przez poczciwą Vendelę, by udać się do siedziby naszego klubu - tajemniczego i, jak wieść niosła, zaczarowanego budynku, który stał opuszczony przez dziesiątki lat na rogu Cotton Street i Brabourne Road, w samym środku Czarnego Miasta, kilka domów od rzeki Hooghly.

Gwoli prawdy muszę powiedzieć, że dom ów, zwany przez nas dumnie Pałacem Północy (ze względu na godziny naszych zebrań), nie był zaczarowany. Otaczająca go ponura sława, jak mniemam, mogła mieć związek z naszymi podziemnymi działaniami. Jeden z członków założycieli, Siraj, modelowy astmatyk i erudyta znający opowieści o duchach, zjawach i czarach Kalkuty, wymyślił legendę odpowiednio ponurą, ale dość prawdopodobną, związaną z rzekomym dawnym lokatorem. Dzięki temu intruzi trzymali się z daleka od naszej tajnej siedziby.

Była to, mówiąc w skrócie, opowieść o starym kupcu, którego duch, spowity białym płótnem, krążył po domu, unosząc się nad ziemią, z oczyma płonącymi jak rozżarzone węgle i z wystającymi długimi wilczymi kłami, i czatował na naiwne i zbyt ciekawskie dusze. Oczy i kły były osobistym niezbywalnym wkładem Bena, wielkiego miłośnika tego typu historii, których groza zostawiała daleko w tyle klasyków pana Cartera, tak Sofoklesa, jak i krwawego Homera.

Mimo nieco śmiesznej nazwy Chowbar Society była równie doborowa i ekskluzywna jak nader liczne kluby ulokowane w edwardiańskich budynkach w centrum Kalkuty i rywalizujące ze swymi londyńskimi odpowiednikami; owe salony, w których można było wieść żywot trutnia z kieliszkiem brandy w rękę, były nieodłącznym elementem dziedzictwa najbardziej elitarnych rodów anglosaskich. Nasze cele i zamiary były jednak, z braku chwalebniejszej scenerii, znacznie bardziej szlachetne.

Chowbar Society powstała w celu realizacji dwóch podstawowych zadań. Pierwszym z nich było zagwarantowanie każdemu z siedmiu członków pomocy i bezwarunkowego wsparcia, w każdej okoliczności, wobec każdego niebezpieczeństwa czy groźby. Drugim zaś dzielenie się wiedzą, jaką każdy z nas zdoła zdobyć, i przekazywanie jej pozostałym, żebyśmy wszyscy potrafili, gdy przyjdzie czas, w pojedynkę stawić czoło światu.

Każdy z nas złożył przysięgę na swój honor (nie mieliśmy żadnych bliskich krewnych, na których moglibyśmy przysięgać), zobowiązując się realizować oba cele, a zarazem zachować fakt istnienia Chowbar Society w tajemnicy. Przez siedem lat nigdy w jego poczet nie został

przyjęty żaden nowy członek. Przepraszam, kłamię, zrobiliśmy jeden wyjątek, ale wolałbym nie uprzedzać wypadków i opowiedzieć o tym w stosownym momencie...

Nie było nigdy klubu, którego członkowie czuliby się tak bardzo ze sobą związani i w którym przysięga miałyby taką wagę. W odróżnieniu od członków klubów dżentelmenów z Mayfair nikt z nas nie miał domu, do którego mógłby wrócić, i nikt nie miał kochanki, która czekałaby na progu Pałacu Północy. I, w przeciwieństwie do sędziwych kas zapomogowych dla absolwentów Cambridge, Chowbar Society przyjmowała w swoje szeregi kobiety.

Zacznę więc od pierwszej kobiety, która podpisała przysięgę jako członek założyciel Chowbar Society, aczkolwiek w chwili ceremonii nikt z nas (łącznie z samą zainteresowaną, liczącą sobie wówczas dziewięć lat) nie myślał o niej jako o kobiecie. Miała na imię Isobel i, jak sama mawiała, urodziła się dla świateł rampy. Isabel marzyła o tym, by stać się następczynią Sarah Bernhardt, zdobyć serca publiczności od Broadwayu po Shaftestbury i zasilić szeregi bezrobotnych diw rodzącego się przemysłu filmowego w Hollywood i w Bombaju.

Zbierała wycinki z recenzji teatralnych, programy teatralne, pisała własne sztuki („aktywne monologi”, jak je nazywała) i wystawiała je dla nas wszystkich z wielkim sukcesem. Wspaniałe były jej kreacje femme fatale na skraju przepaści. A ekstrawagancki i melodramatyczny sposób bycia łączyła z najtęższym, nie licząc Bena, umysłem w grupie.

Najlepsze nogi z kolei miał Roshan. Nikt nie biegał tak jak Roshan, który wychował się na ulicach Kalkuty pod okiem złodziei, żebraków i różnobarwnej fauny żyjącej w tej dżungli nędzy, jaką były nowe dzielnice na południu miasta. Gdy miał lat osiem, Thomas Carter przyprowadził

go do St. Patrick's. Po wielu ucieczkach i powrotach Roshan w końcu postanowił z nami zostać. Był niebywale zręczny i nie było na ziemi zamka, który oparłby się jego palcom.

Mówiłem już o Siraju, naszym specjaliście od zaczarowanych domów. Siraj, oprócz astmy, wątłej postury i słabego zdrowia, miał też encyklopedyczną pamięć, szczególnie jeśli chodziło o ciemne strony historii Kalkuty (a były ich setki). Podczas naszych wieczornych spotkań Siraj sięgał do opowieści prawdziwych, Ben zaś je ubarwiał.

Od zjawy w powozie z Hastings House przez przerażające zdarzenie zwane w Kalkucie „czarną dziurą” (kiedy to w wyniku zaduszenia zmarła ponad setka ludzi uwięziona w małej celi obleganego dawnego Fortu Williams), po widmo rewolucyjnego przywódcy powstania z 1857

roku, nie było w dziejach miasta opowieści czy też makabrycznego wydarzenia, o którym by nie wiedział, którego by nie przeanalizował i nie włączył do swojego archiwum. Inni dworowali sobie z jego pasji.

Siraj czuł graniczące z obłędem uwielbienie dla Isobel. Mniej więcej co pół roku jego kolejne oświadczenia (nieodmiennie odrzucane) stawały się przyczyną romantycznej nawałnicy w grupie, pogłębiając zarazem astmę biednego konkurenta.

Uczucia Isobel kierowały się wyłącznie ku Michaelowi. Był to chudy i małomówny dryblas, skłonny do nieuzasadnionej melancholii. W

odróżnieniu od nas wszystkich miał wątpliwe szczęście poznania i pamiętania swoich rodziców,

którzy zginęli podczas powodzi w delcie Gangesu, gdy wywróciła się przeladowana łódź. Michael niewiele mówił, ale za to potrafił słuchać.

Jego myśli można było poznać tylko w jeden sposób: przyglądając się dziesiątkom rysunków, które robił w ciągu dnia. Ben często powtarzał, że gdyby na świecie było więcej Michaelów, zainwestowałby swoją fortunę (czekającą go w bliżej nieokreślonej przyszłości) w akcje spółek papierniczych.

Najlepszym przyjacielem Michaela był Seth, silny Bengalczyk o poważnym wyrazie twarzy, który uśmiechał się sześć razy do roku, góra, i to z dużymi oporami. Seth musiał zbadać i przeanalizować wszystko, co stanęło na jego drodze. Był niestrudzonym czytelnikiem klasyków Mr.

Cartera i wielbicielem astronomii. Cały swój czas, o ile nie spędzał go z nami, i cały swój trud poświęcał na budowę dziwnego teleskopu, przez który, zdaniem Bena, nie dawało się zobaczyć nawet koniuszka palca u nogi. Seth nigdy nie cenił nieco zgryźliwego poczucia humoru Bena.

Pozostał mi tylko Ben i choć zostawiłem go na koniec, trudno mi jakoś o nim mówić. Każdy dzień witał innego Bena. Chłopak potrafił

gwałtownie zmieniać humor co półgodziny i z dłuższych okresów milczenia ze smutną twarzą przechodził nieoczekiwanie w okresy nadaktywności doprowadzającej nas wszystkich na skraj wyczerpania.

Jednego dnia chciał być pisarzem, następnego wynalazcą i matematykiem, na trzeci dzień żeglarzem albo nurkiem, a w pozostałe dni wszystkim naraz plus kimś jeszcze.

Wymyślał matematyczne teorie, których sam później nie pamiętał, i pisał powieści przygodowe, gdzie wszystkie nieprawdopodobne wydarzenia tak się zapętlały, iż po tygodniu sam je niszczył, wstydząc się, że podpisał je swoim nazwiskiem. Zaskakiwał otoczenie nieustannie ekstrawaganckimi pomysłami i wymyślnymi łamańcami językowymi, których nigdy nie chciał powtórzyć. Był jak kufer bez dna, pełen niespodzianek i tajemnic, pełen światła i cieni. Był, i ufam, że nadal jest, mimo iż nie widzieliśmy się od wielu lat, moim najlepszym przyjacielem.

Jeśli zaś o mnie chodzi, niewiele jest do powiedzenia. Nazywajcie mnie po prostu Ian. Miałem jedno tylko skromne marzenie: chciałem studiować medycynę i później pracować jako lekarz. Szczęście mi sprzyjało i moje marzenie się ziściło. Jak napisał kiedyś Ben w jednym ze swoich listów: „Przechodziłem tamtędy i widziałem, co się dzieje”.

Pamiętam, że w ostatnich dniach owego maja 1932 roku siedmioro członków Chowbar Society właśnie miało skończyć szesnaście lat. To był

wiek feralny, którego obawialiśmy się wszyscy i zarazem niecierpliwie oczekiwali.

Gdy kończyliśmy szesnaście lat, St. Patrick's oddawał nas, zgodnie ze swym regulaminem, społeczeństwu, byśmy dorastali i jako mężczyźni i kobiety stawali się odpowiedzialnymi dojrzałymi ludźmi. Ta data miała jednak dodatkowe znaczenie, zrozumiałe dla nas wszystkich: oznaczała

ostateczne rozwiązanie Chowbar Society. Począwszy od tego lata, nasze drogi miały się rozejść i pomimo naszych przyrzeczeń oraz wmawianych sobie samym miłych kłamstw wiedzieliśmy, że łącząca nas do tej pory więź niebawem zacznie znikać niczym zamki z piasku na brzegu morza.

Mam tyle żywych wspomnień z owych lat spędzonych w St.

Patrick's, że nawet do dziś, ku swemu zdziwieniu, uśmiecham się na myśl o pomysłach Bena i fantastycznych historiach, które wspólnie przeżyliśmy w Pałacu Północy. Być może jednak z wszystkich obrazów, które najwytrwalej bronią się przed niszczącym czasem, najbardziej i najwyraziściej pamiętam obraz postaci ukazującej mi się o zmierzchu w sypialni zajmowanej przez niemal wszystkich chłopców z St. Patrick's, sali długiej, ciemnej i wysokiej, o łukowatym sklepieniu jak sale szpitalne. Sądzę, że bezsenność, na którą cierpiałem zawsze, aż minęły dwa lata od mojego przyjazdu do Europy, uczyniła ze mnie obserwatora wszystkiego, co się działo wokół mnie, podczas gdy inni spokojnie spali.

To właśnie tam, w tej nieprzytulnej sypialni, zdawało mi się niejednokrotnie, że widzę przechodzące przez salę blade światło.

Zupełnie zbity z tropu wstawałem, by pójść za blaskiem w głąb pomieszczenia, a tam znów dostrzegałem owo światło, takie jakie tyle razy mi się śniło. Niewyraźna postać kobiety owiniętej w sari zjawiskowego światła powoli pochylała się nad śpiącym w łóżku Benem.

Starłem się z całych sił patrzeć szeroko otwartymi oczyma i zdawało mi się, że widzę, jak świetlista dama głaszcze mojego przyjaciela czule niczym matka. Patrzyłem na jej owalną, przezroczystą twarz otuloną lśniąca woalką mżawki. Kobieta podnosiła wzrok i patrzyła na mnie. Nie czując w ogóle lęku, zatracalem się w czerni tego smutnego i zranionego spojrzenia. Księżniczka Światła uśmiechała się, a później, raz jeszcze dotknąwszy twarzy Bena, znikala w deszczu srebrnych łez.

Zawsze byłem przeświadczony, że owa zjawiskowa postać ucieleśniała cień matki, której Ben nigdy nie poznał, i gdzieś w zakamarku serca kryłem dziecięcą nadzieję, że jeśli któregoś dnia zdołam zapaść w sen, podobna do tamtej zjawa czuwać będzie i nade mną. To był mój jedyny sekret, którego nikomu nie wyjawilem, nawet Benowi.

Ostatnia noc Chowbar Society

Kalkuta, dwudziesty piąty maja 1932 roku

Przez wszystkie te lata, gdy kierował szkołą St. Patrick's, Thomas Carter nauczał w niej również literatury, historii i arytmetyki, z zadowoleniem kogoś, kto nie będąc ekspertem w żadnej dziedzinie, zna się po trochu na wszystkim. Jednego tylko nigdy nie zdołał nauczyć swoich podopiecznych - żegnać się.

Rok po roku przyglądał się twarzom uczniów - na których malowała się nadzieja i obawa zarazem - wiedząc, że już wkrótce, w majestacie prawa, wyfruną oni spod skrzydeł prowadzonej przez niego instytucji.

Kiedy tak patrzył, jak opuszczają mury St. Patrick's, przychodziły mu na myśl niezapisane książki. Jego zadaniem było wypełnić treścią pierwsze rozdziały owych historii, ale nigdy nie było mu dane ich dokończyć.

Przywdziewając maskę surowości i stanowczości, pogardliwie odnosząc się do wylewnego okazywania uczuć i wzruszających przemów, Thomas Carter usiłował ukryć to, że nikt z większym niż on lękiem nie myślał o nieszczęsnym dniu, w którym jego książki na zawsze znikną z jego biurka. Wiedział, że prędzej czy później dostaną się we władanie piór bez skrupułów, piszących mroczne epilogi, jakże dalekie od oczekiwań i marzeń, z jakimi jego podopieczni wychodzili na ulice Kalkuty, by zacząć nowe życie.

Doświadczenie nauczyło go, że wbrew pragnieniom nie powinien szukać wieści o dawnych wychowankach, kiedy ich los nie zależał już od niego. Pożegnania zawsze były dla Thomasa Cartera gorzkie, zawsze miały smak rozczarowania, czuł bowiem, że życie nie tylko obrabowało te dzieci z dzieciństwa, ale zdawało się także nie mieć dla nich żadnej przyszłości.

Owej upalnej majowej nocy, słysząc odgłosy skromnej uroczystości zorganizowanej na patio przed budynkiem, Thomas Carter siedział w pogrążonym w ciemnościach gabinecie, zapatrzony w światła miasta lśniące pod kopułą gwiazd, po której od czasu do czasu przepływały grupki czarnych chmur podobnych do kropli atramentu w szklance krystalicznie czystej wody.

Odrzuciwszy jak zwykle zaproszenie na uroczystość, usiadł

zamyślony w swoim fotelu. Mrok gabinetu przecinały wielobarwne refleksy lampionów ze świec i bibuły, którymi Véndela i uczniowie udekorowali drzewa na patio i fasadę St. Patrick's, podobną teraz do statku przygotowanego do wodowania. Będzie miał jeszcze czas, by się pożegnać,

zanim

zgodnie

z

oficjalnym

zaleceniem

zwróci

wychowanków ulicom Kalkuty, z których ich ocalił.

Tak samo jak przez ostatnie lata wkrótce do drzwi zapukała Véndela. Tym razem jednak weszła, nie czekając na zaproszenie, i zamknęła za sobą drzwi. Carter przyjrzał się bacznie twarzy naczelnicy pielęgniarki, wyjątkowo radosnej, i sam uśmiechnął się w półmroku.

- Starzejemy się, Véndelo - powiedział.

- Pan się starzeje, Thomasie - poprawiła go Véndela. - Ja dojrzewam. Nie zejdzie pan na uroczystość? Dzieciaki ucieszyłyby się, gdyby pan przyszedł. Chociaż uprzedzałam ich, że duszą towarzystwa pan nie jest. Ale skoro nie słuchali mnie przez te wszystkie lata, nie zaczną mnie słuchać teraz.

Carter zapalił stojącą na biurku lampkę i wskazał Vendeli krzesło.

- Ile to już lat pracujemy razem, Véndelo? - zapytał.

- Dwadzieścia dwa, proszę pana - odparła pielęgniarka. - Więcej, niż wytrzymałam z moim świętej pamięci małżonkiem.

Carter się roześmiał.

- Jakim sposobem znosiła mnie pani przez wszystkie te lata? -

spytał. - Proszę mówić szczerze. Dzisiaj święto, obiecuję być wyrozumiały.

Véndela wzruszyła ramionami. Potem na chwilę zatonała w myślach, bawiąc się kawałkiem szkarłatnej serpentyny, która zaplątała się jej we włosach.

- Pensja nie jest zła. Poza tym lubię te dzieciaki. Nie zejdzie pan, prawda?

Carter pokręcił głową.

- Nie chcę im psuć zabawy - stwierdził. - Poza tym nie jestem w nastroju, żeby znosić ekstrawaganckie żarty Bena.

- Ben jest dziś wyjątkowo potulny - rzekła Véndela. - I smutny, tak sędzę. Dzieciaki wręczyły już Ianowi bilet.

Twarz Cartera pojaśniała. Członkowie Chowbar Society (o której istnieniu, tak pieczołowicie skrywanym, Carter doskonale wiedział, nie bardzo wiadomo skąd) od miesiąca zbierali pieniądze,

żeby kupić bilet na statek do Southampton. Miał to być ich pożegnalny prezent dla przyjaciela.

Ian od lat marzył o tym, by studiować medycynę. Carter, za namową Isobel i Bena, wystosował do wielu angielskich szkół pisma z prośbą o stypendium. Zawiadomienie o jego przyznaniu nadeszło rok wcześniej, ale koszty podróży do Londynu przerosły najśmielsze oczekiwania wszystkich.

Roshan radził włamać się do biura morskiej kompanii handlowej, mieszczącego się w sąsiedztwie sierocińca. Siraj proponował loterię.

Carter wysupłał pewną sumę ze swoich skromnych oszczędności, Vendela zrobiła to samo. Pieniądzy jednak ciągle jeszcze było za mało.

Ben postanowił więc napisać dramat w trzech aktach zatytułowany *Widma Kalkuty* (fantasmagoryczny galimatias, w którym ginęli nawet inspicjent i scenograf). Sam zajął się inscenizacją, obsadzając Isobel w głównej roli, roli lady Windmare, resztę członków towarzystwa zaś w rolach drugoplanowych.

Towarzystwo wystawiło sztukę z rozmachem w rozmaitych szkołach, gdzie dramat został niezwykle ciepło przyjęty przez widzów, nieco chłodniej przez krytykę. Po premierze Ben wygłosił płomienny panegiryk na cześć sztuki komercyjnej, chwając niepospolitą intuicję publiczności zdolnej bezbłędnie rozpoznać wielkie dzieło.

- Przyjął bilet ze łzami w oczach - powiedziała Vendela.

- Ian to wspaniały chłopak, brakuje mu trochę pewności siebie, ale jest wspaniały. Nie wątpię, że znakomicie wykorzysta ten bilet i stypendium - z dumą stwierdził Thomas Carter.

- Pytał o pana. Chciał podziękować za pomoc.

- Nie powiedziała mu pani, broń Boże, że wyłożyłem pieniądze z własnej kieszeni? - zaniepokoił się Carter.

- Owszem, Ben jednak zaprzeczył, twierdząc, że cały tegoroczny budżet przeznaczył pan na spłatę kartaniowych długów - pospieszyła z wyjaśnieniem Vendela.

- Ten chłopak to diabeł wcielony. Gdyby nie to, że już opuszcza sierociniec, osobiście bym go stąd wyrzucił.

- Uwielbia pan tego chłopca - zaśmiała się Vendela, wstając - a on doskonale o tym wie.

Pielęgniarka zatrzymała się jednak w progu. Nie należała do osób, które łatwo się poddają.

- Niech pan zejdzie, chociaż na chwilę.

- Dobranoc, Véndelo - uciał Carter.

- Stary sztywniak z pana.

- Nie poruszajmy lepiej tematu wieku, gdyż będę zmuszony wypowiedzieć komentarz, którego dżentelmen czynić nie powinien...

Vendela, widząc, że nic nie wskóra, mruknęła coś pod nosem i zostawiła Cartera samego. Dyrektor St. Patrick's znów zgasił lampkę na biurku, cicho podszedł do okna i zaczął się przyglądać przez szpary w żaluzjach odświętnym dekoracjom - sztuczne ognie w ogrodzie, pełnia księżycy i miedziane światło lampionów, wydobywające z ciemności znajome uśmiechnięte twarze. Carter westchnął. Jego wychowankowie nie wiedzieli jeszcze o tym, że każdy z nich ma już dokądś bilet, chociaż na razie tylko Ian znał cel podróży.

* * *

- Za dwadzieścia minut wybije północ - obwieścił Ben. W oczach odbijał mu się złocisty pobłysk petard rozpryskujących się w powietrzu deszczem iskier.

- Liczę na to, że Siraj przygotował na dziś jakieś trzymające w napięciu historie - powiedziała Isobel, oglądając pod światło dno szklanki, jakby miała nadzieję coś w niej wypatrzeć.

- Na pewno - stwierdził Roshan. - Dziś nasza ostatnia noc. Koniec Chowbar Society.

- Ciekawe, co się stanie z Pałacem - zastanowił się Seth.

Żadne z nich od lat nie nazywało inaczej opuszczonego domostwa, które towarzystwo obrało na swoją siedzibę.

- Nietrudno sobie wyobrazić - odpowiedział Ben. - Powstanie tu komisariat albo bank. Jak zawsze, kiedy wyburzają budynek w jakimkolwiek mieście na świecie.

Siraj, który przed chwilą podszedł do nich i przysłuchiwał się rozmowie, zamyślił się nad złowróżbną przepowiednią Bena.

- Może powstanie tu teatr - zauważył, spoglądając w kierunku swojej nieodwzajemnionej miłości, Isobel.

Ben przewrócił oczyma i pokręcił głową z niedowierzaniem. Siraj, jeśli tylko chciał przypodobać się Isobel, nie znał granic przyzwoitości.

- A może zostawią budynek w spokoju? - włączył się Ian, który do tej pory w milczeniu słuchał przyjaciół, rzucając od czasu do czasu ukradkowe spojrzenia na rysunek naszkicowany przez Michaela na niewielkiej kartce.

- Co też nam narysował nasz Canaletto? - spytał Ben tonem, w którym nie było krzty ironii.

Michael oderwał po raz pierwszy wzrok od szkicu i spojrzał na przyjaciół, którzy patrzyli nań, jakby spadł właśnie z księżycy.

Uśmiechnął się nieśmiało i pokazał rysunek kolegom.

- To my - wyjaśnił nadworny portrecista siedmioosobowej tajnej konfraterni.

Sześcioro pozostałych członków Chowbar Society przez chwilę kontemplowało rysunek w nabożnym milczeniu. Pierwszy podniósł

wzrok Ben. Michael natychmiast rozpoznał ów nieprzenikniony grymas malujący się na twarzy przyjaciela w okresach melancholii.

- To ma być mój nos? - zaprotestował Siraj. - Ja nie mam takiego nosa. To raczej jakiś wielki hak!

- Muszę cię zmartwić, ale tak właśnie wygląda - zapewnił Ben, a na jego ustach pojawił się wymuszony uśmiech, który oszukał wszystkich oprócz Michaela. - Ale i tak jest nieźle; gdyby sportretował cię z profilu, dopiero by było.

- Niech no popatrzę - poprosiła Isobel, biorąc szkic do ręki.

Wpatrywała się w niego uważnie w migotliwym świetle lampionu. - Tak nas widzisz?

Michael pokiwał głową.

- Na swoim rysunku patrzysz w inną stronę niż wszyscy - zauważył

Ian.

- Michael zawsze patrzy tam, gdzie inni nie dostrzegają nic ciekawego - powiedział Roshan.

- A co takiego zobaczyłeś w nas, czego nie potrafią dostrzec inni? -

zapytał Ben.

Ben stanął obok Isobel i zatopił wzrok w naszkicowanym miękkim ołówkiem zbiorowym portrecie. Michael umieścił całą siódmkę na brzegu stawu, w którym odbijały się ich twarze. Na niebie świecił

ogromny księżyc w pełni, za nimi rozciągał się ginący w oddali las. Ben przyjrzał się rozmazanym odbiciom w wodach stawu i porównał je z twarzami postaci stojących na brzegu. Wszystkie miały inny wyraz niż na odbiciu. Głos stojącej obok Isobel wyrwał go z zadumy.

- Mogę go zatrzymać, Michaelu? - zapytała.

- Dlaczego ty? - zaprotestował Seth.

Ben położył rękę na ramieniu muskularnego Bengalczyka i posłał

mu krótkie, ale wiele mówiące spojrzenie.

- Pozwól jej go wziąć - wyszeptał.

Seth przytaknął, a Ben poklepał go przyjacielsko po plecach. Kątem oka obserwował leciwą, elegancko ubraną damę, która w towarzystwie dziewczyny będącej mniej więcej w ich wieku wchodziła właśnie w bramę wiodącą na podwórko St. Patrick's i zmierzała w stronę głównego budynku.

- Coś się stało? - zapytał cicho stojący przy nim Ian. Ben powoli pokręcił głową.

- Mamy gości - odparł, nie spuszczając oka z damy i dziewczyny. -

Czy coś w tym rodzaju.

Kiedy Bankim pukał do drzwi gabinetu, Thomas Carter wiedział już o przybyciu starszej kobiety i jej towarzyski. Zobaczył je, obserwując przez okno zabawę na patio. Zapalił lampkę na biurku i poprosił

asystenta, żeby wszedł.

Bankim był młodzieńcem o silnych bengalskich rysach i żywym, przenikliwym spojrzeniu. Wychował się w sierocińcu St. Patrick's, do którego wrócił jako nauczyciel matematyki i fizyki, przepracowawszy wiele lat w rozlicznych szkołach na prowincji. Szczęśliwy finał

życiowej wędrówki Bankima był jednym z nielicznych wyjątków, którymi Carter nieustannie podbudowywał swoje morale.

Nie mógł wyobrazić sobie lepszej nagrody za swój trud niż to, że miał przy sobie dawnego wychowanka, dziś dorosłego mężczyznę.

Bankim uczył teraz w tych samych klasach, w których kiedyś sam pobierał lekcje.

- Przepraszam, że przeszkadzam - odezwał się Bankim. - Na dole czeka kobieta, która twierdzi, że musi z panem porozmawiać. Mówiłem jej, że pana nie ma i że dziś obchodzimy szkolną uroczystość, ale nie chciała o tym słyszeć i nalegała dość kategorycznie, by nie użyć innego określenia.

Carter popatrzył na asystenta ze zdziwieniem i spojrział na zegarek.

- Już prawie północ - powiedział. - Co to za kobieta?

Bankim rozłożył ręce.

- Nie mam pojęcia. Wiem za to, że nie pójdzie sobie, dopóki jej pan nie przyjmie.

- Nie powiedziała, czego chce?

- Poprosiła tylko, żebym panu to dał - odparł Bankim, wręczając Carterowi krótki, błyszczący łańcuszek. - Powiedziała, że pan będzie wiedział, co to jest.

Carter wziął łańcuszek do ręki i przyjrzał mu się badawczo w świetle lampki. Wisiał na nim ozdobny

medalion przedstawiający złoty księżyc. Carterowi wystarczyło kilka chwil, żeby z jego pamięci wyłonił

się obraz. Dyrektor zamknął oczy i poczuł, że ściska go w żołądku. Sam miał bardzo podobny medalion, ukryty na dnie kuferka trzymanego w zamkniętej na klucz szafce w gabinecie. Nie oglądał go od szesnastu lat.

- Czy coś nie w porządku, Thomasie? - zapytał Bankim zaalarmowany nagłą zmianą na twarzy Cartera.

Dyrektor uśmiechnął się lekko i pokręcił przecząco głową, chowając medalion do kieszeni koszuli.

- Bynajmniej - odrzekł lakonicznie. - Przeprowadź ją na górę.

Porozmawiam z nią.

Bankim patrzył na niego, nie kryjąc zdziwienia, i przez chwilę Carter obawiał się, że dawny uczeń zada mu pytanie, którego nie chciał

usłyszeć. Bankim jednak pokiwał tylko głową i wyszedł z gabinetu, zamykając za sobą delikatnie drzwi. Dwie minuty później Aryami Bose weszła do prywatnego sanktuarium Thomasa Cartera i podniosła woalkę zasłaniającą jej twarz.

* * *

Ben uważnie przyglądał się dziewczynie czekającej cierpliwie pod arkadami głównego wejścia do St. Patrick's. Chwilę wcześniej znów zjawił się tu Bankim, prosząc kobietę, by poszła za nim. Ta gestem nieznoszącym sprzeciwu nakazała młodej towarzysze, by została na dole i nie ruszała się stamtąd do jej powrotu. Najwyraźniej starsza dama przyszła w odwiedziny do Cartera.

Zważywszy na skromne życie towarzyskie dyrektora, wolne od wszelkiego rodzaju frywolności, Ben miał prawo domniemywać, iż składane nocną porą wizyty tajemniczych piękności, nawet w tak zaawansowanym wieku, należały do zdarzeń wyjątkowych. Chłopak uśmiechnął się do swoich myśli.

Potem znów powędrował wzrokiem ku dziewczynie. Wysoka i smukła, ubrana skromnie, ale niepospolicie, w strój, jakiego z pewnością nie można było kupić na byle bazarze Czarnego Miasta, jakby skrojony i uszyty przez kogoś, kto ma własny, niepowtarzalny styl. Ben, z miejsca, w którym stał, nie widział dokładnie jej twarzy. Wydawało mu się jednak, że dostrzega delikatne rysy i jasną, lśniącą cerę.

- Puk, puk, jest tam kto? - szepnął mu do ucha Ian.

Ben, nie odzywając się ani słowem, wskazał głową w stronę dziewczyny.

- Dochodzi północ - dodał Ian. - Za parę minut spotykamy się w Pałacu. Ostatnie zebranie, gdybyś zapomniał.

Ben przytaknął, ale myślami był zupełnie gdzie indziej.

- Poczekaj chwilę - powiedział i ruszył zdecydowanym krokiem ku dziewczynie.

- Ben! - zawołał za jego plecami Ian. - Nie teraz, proszę...

Ale chłopak jakby nie słyszał wołania przyjaciela. Chęć rozwiązania tej niecodziennej zagadki górowała nad wymogami ceremoniału Chowbar Society. Przywołał na twarz przymilny uśmiech przykładowego ucznia i śmiało podszedł do dziewczyny. Ta na jego widok spuściła wzrok.

- Witam. Jestem asystentem Mr. Cartera, dyrektora St. Patrick's -

odezwał się Ben pogodnym tonem. - Czym można ci służyć?

- Właściwie niczym. Twój... kolega już zaprowadził moją babcie do dyrektora - powiedziała dziewczyna.

- Babcie? Aha, rozumiem - odrzekł Ben. - Mam nadzieję, że to nic poważnego. To znaczy... dochodzi północ i zastanawiałem się, czy przypadkiem nie stało się nic złego.

Dziewczyna uśmiechnęła się lekko i pokręciła głową. Ben odwzajemnił uśmiech. Nie wyglądała na łatwą zdobycz.

- Mam na imię Ben - przedstawił się uprzejmie.

- Sheere - odparła dziewczyna, wpatrując się w drzwi, jakby miała nadzieję, że lada chwila pojawi się w nich babcia.

Ben zatarł ręce.

- Doskonale, Sheere - zaczął. - Skoro mój kolega, Bankim, zaprowadził już twoją babcie do gabinetu Mr. Cartera, to może ja mógłbym czynić wobec ciebie honory gospodarza. Pryncypał zawsze podkreśla, że powinniśmy być gościnni dla odwiedzających.

- Nie jesteś trochę za młody, by być asystentem dyrektora? -

podejrzliwie spytała Sheere, unikając spojrzenia chłopca.

- Za młody? - zdziwił się Ben. - Dziękuję za komplement, ale niedługo skończę dwadzieścia trzy lata.

- W życiu bym ci tyle nie dała - przyznała Sheere.

- To cecha rodzinna - wyjaśnił Ben. - Wszyscy bardzo późno się starzejemy. Wyobraź sobie, że kiedy idę ulicą z matką, ludzie myślą, że to moja siostra.

- Naprawdę? - zapytała Sheere, tłumiąc nerwowy uśmiech. Nie wierzyła ani jednemu słowu nowego znajomego.

- A wracając do gościnności, którą szczyści się St. Patrick's - ciągnął

Ben - dziś mamy tu uroczystość pożegnalną grupki dzieciaków, które nas opuszczają. To smutne, chociaż, z drugiej strony, emocjonujące. W

końcu otwiera się przed nimi nowe życie.

Lśniące oczy Sheere świdrowały Bena. Na jej ustach pojawił się uśmiech powątpiewania.

- Babcia prosiła, bym czekała na nią tutaj.

Ben wskazał na drzwi.

- Tutaj? - zapytał. - Właśnie tutaj?

Sheere skinęła głową, nie rozumiejąc.

- Bo wiesz - zaczął Ben, energicznie gestykulując - przykro mi to mówić, myślałem, że nie będzie to konieczne, ale cóż... Wiem, że to nie wpłynie najkorzystniej na wizerunek naszej instytucji, ale nie pozostawiasz mi wyboru: mamy problem z elewacją. Tynk z niej odpada, kawałek po kawałku.

Dziewczyna popatrzyła na niego zdumiona.

- Tynk odpada?

- Niestety - przyznał Ben ponuro. - To smutne, ale prawdziwe. Tu, właśnie w tym miejscu, gdzie teraz stoisz, niecały miesiąc temu na głowę naszej leciwej kucharki, Mrs. Potts, niech Bóg da jej zdrowie i długie życie, spadł fragment elewacji nadbudówki drugiego piętra.

Sheere nie mogła się dłużej pohamować i wybuchnęła śmiechem.

- Jeśli wolno mi wyrazić swoją opinię, nie sądzę, by ten godny pożałowania wypadek dawał powody do takiej wesołości - rzekł Ben ze śmiertelną powagą.

- Nie wierzę w nic z tego, co powiedziałeś. Ani nie jesteś asystentem dyrektora, ani nie masz dwudziestu trzech lat, a na głowę kucharki miesiąc temu nie posypała się żadna lawina cegieł -

wyzywająco stwierdziła Sheere. - Jesteś łgarzem i odkąd otworzyłeś usta, nie popłynęło z nich ani jedno prawdziwe stwierdzenie.

Ben zastanowił się nad sytuacją. Pierwszy etap strategii, jak było do przewidzenia, nie powiódł się. Teraz należało dokonać jakiegoś ostrożnego, acz przemyślnego zwrotu w tej konwersacji.

- Dobrze, przyznaję, że dałem się nieco ponieść wyobraźni, ale nie wszystko, co powiedziałem, to nieprawda.

- Ach, nie?

- Nie kłamałem w kwestii mojego imienia. Rzeczywiście nazywam się Ben. I oferowałem ci naszą gościnność ze szczerego serca.

Sheere uśmiechnęła się szeroko.

- Chciałabym z niej skorzystać, Ben, ale nie mogę się stąd ruszyć.

Naprawdę.

Chłopak rozłożył ręce, a jego twarz wyrażała rezygnację.

- Trudno. W takim razie poczekam razem z tobą - oświadczył

uroczystym tonem. - Jeśli na kogoś ma runąć jakaś cegła, to niech już spadnie na mnie.

Sheere wzruszyła ramionami i przytaknęła bez większego entuzjazmu. Potem znów spojrzała na drzwi. Przez ciągnącą się w nieskończoność minutę żadne z nich nie otworzyło ust.

- Gorącą mamy noc. - Ben przerwał wreszcie milczenie.

Sheere odwróciła się i spojrzała na niego nieco zirytowana.

- Będziesz tu tak sterczał jak kołek w płocie? - zapytała.

- Zawrzyjmy układ. Wypijesz ze mną i moimi przyjaciółmi szklanekę pysznej lodowatej lemoniady, a potem zostawię cię w spokoju

- zaproponował chłopak.

- Nie mogę, Ben. Naprawdę.

- Oddalimy się zaledwie na dwadzieścia metrów - dodał. - Możemy przywiązać dzwoneczek do drzwi.

- To dla ciebie takie ważne? - spytała Sheere.

Ben przytaknął.

- To mój ostatni tydzień tutaj. Spędziłem tu całe swoje życie, a za pięć dni zostanę sam. Zupełnie sam. Nie wiem, czy zdarzy mi się jeszcze noc taka jak ta, wśród przyjaciół. Ty pewnie nie wiesz, co to znaczy.

Sheere spojrzała na niego przeciągle.

- Doskonale wiem, co to znaczy - powiedziała w końcu. - Niech będzie, napiję się tej lemoniady.

* * *

Kiedy Bankim wyszedł wreszcie z gabinetu, niechętnie zostawiając swojego przełożonego sam na sam z tajemniczą damą, Carter nalał sobie niewielki kieliszek brandy i zaproponował to samo swojemu gościowi.

Aryami odmówiła i czekała cierpliwie, aż Carter usadowi się w fotelu, plecami do okna, pod którym świętowali jego wychowankowie nieświadomi zalegającego pokój lodowatego milczenia.

Carter umoczył usta w trunku i spojrzał pytająco na przybyłą. Czas nie złagodził ani na jotę jej ostrych, władczych rysów, a w jej oczach -

oczach kobiety, z którą ożenił się jego najlepszy przyjaciel - nadal tlił się ten sam wewnętrzny ogień. Owe czasy wydały się nagle Carterowi nieskończenie odległe. Przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa.

- Słucham - rzekł Carter.

- Szesnaście lat temu zostałam zmuszona powierzyć w pańskie ręce życie pewnego chłopca, Mr. Carter - zaczęła Aryami cichym, acz stanowczym głosem. - Była to jedna z najtrudniejszych decyzji w moim życiu. I jestem świadoma, że przez wszystkie te lata nie zawiódł pan mojego zaufania. Przez ten czas nigdy nie chciałam ingerować w życie chłopca, byłam bowiem pewna, że nigdzie nie będzie mu lepiej niż tutaj, pod pańską opieką. Nie miałam okazji, by podziękować za to, co pan dla niego zrobił.

- Wypełniałem jedynie swoje obowiązki - odrzekł Carter. - Sądzę jednak, że nie o tym przyszła pani rozmawiać ze mną dzisiaj, w środku nocy.

- Chciałabym, żeby było inaczej, ale niestety ma pan rację -

przyznała Aryami. - Zjawiłam się tu, gdyż życiu chłopca grozi niebezpieczeństwo.

- Życiu Bena?

- To imię, które pan mu nadał. Wszystko, czym jest i czego się nauczył, zawdzięcza panu, Mr. Carter - stwierdziła Aryami. - Ale jest coś, przed czym ani pan, ani ja nie możemy go dłużej chronić. Tym czymś jest przeszłość.

Wskazówki zegarka Thomasa Cartera spotkały się na godzinie dwunastej. Carter opróżnił swój kieliszek i wyjrzał przez wychodzące na patio okno. Ben rozmawiał z jakąś nieznaną dziewczyną.

- Jak mówiłem, słucham pani uważnie - ponownie zapewnił Carter.

Aryami wstała z fotela, złożyła ręce i zaczęła mówić.

* * *

Przez szesnaście lat przemierzałam ten kraj wzdłuż i wszerz, szukając schronienia w przeróżnych kryjówkach, ale nigdzie nie zagrzewając miejsca zbyt długo. Dwa tygodnie temu, zatrzymawszy się na zaledwie miesiąc w domu moich krewnych w Delhi, by wyleczyć się z dręczącej mnie choroby,

niespodziewanie otrzymałam zaadresowany do mnie list. Nikt nie znał, nikt nie mógł znać, tego, tymczasowego przecież, miejsca pobytu mojego i wnuczki.

Otworzyłam przesyłkę i znalazłam w środku jedynie czystą kartkę; nie zapisano na niej ani słowa. Już zdążyłam pomyśleć, że to pewnie pomyłka, albo może żart, kiedy zaczęłam uważnie przyglądać się kopercie. Widniał na niej stempel pocztowy z Kalkuty. Tusz rozmazał

się nieco i pieczęć była częściowo nieczytelna. Zdołałam jednak odcyfrować datę. Dwudziesty piąty maja tysiąc dziewięćset szesnastego roku.

Schowałam ów tajemniczy list, który - wszystko na to wskazywało -

przez szesnaście lat szedł z Kalkuty do Delhi, do drzwi mnie tylko dostępnego domu. Tej samej nocy wyjęłam kopertę, by się jej przyjrzeć ponownie. Nie zwiódł mnie mój zmęczony wzrok: data na rozmazanym stemplu była ta sama.

Ale coś się zmieniło: na kartce, jeszcze kilka godzin wcześniej niezapisanej, widniały teraz trzy zdania, wykaligrafowane czerwonym atramentem, tak świeżym, że litery rozmazywały się pod dotknięciem na porowatej powierzchni papieru. „*Już nie są dziećmi, starucho. Zejdź mi z drogi. Wróciłem po to, co należy do mnie*”. Tak brzmiały słowa tego listu, który natychmiast po przeczytaniu wrzuciłam w ogień.

Wtedy zrozumiałam, kto wysłał ów list, zrozumiałam także, że nadszedł czas, by odgrzebać stare wspomnienia, które przez ostatnie lata nauczyłam się tłumić. Nie wiem, Mr. Carter, czy kiedyś opowiadałam panu o mojej córce Kylian. Dziś jestem już tylko staruszką czekającą na koniec swych dni, ale kiedyś, dawno temu, byłam matką; matką najcudowniejszej istoty, jaka kiedykolwiek chodziła ulicami tego miasta.

Wspominam ten czas jako najszcześniejszy w moim życiu. Kylian wyszła za mąż za jednego z najwybitniejszych mężczyzn, jakich wydał

nasz kraj, i zamieszkała z nim w domu wybudowanym przez niego w północnej części miasta. Takiego domu świat nie widział... Mąż mojej córki, Lahawaj Chandra Chatterghee, był inżynierem i pisarzem. Należał

do pionierów, którzy projektowali sieć telegraficzną kraju, tworzyli system elektryfikacji mający odmienić przyszłość naszych miast, budowali sieć kolejową w Kalkucie... Niezależnie od celu zawsze był

jednym z pierwszych. We wszystkim.

Ale ich wspólne szczęście nie trwało długo. Chandra Chatterghee zginął w strasznym pożarze, który zniszczył stację Jheeter's Gate, na drugim brzegu rzeki Hooghly. Na pewno widział pan kiedyś ten budynek. Dziś jest ruiną, ale niegdyś był jedną z najwspanialszych budowli w Kalkucie. Nowoczesna stalowa konstrukcja poprzecinana tunelami, wielopoziomowa, wyposażona w systemy wentylacyjne i hydrauliczne zwrotnice. Inżynierowie z całego świata przyjeżdżali podziwiać wszystkie te cuda

techniki. Każde z nich było dziełem Chandry Chatterjee.

W wieczór uroczystego otwarcia w Jheeter's Gate wybuchł pożar, a pociąg wiozący do Bombaju ponad trzysta sierot stanął w płomieniach i na zawsze ugrzązł w mrokach jednego z licznych tuneli stacji. Nikt z pasażerów nie uszedł z życiem, a wrak do dziś straszy w jednym z tuneli tego podziemnego labiryntu na wschodnim brzegu Hooghly.

Noc, w której inżynier zginął w tym pociągu, zapadła w pamięć mieszkańców Kalkuty jako jedna z najtragiczniejszych. Wielu uznało ją za symbol zbierających się nad miastem cieni. Nie brakowało plotek mówiących, że pożar był dziełem brytyjskich finansistów, którym nie było na rękę zbudowanie nowej linii kolejowej - dowód na to, że transport towarów drogą morską, jeden z najbardziej intratnych interesów w Kalkucie od czasów lorda Clive'a i jego kompanii kolonialnej, chyli się ku upadkowi. Jutro należało do kolei. To właśnie po szynach kolejowych któregoś dnia ten kraj i to miasto miały rozpocząć marsz ku przyszłości wolnej od brytyjskiej ingerencji. W noc pożaru Jheeter's Gate te sny zmieniły się w koszmary.

Kilka dni po śmierci inżyniera Chandry moja córka Kylian, oczekująca narodzin pierwszego dziecka, zaczęła otrzymywać pogróżki dziwnego

osobnika

wywodzącego

się

z

najciemniejszych

zakamarków Kalkuty. Morderca poprzysiągł zabić żonę i potomków inżyniera, którego uważał za sprawcę wszystkich swoich nieszczęść. On to, ów zbrodniarz, był sprawcą pożaru, w którym zginął inżynier. Młody oficer brytyjskiej armii, dawny pretendent do ręki Kylian, porucznik Michael Peake, obiecał powstrzymać szaleńca, ale zadanie to miało okazać się o wiele trudniejsze, niż przypuszczał.

W noc kiedy moja córka miała wydać na świat dziecko, kilku zbirów włamało się do jej domu. Porwali ją. Płatni mordercy, mężczyźni bez nazwiska i sumienia, jakich nietrudno znaleźć na ulicach Kalkuty za kilka nędznych monet. Przez tydzień zdesperowany porucznik przetrzą-

sał wszystkie zaułki miasta w poszukiwaniu mojej córki. Po upływie tego dramatycznego tygodnia Peake'a ogarnęło mroczne przeczucie, które się potwierdziło. Morderca zawlókł Kylian na pogorzelsko Jheeter's Gate. Tam, pośród zgliszcz, urodziła chłopca, którego pan, Mr.

Carter, wychował na mężczyznę.

Urodziła chłopca i jego siostrę. Ja zajęłam się wychowaniem dziewczynki, nadałam jej imię, podobnie jak pan Benowi. Nazwałam ją Sheere, gdyż takie właśnie imię wymarzyła sobie dla niej matka.

Porucznik Peake, ryzykując życie, zdołał wydrzeć niemowlęta z rąk mordercy. Ale ów złoczyńca, zaślepiiony nienawiścią, przyrzekł, że wytropi je i zabije, jak tylko osiągną wiek dojrzały. W ten sposób chciał

dopełnić zemsty na ich nieżyjącym ojcu, inżynierze Chatterghee. To był

jego jedyny cel: za wszelką cenę zniszczyć wszystko, co zostało z życiowego dorobku jego nieprzyjaciela.

Kylian umarła, zaklinając się, że jej dusza nie zazna spokoju, dopóki nie będzie pewna, że jej dzieciom nie grozi niebezpieczeństwo.

Porucznik Peake, mężczyzna, który kochał Kylian skrycie nie mniej niż jej własny mąż, oddał życie za to, by jej ostatnie życzenie zostało spełnione. Dwudziestego piątego maja tysiąc dziewięćset szesnastego roku porucznik Peake zdołał przekroczyć Hooghly i przekazać mi dzieci. Do dziś nie udało mi się dowiedzieć, co się z nim potem stało.

Uznałam, że jest tylko jeden sposób, aby ocalić dzieci - rozdzielić je, utrzymując w najgłębszej tajemnicy ich prawdziwą tożsamość oraz miejsce pobytu. Dalszy ciąg historii Bena zna pan lepiej niż ja. Jeśli chodzi o Sheere, podróżowałam z nią po całym kraju. Wychowując dziewczynkę, starałam się, by zawsze pamiętała o tym, że jej ojciec był

wielkim człowiekiem, a ta, która dała jej życie, moja córka, wspaniałą kobietą. Mówiłam jej tylko tyle, ile uważałam za absolutnie konieczne.

W swojej naiwności sądziłam, że odległość i upływ czasu wystarczą, by cienie przeszłości nigdy jej nie zagroziły. Nic jednak nie może odmienić naszego przeznaczenia. Kiedy dostałam ten list, zrozumiałam, że moja nieustająca ucieczka dobiegła końca i że nadszedł

czas, by powrócić do Kalkuty i pana ostrzec. Nie byłam z panem szczerą tamtej nocy, kiedy pisałam ów list, zapewniam jednak, Mr. Carter, że zrobiłam to w przekonaniu, iż tak właśnie należało uczynić.

Zabrałam wnuczkę - nie mogłam przecież zostawić jej samej teraz, kiedy morderca znał miejsce naszego pobytu - i wyruszyłyśmy w drogę powrotną. Przez cały czas, coraz bardziej obsesyjnie, w miarę jak zbliżałyśmy się do celu naszej podróży, dręczyła mnie pewna myśl. Nie wątpiłam, że teraz, kiedy Ben i Sheere zostawili za sobą dzieciństwo i stawali się dorośli, morderca znów się ujawni, znów wyłoni z ciemności, żeby wypełnić swoją obietnicę, i zobaczyłam - tak jasno, jak widzimy sprawy tylko w przededniu tragedii - że tym razem nic ani nikt nie zdoła go powstrzymać.

* * *

Thomas Carter przez długą chwilę siedział bez ruchu, pogrążony w milczeniu, nie odrywając oczu od trzymany na biurku dłoni. Kiedy wreszcie uniósł wzrok i upewnił się, że Aryami nadal tam jest, że zasłyszane przed momentem słowa wcale mu się nie przyśniły, uznał, że w tej chwili jest zdolny uczynić tylko jedno: nalać do swojego kieliszka odrobinę brandy i wypić za własne zdrowie.

- Nie wierzy mi pan...

- Tego nie powiedziałem - zaprzeczył Carter.

- Nic pan nie powiedział - odrzekła Aryami. - I to właśnie mnie niepokoi.

Carter przełknął kolejny łyk brandy i zapytał w duchu samego siebie, z jakich to nie do końca jasnych przyczyn czekał całe dziesięć lat, by odkryć upojny czar tego trunku, trzymanego niczym relikwia na honorowym miejscu w przeszklonej szafce.

- Niełatwo jest uwierzyć w to, co mi pani przed chwilą opowiedziała - wyjaśnił Carter. - Proszę się postawić na moim miejscu.

- A jednak szesnaście lat temu zajął się pan chłopcem.

- Zająłem się osieroconym dzieckiem, co nie znaczy, że uwierzyłem w jakąś dziwną historię. To moja powinność, mój zawodowy obowiązek. Znajdujemy się w sierocińcu, a ja jestem jego dyrektorem.

To wszystko.

- Chyba jednak nie wszystko, Mr. Carter - zareplikowała Aryami. -

W swoim czasie zadałam sobie trud, by przeprowadzić małe śledztwo.

Nie zawiadomił pan policji o znalezieniu chłopca. Nie ma żadnych papierów zaświadczających o przyjęciu Bena do tej instytucji. Musiał

istnieć jakiś powód, dla którego pan tak postąpił, chociaż pana zdaniem dziwna historia nie zasługiwała na to, by dać jej wiarę.

- Z przykrością muszę zaproponować. Takie dokumenty istnieją. Mają może inne daty, może przywołuje się w nich inne okoliczności. To oficjalna instytucja, a nie skarbnica tajemnic.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie - przerwała mu Aryami. - A raczej sprawił pan, że będę je musiała powtórzyć: czemu sfalszował pan historię Bena, jeśli nie uwierzył pan w to, co napisałam w liście?

- Z całym szacunkiem, nie rozumiem, dlaczego miałbym to pani wyjaśniać.

Aryami spojrzała Carterowi głęboko w oczy; ten odwrócił głowę, by uniknąć jej wzroku. Na twarzy starej kobiety pojawił się gorzki uśmiech.

- Więc widział go pan - powiedziała.

- Mówimy o jakimś nowym bohaterze tej historii? - zapytał Carter.

- I kto tu kogo okłamuje, Mr. Carter?

Wydawało się, że rozmowa utknęła w martwym punkcie. Carter wstał i zaczął krążyć po pokoju, podczas gdy Aryami przyglądała mu się uważnie.

- Przypuśćmy, że uwierzę w pani opowieść - podjął wątek. - To na razie hipoteza. Czego pani ode mnie oczekuje? Co takiego miałbym zrobić?

- Sprawić, by Ben stąd wyjechał - odpowiedziała Aryami stanowczo. - Porozmawiać z nim. Chcę, by mu pan pomógł, by go pan ostrzegł. Nie proszę pana o nic, czego nie robił pan dla niego przez te szesnaście lat.

- Muszę spokojnie się nad tym wszystkim zastanowić - powiedział

Carter.

- Byle tylko nie zastanawiał się pan zbyt długo. Ten człowiek czekał

szesnaście lat, więc może jeden dzień nie sprawi mu różnicy. Ale może nie zechce dłużej czekać.

Carter znów opadł na fotel i dawał do zrozumienia, że się poddaje.

- W dniu, w którym znaleźliśmy Bena, złożył mi wizytę niejaki Jawahal - przyznał. - Zapytał mnie o chłopca, a ja powiedziałem mu, że o niczym nie mamy pojęcia. Posiedział jeszcze chwilę, a potem sobie poszedł i nigdy już nie wrócił.

- Ten człowiek używa wielu imion, posługuje się rozmaitymi tożsamościami, ale przyświeca mu zawsze jeden i ten sam cel - rzekła Aryami z metalicznym błyskiem w oczach. - Nie przejechałam całych Indii, by siedzieć teraz z założonymi rękoma i patrzeć, jak dzieci mojej córki giną przez niezdecydowanie pary starych głupków, proszę mi wybaczyć to wyrażenie.

- Może i jestem starym głupkiem, ale potrzebuję czasu, by przemyśleć sprawę w spokoju. Chyba powinniśmy zawiadomić policję.

Aryami westchnęła.

- Jest już za późno. Poza tym na nic się to zda - odparła zdecydowanie. - Jutro o zmierzchu opuszczę razem z wnuczką Kalkutę.

Jutro po południu Ben powinien wyjechać jak najdalej stąd. Ma pan niewiele czasu, by porozmawiać z chłopcem i wszystko przygotować.

- To nie takie proste - westchnął.

- Przeciwnie, to bardzo proste. Jeśli pan z nim nie porozmawia, zrobię to ja - zagroziła Aryami, kierując się w stronę drzwi gabinetu. -1

niech się pan modli, by ten człowiek nie znalazł go, zanim wstanie świt.

- Jutro porozmawiam z Benem - powiedział Carter. - Nie mogę zrobić nic więcej.

Aryami spojrzała na niego po raz ostatni z progu gabinetu. Jutro już się zaczęło.

* * *

- Sekretne stowarzyszenie? - zapytała Sheere, a oczy aż zalśniły jej z ciekawości. - Myślałam, że sekretne stowarzyszenia istnieją tylko w radiowych powieściach w odcinkach.

- Obecny tu Siraj, nasz ekspert w tej dziedzinie, mógłby przytoczyć całą masę przykładów na potwierdzenie całkiem przeciwnej tezy -

powiedział Ian.

Siraj przytaknął skwapliwie, wyraźnie zadowolony z tej aluzji do swojej rozległej erudycji.

- Słyszałaś kiedyś o frankomasonach? - zapytał.

- Proszę cię - uciał Ben. - Sheere pomyśli, że jesteśmy bandą zakapturzonych guślarzy.

- A nie jesteście? - kpiąco zapytała dziewczyna.

- Nie - zaprzeczył poważnie Seth. - Chowbar Society stawia sobie dwa cele, oba pozytywne: zobowiązani jesteśmy do wzajemnej pomocy oraz dzielenia się wiedzą po to, by zbudować lepsze jutro.

- Z tego, co wiem, najwięksi wrogowie ludzkości też głosili te hasła

- zauważyła Sheere.

- Tylko przez ostatnie dwa czy trzy tysiące lat - wtrącił się Ben. -

Zmieńmy temat. Ta noc jest zupełnie wyjątkowa dla Chowbar Society.

- Dziś się rozwiązujemy - powiedział Michael.

- Nawet niemi przemawiają tej nocy - wykrzyknął zaskoczony Roshan.

Sheere przyjrzała się chłopcom ciekawie, usiłując ukryć rozbawienie, jakie wywoływała w niej ta nieustanna wymiana złościwości.

- Michael chciał powiedzieć, że dziś odbędzie się ostatnie zebranie Chowbar Society - wyjaśnił Ben.

- Po siedmiu latach czas opuścić kurtynę.

- Świetnie - zmartwiła się Sheere. - Jak już raz w życiu udało mi się trafić na sekretne stowarzyszenie, okazuje się, że właśnie ma się rozwiązać. Nie zdążę już zostać jego członkiem.

- Nikt nie mówił, że przyjmujemy nowych członków. - Isobel, która do tej pory w milczeniu przysłuchiwała się rozmowie, nie spuszczać oka z intruzki, sprowadziła Sheere na ziemię. - Co więcej, gdyby tutaj obecni nie mieli tak długich jęzorów i nie złamali jednej z przysięg, które składali w chwili wstępowania do stowarzyszenia, nawet nie dowiedziałyby się o istnieniu Chowbar Society. Na widok dziewczyny zupełnie tracą głowę.

Sheere uśmiechnęła się pojednawczo do Isobel. Zastanowiła ją ta wroga postawa. Widać nie tak łatwo było się pogodzić z utratą statusu jedynej dziewczyny w gronie.

- Wolter mówił, że największymi mizoginami są kobiety - zauważył

Ben, jakby pomyślał o tym samym.

- A któż to, do licha, ten Wolter? - fuknęła Isobel. - Podobna niedorzeczność mogła wypłynąć tylko z twoich ust.

- Ignorancja się odezwała - odciął się Ben. - Chociaż może Wolter nie wyraził się dokładnie w ten sposób...

- Przestańcie się już sprzeczać - przerwał im Roshan. - Isobel ma rację. Niepotrzebnie się wygadaliśmy.

Sheere pomyślała z niepokojem, że w kilka minut atmosfera zmieniła się diametralnie.

- Nie chciałabym stać się przyczyną kłótni. Najlepiej będzie, jak wrócę do babci. A wszystko, co usłyszałam, uznaję za niebyłe -

powiedziała, oddając Benowi szklanekę.

- Nie tak prędko, księżniczko - rozległ się za jej plecami głos Isobel.

Sheere odwróciła się i stanęła naprzeciwko dziewczyny.

- Teraz, kiedy coś już wiesz, musisz dowiedzieć się wszystkiego -

odezwała się Isobel z zawstydzonym półuśmiechem. - Przepraszam cię za to, co powiedziałam wcześniej.

- Dobry pomysł - zawyrokował Ben. - Do dzieła, nie ma na co czekać.

Sheere uniosła brwi, nie wiedząc, o co chodzi.

- Będzie musiała zapłacić wpisowe - przypomniał Siraj.

- Nie mam pieniędzy...

- Nie jesteśmy kościołem, kochana, nie chodzi nam o pieniądze -

wyjaśnił Seth. - Cena jest inna.

Sheere przyjrzała się tajemniczym minom członków Chowbar Society, jakby miała nadzieję, że w ich twarzach znajdzie odpowiedź na nurtujące ją pytania, Ian uśmiechnął się do niej przyjaźnie.

- Nie bój się, to nic złego - wyjaśnił. - Chowbar Society zbiera się w swojej sekretnej siedzibie po północy. Wszyscy w chwili przyjęcia zapłaciliście wpisowe.

- A gdzie macie tę sekretną siedzibę?

- W Pałacu - odpowiedziała Isobel. - W Pałacu Północy.

- Nigdy o nim nie słyszałam.

- Nikt, oprócz nas, nigdy o nim nie słyszał - dodał Siraj.

- A wpisowe, które trzeba zapłacić?

- To historia - rzekł Ben. - Osobista historia; tajemnica, z której nigdy się nikomu nie zwierzałaś. Opowiesz nam ją, a twój sekret zostanie na zawsze między członkami Chowbar Society.

- Masz taką historię? - wyzywająco spytała Isobel, przygryzając wargę.

Sheere jeszcze raz spojrzała na sześciu chłopców i dziewczynę wpatrujących się w nią badawczo i skinęła głową.

- Opowiem wam historię, jakiej jeszcze nigdy nie słyszeliście -

powiedziała w końcu.

- W takim razie - odparł Ben, zacierając ręce - nie mamy chwili do stracenia.

* * *

Podczas gdy Aryami Bose wyłuszczała Carterowi przyczyny, dla których wróciła z wnuczką do Kalkuty po latach długiego wygnania, siedmiu członków Chowbar Society prowadziło Sheere przez krzewy okalające posesję, na której wznosił się Pałac Północy.

Nowo przybyłej rzeczony Pałac wydał się raczej opuszczoną ruiną.

Przez dziury w dachu przebierało usiane gwiazdami niebo, a pośród łamiących się cieni od czasu do czasu można było dostrzec resztki gargulców, kolumn i reliefów, świadczących o tym, że w czasach swojej świetności siedziba Chowbar Society była wytwornym pałacykiem rodem z baśni.

Przedarli się przez ogród wąskim tunelem wyciętym pośród chaszczy. Delikatny wietrzyk poruszał

listowiem i szumiał pomiędzy kamiennymi arkadami Pałacu. Ben odwrócił się i spojrział na Sheere, uśmiechnięty od ucha do ucha.

- Podoba ci się? - zapytał z dumą w głosie.

- Jest taki oryginalny - niepewnie odpowiedziała Sheere, bojąc się w sposób zbyt brutalny ostudzić entuzjazm chłopca.

- Jedyny w swoim rodzaju - poprawił Ben i ruszył dalej.

Wyglądało na to, że nic nie mogło zachwiać jego opinią na temat uroków kwatery głównej Chowbar Society.

Sheere uśmiechnęła się w duchu i pozwalając się prowadzić, myślała, jak wspaniale byłoby móc poznać to miejsce w czasach, gdy służyło jej nowym przyjaciołom za schronienie i sanktuarium. Ze zrujnowanego, pełnego wspomnień pałacyku emanowała owa aura magii i iluzji, jaką mają jedynie niewyraźne wspomnienia z najwcześniejszego dzieciństwa. I choć była to ostatnia noc Chowbar Society, nie mogła się doczekać, by zapłacić wpisowe i zostać jego członkiem.

Moja sekretna historia jest w rzeczywistości historią mojego ojca.

Obie są nierozdzielnie ze sobą związane. Nigdy nie poznałam ojca, nie mam żadnych związanych z nim wspomnień, wiem o nim tylko tyle, ile dowiedziałam się z ust mojej babci oraz z jego książek i zapisków.

To, co teraz powiem, zapewne wyda się wam dziwne, ale nikt na świecie nie był mi nigdy tak bliski jak ojciec. I chociaż zmarł przed moim urodzeniem, jestem absolutnie pewna, że będzie na mnie czekał

aż do dnia, kiedy będę mogła go wreszcie poznać i przekonać się, że jest tym, za kogo zawsze go uważałam - najlepszym człowiekiem na ziemi.

Moje życie nie różniło się wcale tak bardzo od waszego. Nie wychowałam się co prawda w sierocińcu, ale też nigdy nie dowiedziałam się, jak to jest mieć dom albo kogoś bliskiego - nie licząc mojej babki - dłużej niż przez miesiąc.

Mieszkałyśmy w pociągach, w domach nieznanym, na ulicy, nigdzie długo nie zagrzewałyśmy miejsca i nigdy nie miałyśmy własnego domu, do którego mogłybyśmy wracać. Przez wszystkie te lata tułaczki moim jedynym przyjacielem był ojciec. Ojciec, którego znałam tylko ze wspomnień babki i z jego książek, gdyż, jak mówiłam, nigdy nie było mi dane się z nim spotkać.

Moja matka zmarła przy porodzie, a mnie na zawsze pozostał żal, bo nawet jej nie pamiętam. Wyobrażam ją sobie tylko na podstawie tego, co napisał o niej ojciec w swoich książkach. Spośród nich wszystkich, spośród traktatów inżynierskich i opasłych tomów, których nigdy nie byłam zdolna zrozumieć, moją ulubioną był zawsze niewielki zbiór opowiadań zatytułowany *Lzy Siwy*.

Ojciec napisał je, kiedy nie miał jeszcze trzydziestu pięciu lat i pracował nad projektem planowanej

w Kalkucie linii kolejowej i nowoczesnego dworca ze stali. Niewielkie wydawnictwo z Bombaju opublikowało zbiór, najwyżej sześćset egzemplarzy, za które ojciec nie dostał ani rupii. Mam jeden z nich. To niewielki czarny tomik, z wytłoczonym na grzbiecie złotymi literami napisem: *Łzy Siwy*, L.

Chandra Chatterghee.

Książka ma trzy części. Pierwsza ukazuje wizję ojczyzny zbudowanej w duchu postępu, który się wspiera na zdobyczach techniki, na sieci kolejowej i elektryczności. Ta część nosi tytuł *Mój kraj*. Druga jest opisem domu, cudownej rezydencji, jaką zamierzał wznieść dla siebie i rodziny w przyszłości, kiedy zdobędzie wymarzoną fortunę.

Ukazany jest w niej każdy kąt tego domu, każdy pokój, sprzęt i kolor ściany, z dokładnością, jakiej nie znajdziecie nawet w planach architektonicznych. Tę część ojciec zatytułował *Mój dom*. Trzecia część, *Mój umysł*, to coś w rodzaju wyboru krótkich baśni i opowiadań, tworzonych od wczesnej młodości. Najbardziej ze wszystkich lubię opowiadanie tytułowe. Jest bardzo krótkie. Opowiem je wam...

Pewnego dnia, bardzo dawno temu, Kalkutę nawiedziła okrutna plaga. Zaraza była szczególnie niebezpieczna dla dzieci, które szybko na nią umierały. Powoli mieszkańcy miasta stawali się coraz starsi, a ich przyszłość malowała się w czarnych barwach. Widząc to, Siwa wyruszył

w długą podróż w poszukiwaniu lekarstwa na ową tajemniczą chorobę.

Podczas

tej

wyprawy

zmuszony

był

stawić

czoło

wielu

niebezpieczeństwom.

Na jego drodze mnożyły się rozmaite przeszkody, dlatego przez wiele lat nie wracał. Kiedy wreszcie ponownie zjawił się w Kalkucie, odkrył, że nic nie jest tu takie jak dawniej. Pod jego nieobecność czarownik przybyły z odległych stron świata sprzedał mieszkańcom miasta dziwny eliksir leczący chorobę, lecz zażądał za niego bardzo wysokiej cen - duszy wszystkich dzieci, które od tej pory urodzą się zdrowe.

Siwa nie mógł się nadziwić temu, co ujrzaly jego oczy. Tam, gdzie dawniej rosła dżungla i stały glinianie lepianki, dziś wznosiło się wielkie miasto, tak ogromne, że nie można go było objąć jednym spojrzeniem; ciągnęło się po horyzont, w każdą stronę. Miasto pałaców. Zauroczony tym widokiem Siwa postanowił przybrać ludzką postać i przejść jego ulicami w przebraniu żebraka. Miał nadzieję, że w ten sposób pozna nowych mieszkańców, urodzone dzięki eliksirowi dzieci, których duszy zażądał przybyły z daleka czarownik. Doznał wielkiego rozczarowania.

Przez siedem dni i siedem nocy jako żebrak wędrował po ulicach, pukając do drzwi pałaców: nikt mu nie otworzył. Nikt nie chciał go wysłuchać, wszyscy naigrawali się z niego i jawnie okazywali mu pogardę. Zrozpaczony, snując się po ulicach tego bezbrzeżnego miasta, odkrył jego mizериę, nędzę i czające się w ludzkich sercach ciemności.

Zasmucił się tak bardzo, że ostatniej nocy postanowił opuścić Kalkutę na zawsze.

Kiedy odchodził, rozplakał się i nie zdając sobie z tego sprawy, zostawił za sobą ścieżkę łez, która gubiła się w dżungli. O świcie łzy Siwy zmieniły się w lód. Kiedy ludzie uświadomili sobie, co się stało, chcieli naprawić swój błąd, umieszczając łzy Siwy w specjalnym sanktuarium. Ale łzy, jedna po drugiej, topniały im w rękach, a miasto nigdy więcej nie ujrzało lodu.

Od tego dnia dręczyła je bowiem plaga straszliwych upałów, a bogowie odwrócili się od niego na zawsze, pozostawiając Kalkutę na pastwę duchów ciemności. I tylko ocalała garstka mądrych i prawych ludzi modliła się, by łzy Siwy spadły znów z nieba, przełamując zły czar, który uczynił Kalkutę miastem przeklętym...

Tę historię mojego ojca zawsze lubiłam najbardziej. Być może jest najprostsza ze wszystkich, ale żadna inna nie ucieleśnia tak dobrze wszystkiego, co znaczył dla mnie ojciec, od najwcześniejszych lat i do tej pory. Podobnie jak mieszkańcy przeklętego miasta, zmuszeni odpokutować błędy przeszłości, ja również oczekuję dnia, kiedy łzy Siwy spadną na moje życie i uwolnią mnie na zawsze od mojej samotności.

Tymczasem rozmyślałam o tym domu, który mój ojciec wybudował

najpierw w swojej wyobraźni, a po latach gdzieś w północnej części miasta. Wiem, że on istnieje, chociaż babcia uparcie temu zaprzecza.

Nie zdaje sobie sprawy, że ojciec opisał w swojej książce posesję tu, w Czarnym Mieście, na której zamierzał go postawić. Przez wszystkie te lata marzyłam o tym, żeby się przespacerować po pokojach, które znam na pamięć, i zobaczyć na własne oczy jego bibliotekę, sypialnię, fotel, na którym siedział, pracując...

* * *

Kiedy Sheere skończyła opowieść, niektórzy członkowie Chowbar Society dziękowali w duchu za panujący w Pałacu półmrok, który pozwalał ukryć napływające im do oczu łzy. Nikt się nie kwapił, by przerwać ciszę, która potem zaległa. Sheere roześmiała się nerwowo i spojrzała na Bena.

- Czy zasługuję, by być członkiem Chowbar Society? - zapytała nieśmiało.

- Jeśli o mnie chodzi - odparł - powinnaś zostać członkiem honorowym.

- Sheere, czy ten dom istnieje naprawdę? - zapytał Siraj, zafascynowany taką ewentualnością.

- Jestem pewna, że tak - odpowiedziała. - I zamierzam go znaleźć.

Klucz do tej zagadki na pewno znajduje się w jakimś fragmencie książki mojego ojca.

- Kiedy zaczynamy? - zapytał Seth. - Kiedy wyruszamy na poszukiwanie?

- Choćby jutro - ucieszyła się Sheere. - Liczę na waszą pomoc, jeśli oczywiście chcecie...

- Będzie ci potrzebny ktoś, kto ma głowę na karku - zauważyła Isobel. - Możesz na mnie liczyć.

- Żaden zamek świata nie ma dla mnie tajemnic - odezwał się Roshan.

- Ja mogę odnaleźć każdą znajdującą się w archiwum miejskim mapę, począwszy od tysiąc osiemset pięćdziesiątego dziewiątego roku -

pochwalił się Seth.

- Ja mogę się dowiedzieć, czy dom nie kryje w sobie jakiejś tajemnicy - powiedział Siraj. - Na przykład czy w nim nie straszy.

- Ja mogę narysować go tak, jak wygląda naprawdę - rzekł Michael.

- Naszkicować plany. Na podstawie opisów w książce, oczywiście.

Sheere uśmiechnęła się i spojrzała na Bena i Iana.

- Doskonale - Ben odezwał się pierwszy. - Ktoś musi pokierować operacją. Podejmę się tego zadania, Ian może przemywać jodyną ranę każdego, kto wbije sobie drzazgę.

- Rozumiem, że słowo „nie” dla was nie istnieje - powiedziała Sheere.

- Wymazaliśmy je ze słownika St. Patrick's pół roku temu -

oświadczył Ben. - Teraz należysz do Chowbar Society. Twoje problemy są naszymi problemami. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

- Sądziłem, że się rozwiązujemy - zauważył Siraj.

- Ogłaszam, że towarzystwo przedłuża swoje istnienie ze szczególnie ważkich przyczyn - obwieścił Ben, piorunując przyjaciela wzrokiem.

Siraj cofnął się w ciemności.

- Znakomicie - rzekła Sheere. - Ale teraz musimy wracać.

* * *

Spojrzenie, którym Aryami powitała Sheere, byłoby zdolne skuć lodem rzekę Hooghly w samo południe. Staruszka czekała przy wejściu głównym w towarzystwie Bankima. Mina tego ostatniego wystarczyła, by Ben uznał za stosowne ułożyć naprędce przeproszającą przemowę.

Miał nadzieję złagodzić choć trochę reprimendę czekającą niechybnie nową przyjaciółkę. Wyprzedził nieco swoich towarzyszy i rozjaśnił

twarz najsympatyczniejszym uśmiechem, na jaki było go stać.

- To moja wina, proszę pani. Chcieliśmy tylko pokazać Sheere patio na tyłach budynku - zaczął.

Aryami, nawet na niego nie spojrzawszy, zwróciła się od razu do wnuczki.

- Mówiłam ci, że masz na mnie tu czekać i nie ruszać się z miejsca -

powiedziała, a jej twarz aż płonęła gniewem.

- Byliśmy zaledwie dwadzieścia metrów stąd, proszę pani - wtrącił

się Ian.

Aryami spojrzała na niego wzrokiem bazyliuszka.

- O nic cię nie pytałam, chłopcze - ucięła, nie siląc się nawet na odrobinę kurtuazji.

- Przykro nam, że panią zdenerwowaliśmy, nie chcieliśmy - uparcie ciągnął Ben.

- Daj spokój, Ben - przerwała mu Sheere. - Nie potrzebuję adwokatów.

Pełne gniewu oblicze starej damy przybrało na chwilę łagodniejszy wyraz, co nie uszło uwagi żadnego z członków Chowbar Society.

Aryami wskazała na Bena. W świetle ogrodowych lampionów wydawało się, że nagle zbladła.

- Więc to ty jesteś Ben? - zapytała cicho.

Chłopak

przysknął.

Ukrywając

zaskoczenie,

wytrzymał

nieprzenikniony wzrok kobiety. W jej oczach nie było nienawiści, tylko smutek i lęk. Aryami ujęła wnuczkę za ramię i spuściła wzrok.

- Czas na nas - powiedziała. - Pożegnaj się z kolegami.

Nowi przyjaciele Sheere skinęli jej głowami na pożegnanie, a Sheere uśmiechnęła się nieśmiało. Potem Aryami Bose pociągnęła ją za rękę i odeszły. Ich sylwetki zaczęły rozmywać się w ciemności, w którą oblekły się ulice miasta, Ian podszedł do Bena i patrzył, jak przyjaciel odprowadza wzrokiem niknące w oddali i niewidoczne już prawie postaci Sheere i Aryami.

- Przez chwilę miałem wrażenie, że ta kobieta czegoś się boi -

powiedział Ian.

Ben pokiwał głową z nieobecnym wyrazem twarzy.

- A kto się nie boi w noc taką jak ta? - zapytał.

- Myślę, że najlepiej będzie, jak wszyscy pójdziemy spać.

Wystarczy na dzisiaj - zawyrokował stojący w progu Bankim.

- To sugestia czy rozkaz? - spytała Isobel.

- Dobrze wiecie, że moja sugestia jest dla was rozkazem - uprzejmie wyjaśnił Bankim, wskazując gestem drzwi.

- Zapraszam do środka.

- Tyran - mruknął pod nosem Siraj. - Naciesz się władzą, bo zostało ci tylko kilka dni.

- Zapomniał wół... - dodał Roshan.

Bankim z uśmiechem przyglądał się siedmiorgu uczniom maszerującym posłusznie do środka, puszczając mimo uszu ich protesty.

Ostatni wszedł Ben, posyłając Bankimowi

porozumiewawcze

spojrzenie.

- Teraz narzekają - powiedział - ale za pięć dni z rozczuleniem będą wspominać twój wojskowy dryl.

- Ty też za nim zatęsknisz, Ben - roześmiał się Bankim.

- Ja już za nim tęsknię - szepnął Ben i zaczął wchodzić po schodach do sypialni na pierwszym piętrze, myśląc o tym, że za niespełna tydzień nie będzie już liczył co noc tych samych znanych sobie dwudziestu czterech stopni.

* * *

Ben zbudził się nad ranem. W sypialni panował migotliwy, niebieskawy półmrok. Chłopcu zdawało się, że czuje na twarzy powiew zimnego powietrza niczym lodowaty oddech kogoś ukrywającego się w ciemnościach. Snop nikłego światła migotał za wąskim, zwieńczonym łukiem oknem, kreśląc na ścianach i suficie pokoju siatkę tańczących cieni. Ben wymacał na skromnym nocnym stoliczku, stojącym tuż obok łóżka, zegarek i w mdłym świetle księżycy spróbował sprawdzić, która jest godzina. Mała wskazówka przecinała właśnie równoleżnik dzielący noc na pół. Była trzecia.

Westchnął, uświadomiwszy sobie, że ostatnie resztki snu ulotniły się właśnie z jego głowy jak krople rosy w promieniach porannego słońca. Pomyślał, że widmo bezsenności dręczące co noc Iana dziś musiało pomylić łóżka. Mimo wszystko zamknął jeszcze raz oczy i przywołał obrazy szkolnej uroczystości, zakończonej zaledwie kilka godzin wcześniej, licząc na to, że zdoła się w ten sposób uspokoić i znów zapaść w sen. I w tej właśnie chwili usłyszał po raz pierwszy ów dźwięk. Uniósł się na łóżku. Zdało mu się, że ten dziwny, wibrujący odgłos dochodzi gdzieś z patia, z ogrodu.

Odrzucił kołdrę i powoli podszedł do okna. Zobaczył, jak zgasłe lampiony, rozwieszane na gałęziach drzew, chwieją się na wietrze. Jego uszu doszło jakby bardzo dalekie echo dziecięcych głosów; śmiały się, rozmawiały, nuciły. Były ich setki. Oparł czoło na szybie, która zaparowała natychmiast pod jego oddechem i przez tę jakby gazę dostrzegł postać, wyciągniętą i nieruchomą, otuloną czarnym płaszczem.

Stała na środku patia i bez wątpienia patrzyła na niego.

Przerażony cofnął się o krok. Na jego oczach szyba wielkiego okna rozkruszyła się niczym lód - najpierw pękła w samym środku, po czym rysa natychmiast rozrosła się jak bluszcz, jak pajęczyna utkana z nitki wydrapanych przez niewidzialne szpony na przezroczystej tafli. Poczuł, że włos jeży mu się na głowie, a oddech staje się przyspieszony, urywany.

Rozejrzał się dookoła. Wszyscy koledzy leżeli spokojnie w swoich łóżkach, pogrążeni w głębokim śnie. Znów rozległ się daleki odgłos tych samych dziecięcych głosów. Ben zauważył, jak przez popękaną szybę sączy się do środka galaretowata mgła niczym kłęby niebieskiego dymu przenikające przez jedwabną chustę.

Znów zbliżył się do okna, próbując wyrzec na patio. Postać stała tam nadal. Teraz wyciągnęła rękę i wskazała na niego. Z jej długich, zakończonych szponami palców buchały płomienie. Ben stał przez chwilę bez ruchu, nie mogąc oderwać wzroku od zjawy. Dopiero kiedy postać odwróciła się i zaczęła znikać w ciemności, jakby obudził się z letargu i wybiegł z sypialni.

Pusty korytarz słabo oświetlała gazowa lampa, będąca jeszcze częścią starej instalacji St. Patrick's, ocalałej z przeprowadzonych w ostatnich latach prac remontowych. Ben dopadł schodów, zbiegł co sił w nogach, pędem minął jadalnię i wypadł na patio przez drzwi kuchenne dokładnie w momencie,

gdy ciemna sylwetka zniknęła w mrocznym zaułku na tyłach budynku, tonącym teraz w gęstej mgle, unoszącej się ze studzienek kanalizacyjnych. Pobiegł w stronę tej mgły i zanurzył się w nią.

Przebiegłszy mniej więcej sto metrów w tym tunelu lodowatych oparów, znalazł się na opuszczonym terenie rozciągającym się na północ od St. Patrick's, ziemi niczyjej, która służyła najuboższym mieszkańcom północnych dzielnic Kalkuty za złomowisko, śmietnisko i osiedle baraków. Omijając błotniste kałuże na krętej ścieżce, wśród labiryntu spalonych i opuszczonych lepianek, dotarł na miejsce, przed którym zawsze przestrzegał go Thomas Carter.

Dziecięce głosy zdawały się dobiegać właśnie stamtąd, z głębi ruin -
siedliska nędzy i brudu.

Ben skierował się ku wąskiemu przejściu pomiędzy dwiema zniszczonymi chatami i stanął nagle, widząc, że znalazł to, czego szukał.

Przed oczyma miał teraz bezbrzeżny, płaski wyludniony teren pełen zrujnowanych lepianek. Z jego środka buchała błękitna para przywodząca na myśl dym z paszczy niewidzialnego smoka.

Stamtąd też dochodziły owe głosy; teraz jednak nie był to gwar ani śmiechy, ani też dziecięce piosenki, ale krzyk trwogi i wołanie o pomoc setek uwięzionych dzieci. Gwałtowny powiew zimnego wiatru cisnął

Bena na ścianę lepianki, a zza pulsującej mgły wyłoniła się z przeraźliwym świstem stalowa lokomotywa. Ziemia pod stopami chłopca zadrżała.

Zamknął oczy i otworzył je znowu, mając nadzieję, że była to halucynacja. Z mgły wynurzał się pociąg z rozgrzanego do czerwoności metalu, cały w płomieniach. Ben mógł dojrzeć twarze konających dzieci uwięzionych w przedziałach. Płonące części rozsypywały się, tworząc kaskady żaru. Chłopiec przebiegł wzrokiem wagony aż do lokomotywy, podobnej do majestatycznej rzeźby ze stali, która topiła się teraz powoli jak wrzucona do ognia woskowa figurka. W kabinie zauważył postać, którą widział wcześniej na patio. Nic sobie nie robiąc z otaczających płomieni, wyciągała w jego stronę ręce w powitalnym geście.

Ben poczuł na twarzy żar. Zatkanął uszy, nie mogąc dłużej znieść przyprawiającego o obłąd wycia dzieci. Pociąg w ogniu pędził teraz przez ten posępny teren i Bena ogarnęło przerażenie, kiedy zrozumiał, że z furją pocisku kieruje się wprost na budynek St. Patrick's.

Ben pobiegł za nim co sił w nogach, osłaniając się przed deszczem iskier i uchylając przed kroplami stopionego żelaza, nie mógł się jednak zrównać z pociągiem, który gnał coraz szybciej w stronę sierocińca, zabarwiając niebo na kolor purpury. Chłopiec zatrzymał się, nabrał tchu i krzyknął, jak mógł najgłośniej, by ostrzec tych, którzy spalili spokojnie w budynku, nieświadomi czekającej ich nieuchronnie tragedii.

Zdesperowany patrzył, jak pociąg zbliża się do St. Patrick's, i zrozumiał, że za kilka sekund lokomotywa obróci budynek w gruz i pył, a wszyscy jego mieszkańcy zginą. Rzucił się na kolana i

krzyknął ostatni raz, bezsilnie patrząc, jak pociąg wpada na tylne patio St. Patrick's i osiąga masywnej elewacji.

Był przygotowany na najgorsze. Nie mógł jednak wyobrazić sobie tego, co nastąpiło potem. Oszalała lokomotywa w tornadzie płomieni roztrzaskała się o mur, wybuchając tysiącem błędnych ogni. Cały pociąg wślizgnął się w ścianę z czerwonej cegły jak wąż z pary i rozplątał w powietrzu, unosząc z sobą rozdzierające krzyki dzieci i ogłuszający ryk parowozu.

Chwilę później znów zapanowały nocne ciemności. Nienaruszona bryła sierocińca odcinała się na ich tle w dalekich pobłyskach świateł

Białego Miasta i Maidan, setki metrów na południe. Szczeliny w ścianie wchłonęły mgłę i wkrótce nie było śladu po widowisku, którego chłopak był świadkiem.

Ben podszedł powoli do ściany i położył dłoń na jej nietkniętym tynku. Poczował, jak jego ramieniem wstrząsa elektryczny dreszcz, i upadł

na ziemię. Kiedy podniósł głowę, zobaczył, że na ścianie widnieje czarny, dymiący ślad jego dłoni.

Wstał z trudem. Serce waliło mu jak młotem, dłonie dygotały.

Spróbował głęboko odetchnąć, otarł łzy, które wycisnął mu z oczu ogień. Odzyskawszy nieco spokój, zaczął powoli okrążyć budynek, kierując się z powrotem ku kuchennym drzwiom. Korzystając ze sztuczki, której nauczył go Roshan, udało mu się przechytryć zamknięty od wewnątrz haczyk; otworzył drzwi ostrożnie i przez kuchnię i przedpokój na parterze doszedł do schodów. Sierociniec pogrążony był w głębokiej ciszy i Ben zrozumiał, że nikt poza nim nie słyszał ryku pociągu.

W sypialni koledzy spali, a na szybie nie było nawet maleńkiego zadrapania. Położył się na swoim łóżku, ciężko dysząc. Znów wziął

leżący na nocnym stoliku zegarek i popatrzył, która godzina. Mógłby przysiąc, że pozostawał poza budynkiem ponad dwadzieścia minut.

Zegarek tymczasem wskazywał tę samą godzinę co przedtem. Ben przyłożył cyferblat do ucha, usłyszał regularne tykanie.

Spróbował pozbierać myśli. Zaczął wątpić, czy naprawdę zobaczył

to, co zobaczył. A może wcale nie ruszył się z sypialni, a cały epizod po prostu mu się przyśnił? Spokojne oddechy kolegów naokoło i nienaruszona szyba w oknie zdawały się potwierdzać to przypuszczenie.

Może poniosła go zbyt wybujała wyobraźnia? Skołowany zamknął oczy i bezskutecznie próbował zasnąć. Zacisnął powieki i leżał bez ruchu w nadziei, iż uda mu się oszukać w ten sposób własne ciało i sprawić, by pogrążyło się we śnie.

O świcie, kiedy pierwsze promienie słońca ukazały się nad Szarym Miastem - sektorem

muzułmańskim we wschodniej części Kalkuty -

wyskoczył z łóżka i pobiegł na patio, by w świetle dziennym przyjrzeć się tylnej elewacji budynku. Pociąg nie pozostawił na niej najmniejszej rysy. Ben nabrał już prawie pewności, że wszystko to było tylko snem -

niezwykle intensywnym, ale jednak snem - kiedy kątem oka dostrzegł

ciemną plamę na murze.

Podszedł bliżej; na ścianie z czerwonej cegły widniał odcisk jego dłoni. Westchnął i ruszył biegiem do sypialni obudzić Iana, który po raz pierwszy od tygodni znalazł się w objęciach Morfeusza, zdoławszy przynajmniej na jedną noc uwolnić się od dręczącej go bezsenności.

* * *

Pałac Północy w świetle dziennym pozbawiony był swego zwykłego uroku; przypominał teraz to, czym był - rudere przywołującą wspomnienia lepszych czasów. Opowieść Bena złagodziła jednak bolesne rozczarowanie, jakim było dla członków Chowbar Society oglądanie ulubionej scenerii odartej z wdzięków i tajemniczości, których przydawały jej noce Kalkuty. Wszyscy wysłuchali Bena w milczeniu, nie przerywając, na niektórych twarzach malowało się zdziwienie, na innych niedowierzanie.

- I zniknął, dotknąwszy muru, jakby był z powietrza? - zapytał Seth.

Ben przytaknął.

- To najdziwniejsza historia, jaką opowiedziałeś w ciągu ostatniego miesiąca - podsumowała Isobel.

- To nie żadna historia. Widziałem wszystko na własne oczy -

odparł Ben.

- Nikt w to nie wątpi - zapewnił go Ian pocieszającym tonem. - Ale wszyscy spaliśmy i nic nie słyszeliśmy. Nawet ja.

- I to dopiero brzmi niewiarygodnie - uznał Roshan.

- Może Bankim wsypał coś do lemoniady?

- Nie bierzecie na serio mojej opowieści? - zapytał Ben.

- Nie widzieliście śladu dłoni?

Nikt nie odpowiedział. Ben spojrzał wyczekująco na rachitycznego astmatyka, ze wszystkich członków stowarzyszenia niewątpliwie najbardziej skłonnego wierzyć we wszelkiego rodzaju opowieści o duchach.

- A ty, Siraj? - zapytał Ben.

Chłopak uniósł wzrok i popatrzył na kolegów, zastanawiając się, co powiedzieć.

- Już nie takie rzeczy zdarzały się w Kalkucie - odparł wymijająco. -

Wystarczy przypomnieć na przykład historię Hastings House.

- A co ma jedno wspólnego z drugim? - zaprotestowała Isobel.

Historia Hastings House, położonej na południe od Kalkuty dawnej rezydencji gubernatora prowincji, należała do ulubionych legend Siraja i bez wątpienia najbardziej charakterystycznych spośród odnotowanych w miejskich annałach. Otóż w nocie pełni księżyca pierwszy gubernator Bengalu, Warren Hastings, zajeżdżał widmowym powozem przed ganek niegdysiejszej posiadłości w Alipore, wchodził do domu i gorączkowo przetrząsał wszystko w poszukiwaniu dokumentów zaginionych w burzliwych czasach swego mandatu.

- Okoliczni mieszkańcy widywali go przez całe dziesięciolecia -

zapewnił Siraj. - To prawda, tak samo prawdziwa jak to, że monsuny zatapiają ulice.

Członkowie Chowbar Society rozpoczęli zażartą debatę na temat wizji Bena. Jedyną osobą niebiorącą w niej udziału był sam zainteresowany. Kilka minut później, gdy stało się już jasne, że żaden racjonalny dialog nie jest możliwy, spostrzegli, iż w progu sali bez dachu, aż huczającej od gwaru rozmów, stoi ubrana na biało postać.

Wszystkie głosy umilkły po kolei.

- Nie chciałam wam przerywać - powiedziała nieśmiało Sheere.

- Błogosławieni, którzy przerywają - uspokoił ją Ben.

- Zresztą tylko się kłóciliśmy. Dla odmiany.

- Słyszałam koniec - przyznała Sheere. - Widziałeś coś w nocy, Ben?

- Sam już nie wiem - odparł zrezygnowany chłopak.

- A tobie jak udało się wymknąć spod kurateli babci? Coś mi się zdaje, że wczoraj wpędziliśmy cię w niezłe tarapaty.

Sheere uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Babcia to dobra kobieta, ale czasami ulega obsesjom i uważa, że za każdym rogiem czyha na mnie niebezpieczeństwo - wyjaśniła Sheere.

- Teraz nawet nie wie, że tu przyszedłam. Dlatego muszę szybko wracać.

- Czemu? Dziś mieliśmy zrobić wycieczkę na nabrzeże, mogłabyś pójść z nami - powiedział Ben ku wielkiemu zaskoczeniu całej reszty, która pierwszy raz usłyszała o takich planach.

- Nie mogę z wami iść, Ben. Jestem tu, żeby się pożegnać.

- Co? - zakrzyknęli wszyscy naraz.

- Jutro wyruszamy do Bombaju - powiedziała Sheere. - Babcia mówi, że tutaj nie jesteśmy bezpieczni i musimy wyjechać. Zabroniła mi spotykać się z wami, ale nie chciałam wyjeżdżać bez pożegnania.

Jesteście jedynymi przyjaciółmi, jakich miałam przez ostatnie dziesięć lat, nawet jeśli tylko na jedną noc...

Ben spojrzał na nią jak rażony gromem.

- Wyjeżdżacie do Bombaju? - wybuchnął. - Po co? Twoja babcia chce zostać gwiazdą filmową? To jakiś absurdalny żart!

- Obawiam się, że nie - powiedziała smutno Sheere. - To moje ostatnie godziny w Kalkucie. Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko temu, bym spędziła je z wami?

- Chcemy, żebyś została, Sheere - zaapelował Ian w imieniu wszystkich.

- Zaraz, zaraz! - zaprotestował coraz bardziej rozjuszony Ben. - Co to w ogóle za pożegnania? Ostatnie godziny w Kalkucie? Co to, to nie, moja panno. Sto lat w tym mieście to jeszcze za mało, by poznać chociażby część jego tajemnic. Nie możesz tak po prostu wyjechać. Tym bardziej teraz, kiedy jesteś pełnoprawnym członkiem Chowbar Society.

- Powiedz to mojej babci - odparła zrezygnowana Sheere.

- Taki właśnie mam zamiar.

- Znakomity pomysł - stwierdził Roshan. - Wczoraj zapałała do ciebie wielką sympatią.

- Ludzie małej wiary - poskarżył się Ben. - A co z naszą przysięgą?

Musimy pomóc Sheere odnaleźć dom jej ojca. Nikt nie wyjedzie z miasta, póki nie znajdziemy tego domu i nie odkryjemy jego sekretów.

Koniec i kropka.

- Ja się zgłaszam - powiedział Siraj. - Nie wiem tylko, jak zamierzasz to zrobić. Jak przekonasz babcię Sheere? Groźbą?

- Czasami słowo bywa potężniejsze niż miecz - stwierdził

sentencjonalnie Ben. - Wiecie może, kto to powiedział?

- Wolter? - zasugerowała Isobel.

Ben puścił mimo uszu ironiczny komentarz.

- A cóż to będą za słowa? - zapytał Ian.

- Nie moje, oczywiście - zapewnił Ben. - Niech przemówi Mr.

Carter. Rozmowę z twoją babcią pozostawimy jemu.

Sheere spuściła wzrok i wolno pokręciła głową.

- To na nic, Ben - powiedziała bez cienia nadziei w głosie. - Nie znasz Aryami Bose. Nie ma na świecie osoby bardziej upartej niż ona.

Ma to we krwi.

Na ustach Bena pojawił się koci uśmiech, a jego oczy zaśniły w południowym słońcu.

- A właśnie że jest. I właśnie stoi przed tobą. Poczekaj, aż zobaczysz mnie w akcji, a przekonasz się, że mam rację.

- Ben, wpakujesz nas w niezłą kabałę - ostrzegł Seth.

Ben dumnie uniósł brwi i po kolei zlustrował wszystkich nieustępliwym wzrokiem.

- Jeśli ktoś ma coś do powiedzenia, niech wyjawi to teraz albo zachowa dla siebie na zawsze - oświadczył uroczyście.

Nikt się nie zgłosił.

- Dobrze. Propozycja została przyjęta jednomyślnie. A teraz do dzieła.

* * *

Carter wsunął swój prywatny klucz do zamka w drzwiach gabinetu i przekręcił dwukrotnie. Zamek zazgrzytał, Carter otworzył drzwi.

Wszedłszy do środka, z powrotem zamknął je za sobą. Chciał

przynajmniej przez godzinę być sam i nie musieć z nikim rozmawiać.

Rozpiął guziki kamizelki i zbliżył się do swojego fotela.

Dopiero wtedy dostrzegł postać siedzącą nieruchomo w fotelu naprzeciwko. Klucz wyslizgnął mu się z rąk, ale nie upadł na podłogę.

Zwinna dłoń w czarnej rękawiczce złapała go w locie. Twarz o ostrych rysach, widoczna na tle oparcia fotela, wyszczerzyła się w wilczym uśmiechu.

- Kim pan jest? Jak pan tu wszedł? - spytał Carter, nie mogąc opanować drżenia w głosie.

Intruz wstał i Carter poczuł, że krew odpływa mu z twarzy.

Rozpoznał w nim mężczyznę, który odwiedził go w tym samym gabinecie szesnaście lat temu. Jego twarz nie postarzała się nawet o jeden dzień, a w oczach tliła się ta sama nienawiść, którą dyrektor tak dobrze zapamiętał. Jawahał.

Gość podszedł do drzwi i zamknął je na klucz. Carter przełknął

ślinę. Przez głowę przemknęły mu wszystkie przestrogi usłyszane poprzedniej nocy od Aryami Bose. Jawahał ścisnął klucz w dłoniach, metal zgiął się w jego palcach niczym blaszana zabawka.

- Mam wrażenie, że niespecjalnie się pan ucieszył na mój widok, Mr. Carter - rzekł Jawahał. - Nie pamięta pan, że szesnaście lat temu umówiliśmy się na to spotkanie? Przyszedłem przekazać obiecaną darowiznę.

- Proszę natychmiast stąd wyjść, bo zawiadomię policję!

- Proszę sobie tym na razie głowy nie zawracać. Sam to zrobię, kiedy będę stąd wychodził. Niech pan usiądzie i poświęci chwilkę na rozmowę ze mną.

Carter usiadł w swoim fotelu. Starał się za wszelką cenę zachować swój opanowany, władczy wyraz twarzy. Jawahał uśmiechnął się uprzejmie.

- Przypuszczam, że wie pan, po co tu jestem - powiedział intruz.

- Nie wiem, czego pan szuka, ale na pewno tutaj pan tego nie znajdzie - odparł Carter.

- Może tak, a może nie - odpowiedział Jawahał zagadkowo. -

Szukam chłopca, który już przestał być chłopcem; teraz jest mężczyzną.

Pan wie doskonale, o kim mówię. Byłoby mi niezmiernie przykro, gdybym musiał zrobić panu krzywdę.

- Grozi mi pan? Jawahał się roześmiał.

- Tak - odpowiedział obojętnym tonem. - A jeśli już to robię, to na serio.

Carter po raz pierwszy pomyślał, że chyba powinien zacząć krzyczeć, spróbować wezwać pomoc.

- Jeśli już koniecznie chce pan krzyczeć - powiedział Jawahał -

proszę mi przynajmniej pozwolić, bym dostarczył panu powodów.

Wypowiedziawszy te słowa, Jawahal rozwarł przed twarzą Cartera swoją prawą dłoń i zaczął powolnymi, wystudiowanymi ruchami zdejmować z palców rękawiczkę.

* * *

Sheere i jej nowi przyjaciele przechodzili właśnie przez furtkę prowadzącą na patio St. Patrick's, kiedy okna gabinetu Thomasa Cartera, na pierwszym piętrze, wyleciały z ram z przeraźliwym hukiem. Na ogród spadł deszcz szklanych odłamków, cegieł i kawałków drewna.

Członkowie Chowbar Society zastygli przez chwilę w bezruchu, oniemiaли z przerażenia. Potem rzucili się do drzwi, nie bacząc na płomienie i dym buchający z dziury w fasadzie.

W chwili wybuchu Bankim znajdował się na drugim końcu korytarza. Przeglądał dokumenty związane z zarządzaniem szkołą, które miał zanieść Carterowi do podpisu. Wybuch powalił go na podłogę; kiedy uniósł wzrok, zobaczył, jak drzwi z hukiem wypadają z futryny i roztrzaskują się o ścianę, a korytarz zalewa chmura gęstego dymu.

Bankim podniósł się w sekundę i pobiegł w stronę centrum eksplozji. Kiedy od drzwi gabinetu dzieliło go zaledwie sześć metrów, ujrzał, jak wyłania się stamtąd postać, ogarnięta płomieniami, w rozwianym czarnym płaszczu, i niczym olbrzymi nietoperz oddala się z miejsca zdarzenia z niezwykłą prędkością. Owa zjawą, wydająca z siebie coś w rodzaju wściekłego syku kobry, która szykuje się do ataku, zniknęła, zostawiając po sobie smugę popiołu.

Bankim wpadł do gabinetu i znalazł Cartera rozciągniętego na podłodze. Dyrektor miał mocno poparzoną twarz, a jego ubrania dymiły, jakby uciekł z płonącego budynku. Bankim doskoczył do swojego mentora i spróbował podnieść go z podłogi. Dłonie dyrektora drżały; Bankim z ulgą stwierdził też, że oddycha, jakkolwiek z trudem.

Bankim krzyknął, wzywając pomocy, i po chwili w progu zaczęli pojawiać się uczniowie. Ben, Ian i Seth pomogli podnieść Cartera, podczas gdy pozostali, torując im drogę pośród gruzu i zgliszczy, przygotowali miejsce na korytarzu, gdzie można by ułożyć dyrektora St.

Patrick's.

- Ale co się stało? - zapytał Ben.

Bankim, który nie zdążył jeszcze otrząsnąć się z szoku, rozłożył

ręce, niezdolny udzielić żadnej rozsądnej odpowiedzi na to pytanie.

Wspólnymi siłami udało im się wreszcie przetransportować rannego na korytarz. Vendela, blada jak ściana i z błędnym wzrokiem, pobiegła do najbliższego szpitala sprowadzić pomoc.

Na miejscu wypadku pojawili się pozostali pracownicy St. Patrick's.

Nie mogli zrozumieć, co spowodowało tę dziwną eksplozję.

Zastanawiali się, kto leży na podłodze poparzony, Ian i Ben nie pozwalali im podejść bliżej, prosząc, by się rozeszli i nie utrudniali dostępu ekipie medycznej.

Czekanie na nią dłużyło się w nieskończoność.

W St. Patrick's panowało wielkie zamieszanie. Nikt nie potrafił

wyjaśnić przyczyn tajemniczego wybuchu. Pół godziny po przyjeździe ambulansu ze szpitala miejskiego w Kalkucie uczniowie i personel nadal trwali w pełnej napięcia niepewności. Początkowa panika mijała powoli, ustępując miejsca rozpacz. W końcu w drzwiach stanął lekarz. Trzech jego kolegów nadal opatrywało ofiarę pożaru, on zaś wszedł, by uspokoić czekających za drzwiami uczniów i Bankima.

Wszyscy stłoczyli się wokół niego, z niepokojem czekając na wieści.

- Ma poważne poparzenia i liczne złamania, ale jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo. Teraz najbardziej martwią mnie jego oczy.

Nie możemy obiecać, że całkowicie odzyska wzrok, chociaż jeszcze za wcześnie, by stwierdzić to z całą pewnością. Musimy przewieźć go do szpitala i nastawić złamania pod narkozą. Obawiam się, że nie obejdzie się bez operacji. Ktoś musi podpisać zgodę na przyjęcie do szpitala -

oznajmił lekarz.

Był młody, rudowłosy, miał żywe spojrzenie i mimo młodego wieku sprawiał wrażenie niezwykle kompetentnego.

- Może to zrobić Véndela - odrzekł Bankim.

Doktor pokiwał głową.

- Dobrze. Jeszcze jedno - powiedział. - Który z was nazywa się Ben?

Wszyscy ze zdumieniem spojrzeli na chłopca. Ben, nic nie rozumiejąc, uniósł wzrok.

- To ja - powiedział. - O co chodzi?

- Chce z tobą rozmawiać - odparł lekarz tonem, z którego można było wnioskować, że próbował odwieść pacjenta od tego pomysłu, lecz bezskutecznie.

Ben przytaknął i pospiesznie wszedł do ambulansu, gdzie lekarze już ułożyli Cartera.

- Masz minutę, chłopcze - uprzedził go doktor. - I ani sekundy dłużej.

* * *

Ben podszedł do noszy, na których leżał Thomas Carter, i spróbował uśmiechnąć się uspokajająco, ale widząc, w jakim stanie znajduje się dyrektor, poczuł, że serce mu się ściska, a słowa nie przechodzą przez gardło. Stojący za nim lekarz nakazał mu gestem, by się odezwał.

- Dzień dobry, Mr. Carter. To ja, Ben - powiedział w końcu chłopak, zastanawiając się, czy dyrektor go słyszy.

Ranny poruszył głową i unióśł drżącą dłoń. Ben wziął ją między swoje dłonie i łagodnie ścisnął.

- Powiedz temu człowiekowi, żeby zostawił nas samych - wyszeptał

z trudem Carter, nie otwierając oczu.

Lekarz, obrzuciwszy Bena surowym spojrzeniem, ociągał się jeszcze chwilę, po czym wyszedł z karetki.

- Lekarze mówią, że pan wyzdrowieje... - zaczął Ben.

Carter pokręcił głową.

- Nie teraz, Ben - uciął. Zdawało się, że wypowiada każde słowo z nieprawdopodobnym wysiłkiem.
- Teraz słuchaj mnie uważnie i nie przerywaj. Zrozumiałeś?

Ben przytaknął bez słowa. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że dyrektor go nie widzi.

- Słucham pana.

Carter ścisnął jego rękę.

- Szuka cię pewien mężczyzna, Ben. To morderca. Chce cię zabić -

wykrztusił. - Musisz mi uwierzyć. Używa nazwiska Jawahal i sądzi chyba, że masz coś wspólnego z jego przeszłością. Nie wiem, czego od ciebie chce, wiem tylko, że jest niebezpieczny. Spójrz na mnie: to tylko próbka tego, do czego jest zdolny.

Musisz porozmawiać z Aryami Bose, kobietą, która przyszła wczoraj do sierocińca. Powiedz jej o tym, co zaszło, o naszej rozmowie.

Próbowała mnie ostrzec, ale jej nie usłuchałem. Nie popełnij tego samego błędu. Znajdź ją koniecznie. Powiedz, że był tu Jawahal. Ona będzie wiedzieć, co masz robić.

Kiedy Thomas Carter zamknął poparzone usta, Ben poczuł, że świat mu się zawalił. Nie mógł uwierzyć w to, co wyznał mu przed chwilą dyrektor St. Patrick's; jego słowa wydawały mu się zupełnie nieprawdopodobne. Widocznie spowodowany wybuchem szok zmaćił

rozum dyrektora, tak że ten majaczył teraz, wyobrażając sobie spisek na życie Bena i Bóg wie jeszcze jakie, absurdalne zupełnie, niebezpieczeństwa.

Chłopiec nie dopuszczał myśli, że dyrektor może mieć rację, zwłaszcza po tym, co przydarzyło się tej nocy jemu samemu. Uwięziony w budzącej klaustrofobię karetki, przesiąkniętej sterylnym zapachem eteru, Ben pomyślał, że być może wszyscy mieszkańcy St. Patrick's zaczęli tracić rozum, łącznie z nim.

- Słyszałeś, co mówię, Ben? - dopytywał się Carter niemal szeptem.

- Zrozumiałeś, co ci powiedziałem?

- Tak, proszę pana - wymamrotał. - Proszę teraz o tym nie myśleć.

Carter otworzył oczy i Ben mógł zobaczyć spustoszenia, jakie poczyniły w nich płomienie.

- Ben. - Carter chciał krzyknąć, ale z jego ust wydobył się tylko jęk.

- Zrób, co ci mówiłem. Natychmiast. Idź porozmawiać z tą kobietą!

Przysięgnij, że pójdziesz!

Ben usłyszał za plecami kroki rudowłosego doktora i poczuł, jak lekarz chwyta go za ramię i energicznie wyciąga z karetki. Dłoń Cartera wyslizgnęła mu się z rąk i zawisła bezwładnie w powietrzu.

- Starczy - zawyrokował lekarz. - Ten człowiek już i tak wiele wycierpiał.

- Przysięgnij, że pójdziesz - jęknął zdesperowany Carter, potrząsając ręką.

Chłopak, skonsternowany, przyglądał się, jak lekarze aplikują Carterowi nową dawkę leków.

- Przysięgam, proszę pana - powiedział wreszcie, nie wiedząc do końca, czy dyrektor może go jeszcze usłyszeć. - Przysięgam...

Obok karetki czekał na niego Bankim. Za nim stali członkowie Chowbar Society i wszyscy, którzy byli obecni w St. Patrick's, kiedy wydarzyło się nieszczęście. Na ich twarzach malowało się przygnębienie. Patrzyli na Bena wyczekująco. Chłopak podszedł do Bankima i spojrzał mu prosto w przekrwione od dymu i łez oczy.

- Mam jedno pytanie - odezwał się. - Czy dziś odwiedził Mr.

Cartera ktoś, kto przedstawił się jako Jawahal?

Bankim popatrzył na niego, nie rozumiejąc.

- Nikt go dziś nie odwiedzał - odparł. - Mr. Carter był przez cały ranek na zebraniu rady miasta. Wrócił koło południa. Powiedział, że idzie do gabinetu popracować i prosi, by nikt mu nie przeszkadzał.

Uprzedził, że nie zejdzie nawet na obiad.

- Jesteś pewien, że w momencie wybuchu był w gabinecie sam? -

zapytał Ben, mając nadzieję, że usłyszy odpowiedź twierdzącą.

- Tak. Sądzę, że tak - odpowiedział Bankim niby stanowczym tonem, jego wzrok zdradzał jednak, że miał wątpliwości, którymi niekoniecznie chciał się dzielić. - Czemu mnie o to pytasz? Co takiego ci powiedział?

- Jesteś pewien, że był sam? - nalegał Ben. - Zastanów się dobrze.

To bardzo ważne.

Nauczyciel spuścił wzrok i potarł czoło, jakby szukając słów zdolnych opisać wspomnienie, które tak usilnie starał się zatrzeć.

- W pierwszej chwili - zaczął Bankim - w sekundę po wybuchu, zdawało mi się, że widzę, jak ktoś, a może coś, wymyka się z gabinetu.

Było pełno dymu, sam już nie wiem...

- Ktoś, a może coś? - zdziwił się Ben. - A właściwie co?

Bankim uniósł wzrok i bezradnie rozłożył ręce.

- Nie wiem - przyznał. - Nie wiem, co mogłoby poruszać się tak prędko.

- Może jakieś zwierzę?

- Ben, nie potrafię ci powiedzieć, co widziałem. Najprawdopodobniej to tylko wytwór mojej wyobraźni.

Ben wiedział, z jaką pogardą nauczyciel odnosił się do wszelkiego rodzaju zabobonów i historii o zjawiskach nadprzyrodzonych. Bankim nigdy nie byłby zdolny przyznać, że widział coś, co wymyka się prawom fizyki, racjonalnej analizie. Czego nie potrafił wyjaśnić jego umysł, nie widziały też jego oczy. Jakby nie chciał komplikować sobie życia.

- Przypuśćmy, że jest tak, jak mówisz. - Ben wiedział, że nauczyciel nie zgodzi się na dłuższe przesłuchanie. - Widziałeś coś jeszcze, choćby nawet oczyma wyobraźni?

Bankim spojrzał w stronę czarnej czeluści, która kilka godzin wcześniej była jeszcze gabinetem Thomasa Cartera.

- Zdawało mi się, że to coś się śmieje - przyznał, ścisząc głos. -

Ale nie mam zamiaru nikomu o tym opowiadać.

Ben pokiwał głową i zostawił Bankima przy karetce. Podeszedł do przyjaciół,

którzy

z

wielką

niecierpliwością

oczekiwali,

by

zrelacjonował im swoją rozmowę z Mr. Carterem. Najbardziej zaniepokojona ze wszystkich była Sheere. Jakby ona jedyna w głębi duszy przeczuwała, że słowa Bena wprowadzają ich na mroczną, śmiertelnie niebezpieczną ścieżkę, z której żadne z nich nie będzie już mogło zawrócić.

- Musimy porozmawiać - powiedział powoli Ben. - Ale nie tutaj.

Ów majowy poranek zachował się w mej pamięci jako pierwsza oznaka burzy, która nieubłaganie zbierała się nad naszymi losami, rozrastając się za naszymi plecami w cieniu naszej całkowitej niewiedzy i naiwności, owej błogosławionej wiary w to, że zasługujemy na stan łaski właściwy tym, co pozbawieni przeszłości, nie powinni się obawiać przyszłości.

Nie mieliśmy pojęcia, że złowróżbne szakale nie krążą wcale wokół

nieszczęsnego Thomasa Cartera. Ich kły żądne były krwi znacznie świeższej, młodszej, krwi naznaczonej piętnem klątwy, krwi, której woni nie dało się skryć ani w gęstwinie zapachów i odorów mrowiącego się przy ulicznych targowiskach tłumu, ani w trzewiach choćby i najsekretniejszego pałacu Kalkuty.

Poszliśmy za Benem do Pałacu Północy, by tam, w najbardziej ustronnym miejscu, wysłuchać, co nam ma do powiedzenia. Tego dnia nikt z nas nie czuł w sercu lęku, że po owym dziwnym wypadku i tych nieokreślonych słowach, wypowiedzianych przez dotknięte ogniem usta naszego dyrektora, mogłoby nam grozić coś gorszego niż rozdzielenie i pustka, ku której owe niezapisane karty naszej przyszłości zdawały się prowadzić.

Jeszcze nic odebraliśmy lekcji o tym, że Diabeł po to stworzył

młodość, byśmy popełniali błędy, a Bóg wymyślił dojrzałość i starość, byśmy mogli za te błędy zapłacić.

Pamiętam, również, że wszyscy wysłuchaliśmy relacji z rozmowy, którą Ben odbył z Thomasem Carterem, i że wszyscy, bez wyjątku, odnieśliśmy wrażenie, iż nasz przyjaciel coś przed nami ukrywa. I pamiętam, jak na twarzach moich przyjaciół i na mojej twarzy odmalował się smutek, gdy dotarło do nas, że nasz przyjaciel Ben postanowił zataić przed nami całą prawdę, nieważne, z

jakiego powodu.

Kiedy chwilę później powiedział, że chce porozmawiać na osobności z Sheere, pomyślałem, że mój najlepszy przyjaciel właśnie zadał

śmiertelny cios Chowbar Society, przyspieszając agonię stowarzyszenia.

Rozwój wypadków miał niebawem pokazać, iż po raz kolejny myliłem się w ocenie Bena, nie doceniając jego wierności naszym idealom.

W tamtym momencie wystarczyło jednak spojrzeć na twarz Bena rozmawiającego z Sheere, by intuicyjnie pojąć, że koło fortuny poszło w ruch, a nad stolikiem pojawiła się czarna ręka, która w tej grze obstawiła zakład całkowicie przekraczający nasze możliwości.

Miasto pałaców

W mglistym świetle owego majowego, przesyconego wilgocią i upalnego dnia zarysy zdobień i gargulców tajnej siedziby Chowbar Society wyglądały jak woskowe figury wyrzeźbane nożem przez niewidzialną rękę. Słońce ukryło się za gęstą popielatą powłoką chmur, a nad ulicami Czarnego Miasta kłębiła się dusząca mgła, napływająca z wyziewami zatrutych bagien znad rzeki Hooghly.

Ben i Sheere rozmawiali w głównym salonie domu, stojąc za dwiema zwałonymi kolumnami, podczas gdy reszta czekała kilkanaście metrów od nich, od czasu do czasu spoglądając na tamtych ukradkiem i z nieufnością.

- Nie jestem pewien, czy dobrze zrobiłem, ukrywając to przed kolegami - wyznał Ben. - Wiem, że to dla nich przykre, a poza tym niezgodne z zasadami Chowbar Society, ale jeśli rzeczywiście istnieje jakaś, choćby i niewielka, obawa, że czyha na mnie morderca, w co zresztą wątpię, nie chcę ich w to mieszać. I ciebie też nie chcę mieszać, Sheere. Nie wiem, jaki związek ma z tym wszystkim twoja babcia, i dopóki tego nie zbadam, lepiej będzie, jeśli sprawa pozostanie między tobą a mną.

Sheere przytaknęła. Z jednej strony bolało ją, iż łączący ją i Bena sekret odgradza w jakimś stopniu chłopca od jego przyjaciół, lecz z drugiej strony, choć była w pełni świadoma, że sytuacja mogła być znacznie, ale to znacznie poważniejsza, niż im się teraz zdawało, najzwyczajniej w świecie cieszyła się, iż okoliczność ta umożliwia jej bliski kontakt z Benem.

- Ja też muszę ci coś powiedzieć, Ben - zaczęła Sheere. - Dziś rano, kiedy przyszłam, żeby się z wami pożegnać, nie sądziłam, by miało to jakiegokolwiek znaczenie, ale teraz sporo się zmieniło. W nocy, gdy wracałyśmy do domu, w którym się zatrzymałyśmy, babcia kazała mi przysiąc, że nigdy więcej nie będę z tobą rozmawiać. Powiedziała mi, że mam o tobie zapomnieć i że jakakolwiek próba zbliżenia się do ciebie może się skończyć tragedią.

Ben westchnął, oszołomiony coraz bardziej rwącym nurtem zawołanych grózb, o jakich wspominały rozmaite osoby. Wydawało się, jakby wszyscy, prócz niego, znali sekret, który czynił go znaczącą kartą zwiastującą nieszczęście. To, co z początku było niedowierzaniem, nieco później niepokojem, teraz zaczęło przechodzić w nieukrywane rozdrażnienie i gniew wobec dziwnej

tajemnicy otaczającej jego osobę.

- A powiedziała przynajmniej dlaczego? - spytał Ben. - Przecież zobaczyła mnie po raz pierwszy w życiu, a nie sądzę, bym swoim zachowaniem dawał powody do obaw.

- Myślę, że jedno z drugim nie ma nic wspólnego - odparła Sheere. -

Babcia była wystraszona. W jej słowach pełno było lęku, a nie złości.

- A to oznacza, że musimy się dowiedzieć, co się za tym lękiem kryje, bo przecież z czegoś się ten strach bierze - powiedział Ben. -

Najlepiej będzie, jak pójdziemy do niej.

Chłopiec podszedł do czekających nań pozostałych członków Chowbar Society. Widać było po ich twarzach, że cały czas gorąco dyskutowali i że zdołali coś wspólnie ustalić. Ben w myślach obstawił

osobę, która będzie w imieniu grupy wyrazicielem nieuniknionego protestu. Wszyscy spojrzeli na Iana, a ten, zrozumiałszy cichą znowę, przewrócił oczyma i westchnął.

- Ian ma ci coś do powiedzenia - oznajmiła Isobel.

- I będzie mówił w imieniu nas wszystkich.

Ben stanął przed przyjaciółmi i uśmiechnął się.

- Słucham.

- No cóż - zaczął Ian - sprawą najistotniejszą jest...

- Przejdź od razu do sedna, Ianie - uciął Seth.

Ian odwrócił się, eksplodując całą łagodną furiją, na jaką pozwalało mu jego flegmatyczne usposobienie.

- Jeśli ja mam mówić, to pozwolicie, że powiem tak, jak uważam.

Dobrze?

Nikt nie ośmielił się wnieść jakiegokolwiek uwagi na temat jego mowy. Wobec tego Ian przystąpił do jej wygłoszenia.

- Jak już mówiłem, sprawą najistotniejszą jest to, iż sądzimy, że coś tu nie gra. Rzekomo Mr. Carter opowiedział ci, iż wokół sierocińca kręci się jakiś kryminalista, który go zaatakował. Rzeczonego kryminalisty nikt nie widział. Nieznane są również, jak sam mówiłeś, ewentualne pobudki jego działań.

Nie rozumiemy, dlaczego chciał mówić właśnie z tobą ani dlaczego rozmawiałeś z Bankimem i nie powiedziałaś nam o czym. Zakładamy, że masz swoje powody, by zachować tajemnicę i dzielić ją tylko z Sheere, albo przynajmniej tak ci się wydaje. Ale, szczerze mówiąc, jeśli rzeczywiście nasze stowarzyszenie jest coś dla ciebie warte i cenisz jego cele, powinieneś nam zaufać i niczego nie ukrywać.

Ben zastanowił się nad słowami Iana i spojrzał po kolei na twarze przyjaciół, którzy przytaknęli przemówieniu swego rzecznika.

- Jeśli coś przed wami ukrywałem, to tylko i wyłącznie dlatego, że inaczej być może narażałbym życie was wszystkich - usprawiedliwił

się Ben.

- Podstawowym celem stowarzyszenia jest wzajemne niesienie sobie pomocy zawsze i wszędzie, a nie wysłuchiwanie historii o duchach i dawanie drapaka przy pierwszym lepszym smrodku - zaprotestował

otwarcie Seth.

- To jest stowarzyszenie, a nie orkiestra żeńska - uzupełnił Siraj.

Isobel dała mu sójkę w bok.

- A ty siedź cicho - zwróciła mu uwagę.

- Dobrze - podsumował Ben. - Wszyscy za jednego i jeden za wszystkich. Tego właśnie chcecie? Trzej muszkietierowie?

Wszyscy przyjrzeni mu się uważnie i powoli, jeden po drugim, przytaknęli.

- Bardzo dobrze. Powiem wam wszystko, co wiem, choć wiem niewiele - odparł Ben.

Przez następne dziesięć minut członkowie Chowbar Society wysłuchali dokładnej relacji, w której nie pominięto rozmowy z Bankimem i lęków babci Sheere. Gdy opowieść dobiegła końca, nadszedł czas zadawania pytań.

- Czy ktoś z was kiedykolwiek słyszał o tym Jawahalu? - spytał

Seth. - Może ty, Siraju?

Człowiek encyklopedia w odpowiedzi jedynie pokręcił głową.

- A wiemy, czy Mr. Carter mógł prowadzić interesy z kimś takim?

Może w archiwach jest jakiś ślad? - zapytała Isobel.

- Możemy to sprawdzić - powiedział Ian. - Teraz rzeczą najważniejszą jest porozmawiać z twoją babcią, Sheere, i spróbować rozwikłać co nieco ten galimatias.

- Zgadzam się - powiedział Roshan. - Chodźmy do niej, a później przyjmimy jakiś plan działania.

- Czy ktoś zgłasza obiekcje wobec propozycji Roshana? - zapytał

Ian.

W ruinach Pałacu Północy rozległ się pomruk przeczenia.

- Wobec tego ruszamy.

- Chwileczkę - odezwał się Michael.

Pozostali odwrócili się, usłyszawszy ze zdziwieniem małomównego zawsze mistrza ołówka i graficznego kronikarza Chowbar Society.

- Ben, a nie przyszło ci na myśl, że to wszystko może mieć jakiś związek z tym, co nam dziś rano opowiedziałeś? - zapytał Michael.

Ben przełknął ślinę. Od pół godziny jego myśli zaprzątnięte były tym właśnie pytaniem, ale nie potrafił odpowiedzieć sobie, co takiego łączy oba wydarzenia.

- Michael, nie bardzo widzę, co może mieć wspólnego jedno z drugim - odezwał się Seth.

Pozostali rozważali poruszoną kwestię, ale z ich twarzy nie wynikało, by mieli się w tej kwestii różnić zdecydowanie od Seta.

- Nie sądzę, aby istniał tu jakiś związek - wydusił w końcu z siebie Ben. - Chyba mi się to śniło.

Michael spojrzał mu prosto w oczy, czego nie robił właściwie nigdy, i pokazał mu trzymany w palcach niewielki rysunek. Ben przyjrzał się rysunkowi i rozpoznał kształt pociągu pędzącego przez równinę, wśród zrujnowanych chat i baraków.

Majestatyczna lokomotywa zakończona czołownicą i zwieńczona ogromnymi kominami wypuszczającymi kłęby pary i dymu ciągnęła wagony pod niebem pokrytym czarnymi gwiazdami. Pociąg stał w płomieniach, a w oknach można było dostrzec setki twarzy-widm wy-ciągających ramiona i krzyczących opętańczo. Michael przelał jego słowa na papier z absolutną wiernością.

Ben poczuł dreszcze przebiegające mu po plecach. Spojrzał na Michaela.

- Nie rozumiem, Michael - szepnął. - O co ci chodzi? Do czego zmierzasz?

Sheere podeszła do nich i rzuciwszy okiem na rysunek, zbladła, odgadując ujawniony przez Michaela związek pomiędzy tym, co widział

Ben, a zdarzeniem w St. Patrick's.

- Ogień - szepnęła dziewczyna. - To ogień.

* * *

Dom Aryami Bose przez lata był zamknięty i duch tysięcy więzionych pomiędzy jego ścianami wspomnień przesycił atmosferę owego domostwa zamieszkanego przez książki i obrazy.

Po drodze uzgodnili, że najlepiej będzie, jeśli Sheere wejdzie pierwsza i zapoznawszy Aryami z ostatnimi wydarzeniami, przekaze jej prośbę chłopców o spotkanie i rozmowę.

Zgodziwszy się co do tego punktu, członkowie Chowbar Society uznali również, iż dobrze będzie ograniczyć liczbę przedstawicieli stowarzyszenia biorących udział w spotkaniu ze starszą panią, ponieważ widok siedmiu nieznanych jej młodych osób niechybnie odbierze jej mowę. Dlatego też postanowiono, że poza Sheere i Benem w rozmowie uczestniczyć będzie również Ian.

Ten ostatni raz jeszcze zgodził się przyjąć obowiązki ambasadora stowarzyszenia, podejrzewając, iż fakt, że tak często musiał ostatnio występować w tej roli, wiązał się nie tyle z szacunkiem przyjaciół dla jego przemyślności i umiaru, co z jego ciapciakowatym wyglądem, wzbudzającym zaufanie dorosłych i urzędników.

Tak czy siak, minawszy parę ulic Czarnego Miasta i odczekawszy kilka minut na przypominającym dżunglę dziedzińcu wokół domu Aryami Bose, Ian przyłączył się do Bena i na znak dany przez Sheere obaj weszli do środka, podczas gdy reszta czekała na ich powrót.

Dziewczyna poprowadziła ich do sali skąpo oświetlonej tuzinem świec stojących w naczyniach z wodą. Krople topiącego się wosku owijały świece girlandami zastygłych kwiatów, przyćmiewając nieco blask płomieni. Chłopcy, zajmawszy miejsca naprzeciw starej kobiety, która bacznie im się przyglądała ze swego fotela, rozejrzeli się w półmroku po przykrytych kobiercami ścianach i regałach pełnych gromadzącego się od lat kurzu.

Aryami odczekała, aż chłopcy spojrzą jej w oczy, po czym pochyliła się ku nim w postawie otwarcia i ufności.

- Wnuczka opowiedziała mi, co się stało - odezwała się. - I skłamałabym, twierdząc, że jestem zaskoczona. Przez wiele lat żyłam w lęku, że coś podobnego się wydarzy, nigdy jednak nie sądziłam, że przybierze to taki obrót.

Przede wszystkim musicie wiedzieć, iż wydarzenia, których byliście dziś świadkami, to jedynie początek i że wysłuchawszy mnie, sami będziecie musieli zdecydować, czy należy zostawić sprawy swemu biegowi, czy też próbować walczyć. Ja jestem już stara i brakuje mi sił i zdrowia, by się zmagać z siłami, które mnie przerastają i które coraz trudniej mi zrozumieć.

Sheere ujęła pergaminową dłoń babci i delikatnie ją pogładziła, Ian zobaczył, że Ben obgryza paznokcie, i dał mu sójkę w bok.

- Był taki czas w moim życiu, kiedy wierzyłam, że nic nie ma większej siły niż miłość. To prawda, że miłość ma moc, ale ta moc ustępuje przed ogniem nienawiści - ciągnęła Aryami. - Wiem, że wyznania te nie są najlepszym prezentem na wasze szesnaste urodziny; zwykle pozwala się dzieciom żyć dalej, aż do pełnej dorosłości w niewiedzy o prawdziwym obliczu świata, obawiam się jednak, że nie będziecie się cieszyć tym wątpliwym przywilejem.

Wiem również, że nie dacie wiary moim słowom i osądom jako wygłaszanym przez starego człowieka. Przez ostatnie lata nauczyłam się rozpoznawać ten błysk w oczach mojej wnuczki. Bo dać wiarę prawdzie to rzecz najtrudniejsza i nic tak nie kusi jak kłamstwo, zwłaszcza potężne. Takie są prawa życia i do was należy zachowanie rozwagi.

A teraz pozwólcie wyjawić sobie, że stara kobieta, którą macie przed sobą, oprócz lat nagromadziła również wiele historii i nigdy nie słyszała smutniejszej i okrutniejszej od tej, którą zaraz usłyszycie i której byliście dotąd mimowolnymi uczestnikami...

* * *

Ja też kiedyś byłam młoda i robiłam to, czego się po młodych spodziewamy: założyłam rodzinę, potem popadłam w długi, doznałam rozczarowań i zrezygnowałam z marzeń i świętych zasad. Zestarzałam się, mówiąc krótko. Choć, muszę przyznać, los i tak obszedł się ze mną łaskawie, przynajmniej tak początkowo sądziłam, bo związał moje życie z człowiekiem, o którym jedno można powiedzieć: był dobry.

Nie należał do pięknych mężczyzn, nie ma co się oszukiwać.

Pamiętam, że kiedy przychodził do nas do domu, moje siostry śmiały się z niego ukradkiem. Był trochę niezgrabny, nieśmiały, wyglądał, jakby ostatnie dziesięć lat życia spędził w zaciszu biblioteki: ot, ideał każdej młodej dziewczyny w twoim wieku, Sheere.

Mój ukochany był nauczycielem w szkole publicznej na południu Kalkuty. Pensję miał mizerną, a ubrany był stosownie do zarobków. W

każdą sobotę przychodził po mnie wciśnięty w ten sam garnitur, jedyny, jaki posiadał, wkładany jedynie na zebrania w szkole i na wizyty u mnie.

Dopiero po sześciu latach mógł sobie kupić następny, ale nigdy garnitury na nim dobrze nie leżały, nie miał dobrej figury.

Moje dwie siostry wyszły za mąż za błyskotliwych i dobrze sytuowanych młodzieńców, którzy traktowali pogardliwie twojego dziadka, a za jego plecami posyłali mi gorące spojrzenia, mające chyba oznaczać zaproszenie do poznania prawdziwego mężczyzny, choćby nawet na chwilę.

Po jakimś czasie okazało się, że obaj obibocy zmuszeni byli żyć na łasce mojego męża, ale to zupełnie inna historia. On bowiem, choć przecież przejrzał na wylot jednego i drugiego, nie odmówił im swego wsparcia, udając, że puszcza w niepamięć docinki i lekceważenie, z jakim był traktowany w młodości. Ja bym tak nie potrafiła, ale mój mąż-

czyzna, jak wam mówiłam, zawsze był dobry. Być może za dobry.

Zdrowie mu niestety nie dopisywało i szybko mnie opuścił, w rok po urodzeniu naszej jedynej córki, Kylian. Sama musiałam zająć się jej wychowaniem i nauczyć ją wszystkiego, czego chciałby ją nauczyć ojciec. Kylian była światłem, które prowadziło mnie w życiu po śmierci twego dziadka. Po nim odziedziczyła łagodność i odruch patrzenia w cudze serce.

Ale miejsce nieśmiałości ojca zajęła u niej finezja i elegancja widoczne w każdym jej ruchu. Jako mała dziewczynka potrafiła zauroczyć słowami naszych gości i obcych ludzi. Pamiętam, że kiedy patrzyłam, jak w wieku dziesięciu lat wdzięcznie przekomarza się z kupcami na bazarze, myślałam, że jest niczym łabędź - wspomnienie mojego męża, mego brzydkiego i niezgrabnego kaczątka.

Jego duch żył w niej, w jej każdym geście, kiedy czasem nieruchomiała w milczeniu, przyglądając się ludziom z ganku naszego domu, i pytała mnie z powagą, dlaczego na świecie jest tyle nieszczęścia.

Bardzo szybko mieszkańcy Czarnego Miasta zaczęli mówić o niej, używając przydomka, który nadał jej pewien fotograf z Bombaju: Księżniczka Światła. I nie trzeba było długo czekać, by zaczęli pojawiać się zewsząd, nawet spod ziemi, pretendenci do roli księcia. Miłe to były czasy, kiedy Kylian opowiadała mi o zabawnych wyznaniach swoich wysztafirowanych absztyfikantów, grafomańskich wierszach, jakie dla niej pisali, i wszystkich anegdotach, z których, gdyby historia trwała dłużej, wynikałoby, że wszyscy młodzieńcy z naszego miasta to biedni głupcy. Ale, jak to bywa, na scenie pojawił się ktoś, kto miał wszystko odmienić: twój ojciec, najinteligentniejszy i najoryginalniejszy człowiek, jakiego znałam.

W owym czasie, tak jak i dzisiaj, małżeństwa były w większości wynikiem kontraktu pomiędzy rodzinami i przypominały umowę handlową.

Woli

samych

zainteresowanych,

czyli

przyszłych

małżonków, w ogóle nie brano pod uwagę. Wszystkie konwenanse to jedynie choroby toczące społeczeństwa. Przynależało mi sama, że Kylian wyjdzie za mąż za tego, kogo sama wybierze.

Twój ojciec był całkowitym zaprzeczeniem tych fircyków puszających się nieustannie przed twoją matką. Rzadko się odzywał, ale jeśli już to robił, słowa jego były precyzyjne i kategoryczne. Okazywał

uprzejmość i emanował zniewalającym urokiem. Mimo to niemal wobec wszystkich zachowywał chłodny dystans. Wobec wszystkich prócz twojej matki. W jej towarzystwie przeistaczał się w kogoś zupełnie innego, wrażliwego jak dziecko. Nigdy nie zdołałam dojść, jaki był

naprawdę, i śmiem sądzić, że twoja matka zabrała ten sekret do grobu.

Ojciec, o ile w ogóle raczył ze mną rozmawiać, a czynił to rzadko, nie był zbyt wylewny. Kiedy w końcu zdecydował się poprosić mnie o udzielenie zgody na ślub z twoją matką, zapytałam, z czego zamierza ją utrzymywać i jaka jest jego pozycja. Lata spędzone z twoim dziadkiem właściwie w biedzie nauczyły mnie chronić córkę przed podobnymi doświadczeniami i utwierdziły w przekonaniu, że nic tak jak pusty żołądek nie zdemaskuje mitu o uszlachetniającym efekcie głodu duchowego.

Twój ojciec spojrzał na mnie, zachowując dla siebie, jak zawsze, prawdziwe myśli, i odparł, że jest inżynierem i pisarzem. Powiedział, że stara się o pracę w brytyjskiej firmie budowlanej, a jedno z wydawnictw z Delhi wypłaciło mu zaliczkę za przesłany rękopis. Wszystko to, pozbawione wdzięku, jakim twój ojciec ozdabiał swoje wystąpienia, kiedy mu na tym zależało, pachniało mi nędzą i wyrzeczeniami. I tak mu to też przedstawiłam.

Uśmiechnął się i delikatnie ująwszy moją dłoń, wyszeptał słowa, których nigdy nie zapomnę: „Matko, powiem to po raz pierwszy i ostatni. Moja przyszłość i przyszłość pani córki jest teraz w naszych rękach, to ja mogę zapewnić jej lepsze jutro, a sobie utorować drogę w życiu. Nikt, żywy czy umarły, nie będzie się w to wtrącał. Proszę spać spokojnie i zaufać miłości, jaką darzę pani córkę. Ale jeśli zmartwienia z tym związane spędzają pani sen z powiek, proszę nie dopuścić, by jakimkolwiek słowem, gestem, decyzją splamiła pani więź, jaka - za pani zgodą czy bez niej - połączy pani córkę i mnie na zawsze, bo nie starczy pani wieczności, by to odpokutować”.

Trzy miesiące później pobrali się i już nigdy więcej nie rozmawiałam z twoim ojcem na osobności. Przyszłość przyznała mu rację. Bardzo szybko zdobył renomę jako inżynier, nie rezygnując ze swoich pasji literackich. Przeprowadzili się niedaleko stąd, do domu, który wiele lat temu został rozebrany, podczas gdy on sarn projektował

szczegółowo dom swoich marzeń, do którego miał się przenieść z twoją matką. Nikt się nie spodziewał tego, co miało nadejść.

Nigdy go właściwie, nie poznałam. Nie dał mi szansy, a i nie sprawiał wrażenia człowieka, który chciałby się otwierać przed kimkolwiek prócz twojej matki. Onieśmiał mnie i nie potrafiłam nawiązać z nim kontaktu. Trudno było zgadnąć, co tak naprawdę myśli.

Czytałam jego książki, które przynosiła twoja matka, i roztrząsałam każ-

dy szczegół, usiłując odnaleźć klucze jego myśli. Ale nigdy nie zdołałam przeniknąć ich labiryntu.

Twój ojciec był człowiekiem tajemniczym, który nigdy nie mówił o swojej rodzinie ani swojej przeszłości. Być może dlatego nigdy nie potrafiłam wyczuć chmur gromadzących się nad jego głową i nad głową mojej córki. Chmur, które z tej ciemnej i niezgłębionej przeszłości brały początek. Nigdy nie pozwolił, żebym mu pomogła, a w godzinie nieszczęścia był tak osamotniony jak przez całe życie, zamknięty z własnej woli w fortecy samotności, do której klucze miała w ciągu tych wspólnych lat jedna tylko osoba: Kylian.

Ale twój ojciec, tak jak my wszyscy, miał swoją przeszłość i z tej przeszłości wynurzyła się postać,

która przyniosła ciemność i tragedię naszej rodziny. Kiedy był dzieckiem i krążył głodny po ulicach Kalkuty z głową pełną cyfr i wzorów matematycznych, poznał innego samotnego chłopca, rówieśnika, sierotę. Żył wówczas w nędzy i jak tylu innych w tym mieście padł ofiarą zarazy, która co roku zbierała obfite żniwo.

W porze deszczowej Półwysep Bengalski nawiedzały gwałtowne burze, a w całej delcie Gangesu wody tak przybierały, że zalewały kraj.

Każdego roku położone na wschód od miasta słone jezioro występowało z brzegów; gdy mijała pora deszczowa i wody opadały, z rozkładających się w słońcu ławic śniętych ryb unosiły się trujące wyziewy. Wiejące z gór północne wiatry przywiewały je nad miasto, siejąc choroby i śmierć podobne do biblijnej plagi.

Owego roku twój ojciec padł ofiarą morowego powietrza i pewnie nie uszedłby śmierci, gdyby nie pomoc Jawahala, towarzysza niedoli, który doglądał go w chorobie przez dwadzieścia dni, w baraku z cegieł i nadpalonych desek nad brzegiem rzeki Hooghly. Ojciec, odzyskawszy zdrowie, przysiągł, że zawsze będzie chronić Jawahala i dzielić z nim wszystko, co przyszłość mu przyniesie, bo i teraz jego życie należało do niego.

Taka dziecięca przysięga, ale przysięga na śmierć i życie, pakt przypieczętowany krwią. Ale ojciec nie wiedział o jednym: Jawahal, ów niespełna jedenastoletni anioł wybawiciel, nosił w sobie chorobę znacznie okrutniejszą od tej, która o mało nie pozbawiła życia twego ojca. Chorobę, która zaczęła się objawiać znacznie później, wprawdzie ledwo zauważalna, później już nieodwracalna niczym wyrok: obłąd.

Po latach ojciec dowiedział się, że matka Jawahala zginęła w płomieniach na oczach syna, dokonując samospalenia w ofierze bogini Kali, z kolei zaś matka jego matki dożyła swoich dni w nędznej celi zakładu dla obłąkanych w Bombaju. A były to tylko małe ogniwa w długim łańcuchu zdarzeń, które zamieniały dzieje tej rodziny w pasmo nieszczęść i okropieństw.

Twój ojciec, już jako chłopiec, był jednak silnym człowiekiem i wziął na siebie odpowiedzialność za przyjaciela, nie zważając na jego straszne dziedzictwo.

Wszystko było w miarę proste, dopóki, ukończywszy osiemnaście lat, Jawahal nie zamordował z zimną krwią zamożnego kupca na bazarze, bo ten nie chciał sprzedać mu medalionu, powątpiewając w wypłacalność klienta z racji jego wyglądu. Twój ojciec ukrywał go w swoim domu przez wiele miesięcy. Ryzykując przyszłość i życie, chronił Jawahala przed stróżami porządku, szukającymi go po całym mieście.

Udało mu się, ale to był zaledwie początek. Rok później, w noc hinduskiego Nowego Roku, Jawahal podpalił dom zamieszkały przez kilkanaście staruszek i siadł na ulicy, by przypatrywać się płomieniom, dopóki ostatnie belki nie runęły na ziemię obrócone w żarzący się popiół. Tym razem nawet sztuczki twego ojca nie potrafiły uchronić go przed sprawiedliwością.

Odbyła się rozprawa sądowa, długa i straszna, w wyniku której Jawahal skazany został za swoje zbrodnie na dożywocie. Twój ojciec zrobił wszystko, co było w jego mocy, żeby mu pomóc, z

własnych oszczędności opłacił adwokatów, wysyłał przyjacielowi czystą odzież do więzienia i przekupywał strażników, by nie dręczyli więźnia.

Za całą wdzięczność musiały mu starczyć słowa nienawiści.

Jawahal oskarżył ojca o to, że go zdradził, opuścił i że chce się go pozbyć. Zarzucił mu złamanie przyrzeczenia sprzed lat i poprzysiągł

zemstę, bo - jak krzyknął z ławy oskarżonych, kiedy odczytano wyrok skazujący - należała mu się połowa życia twego ojca.

Ojciec twój pogrzebał ów sekret w najgłębszych zakamarkach serca i nie chciał, by twoja matka kiedykolwiek się o tym dowiedziała. Lata zatarły to wspomnienie. Po ślubie i pierwszych latach małżeństwa, gdy ojciec zaczął odnosić sukcesy, wszystkie te zdarzenia zdawały się jedynie nic nieznaczącym epizodem z dalekiej przeszłości.

Kiedy twoja matka zaszła w ciążę, ojciec zdawał się innym człowiekiem, całkiem odmienionym. Kupił szczeniaka rasy obronnej, by, jak mówił, wyszkolić go na najlepszą niańkę swego mającego przyjść na świat dziecka, i ciągle opowiadał o domu, który zamierzał

zbudować, o nowej książce, snuł plany na przyszłość...

Miesiąc później porucznik Michael Peake, jeden z dawnych konkurentów twojej matki, stawił się u nich w domu z wiadomością, która zasiała trwogę w sercach: Jawahal podpalił oddział więzienia dla niebezpiecznych skazańców, w którym odbywał karę, i uciekł, nie omieszkawszy przedtem krwią współwięźnia, któremu poderznął gardło, napisać na ścianie celi słowa: „zemsta”.

Peake zobowiązał się osobiście odnaleźć Jawahala i ochronić ich przed ewentualnym atakiem. Minęły dwa miesiące i nie dotarła do nich żadna wieść o Jawahalu. Do dnia urodzin twego ojca.

Rano jakiś żebrak dostarczył paczkę na jego nazwisko. Zawierała medalion, dla którego Jawahal popełnił pierwsze morderstwo, oraz list.

Jawahal pisał, że śledził ich przez wiele tygodni i zorientowawszy się, że ojciec nie tylko odniósł sukces zawodowy, ale też ma śliczną żonę, życzy im wszystkiego najlepszego i zapowiada swoją rychłą wizytę, by -

jak to wyraził - mogli znów jak bracia dzielić się wszystkim, co mają.

Przez następne dni wszyscy żyli w panicznym strachu. Jeden ze strażników oddelegowanych przez Peake'a do ochrony domu został

zamordowany. Psa twego ojca znaleziono martwego na dnie studni na dziedzińcu. A każdej nocy na murach domu pojawiały się kolejne groźby pisane krwią, ukazując bezradność Peake'a i jego ludzi.

To były trudne dni dla twego ojca. Właśnie ukończono budowę jego największego dzieła, dworca kolejowego Jheeter's Gate na wschodnim brzegu rzeki Hooghly. Ta imponująca, nowoczesna stalowa

konstrukcja stanowiła zwieńczenie marzeń o stworzeniu sieci kolejowej, która umożliwiłaby rozwój handlu i modernizację poszczególnych prowincji, a w rezultacie pozwoliłaby zrzucić dominację brytyjską. Idei tej oddany był całą duszą. Potrafił mówić o niej godzinami z wielkim zaangażowaniem, jakby chodziło o jakąś powierzona mu misję religijną.

Oficjalna inauguracja Jheeter's Gate odbyła się pod koniec owego tygodnia i aby uczcić wydarzenie, postanowiono symbolicznie odprawić pociąg, który miał przewieźć trzysta sześćdziesięcioro osieroconych dzieci do nowego domu na wschodzie kraju. Były to dzieci z najbiedniejszych warstw i dokonania inżyniera oznaczały dla nich początek nowego życia. A twój ojciec pracował ciężko, by móc im to ofiarować.

Matka koniecznie chciała wziąć udział w uroczystości i przekonywała twojego ojca, że ochrona porucznika Peake'a i jego ludzi zapewni jej bezpieczeństwo.

Kiedy inżynier wsiadł do pociągu i poprowadził maszynę mającą zawieźć dzieci do nowego miejsca przeznaczenia, stało się coś zupełnie nieprzewidzianego. Wybuchł pożar. Płomienie ogarnęły kilka poziomów dworca, tunel i wagony pociągu, który przeistoczył się w prawdziwe piekło, rozpaloną do białości żelazną trumnę dla podróżujących nim dzieci. Twój ojciec zginął, usiłując daremnie ratować dzieci, podczas gdy płomienie trawiły jego marzenia.

Kiedy wiadomość dotarła do twojej matki, o mało cię nie straciła.

Ale los, zmęczony już zsyłaniem tylu nieszczęść na rodzinę, zechciał cię uratować. Trzy dni później, kiedy do twoich narodzin brakowało kilku dni, Jawahal i jego ludzie wtargnęli do domu i porwali twoją matkę, nie omieszkawszy ogłosić, że tragedii na Jheeter's Gate winien był ojciec.

Porucznik Peake zdołał się uratować i dotarł do wnętrza dworca, który od tamtej pory stał się wyludnionym rumowiskiem, omijanym przez wszystkich miejscem przeklętym. Jawahal zostawił w ich domu list, w którym napisał, że zabije twoją matkę i mające się narodzić dziecko. Było jednak coś, czego nawet on nie przewidział. To nie było jedno dziecko, tylko dwójka, bliźnięta. Chłopczyk i dziewczynka. To byliście wy...

* * *

Aryami Bose kontynuowała opowieść: o tym, jak Peake zdołał ich uratować i przynieść je do niej, jak postanowiła ich rozdzielić i ukryć przed mordercą ich ojca... Ale ani Sheere, ani Ben już jej nie słuchali, Ian w milczeniu spoglądał na pobladałą twarz najlepszego przyjaciela i na twarz Sheere, obie ścięte w bezruchu; jakby to, co usłyszeli z ust starej kobiety, przemieniło ich w posągi, Ian westchnął głęboko i pomyślał, że wolałby nie zostać wybrany na to dziwne spotkanie rodzinne. Czuł się niezręcznie jako świadek dramatu przyjaciół.

Niemniej zdołał pokonać konsternację z powodu tego, co usłyszał, i skupił się na Benie. Spróbował wyobrazić sobie wzburzenie przyjaciela i sprzeczne uczucia targające nim po wysłuchaniu tej historii i gniewała go bezceremonialność, z jaką kobieta, pewno pod wpływem strachu i zmęczenia, wyjawiała fakty - być może o donioślejszym znaczeniu, niż się w pierwszej chwili wydawało.

Spróbował choćby na chwilę usunąć z pamięci zrelacjonowane rano przez Bena dziwne zdarzenie z płonącym pociągiem. W tej łamigłówce w zastraszającym tempie przybywało kolejnych części.

Nie potrafił zapomnieć powtarzanego dziesiątki razy przez Bena twierdzenia, że członkowie Chowbar Society są ludźmi bez przeszłości.

Obawiał się, że zderzenie się w mrokach tego domu z własną przeszłością zdruzgotuje Bena psychicznie w sposób nieodwracalny.

Znali się od dziecka i Ian był nieraz świadkiem tych długich i nieprzenikniętych napadów melancholii u Bena. Wiedział, jak mu wtedy spieszyć z pomocą bez niepotrzebnych pytań i prób odczytania jego myśli. Był świadom, że duma i wyniosłość, za którą Ben się skrywał, nie uchroni go od fatalnego ciosu i rany, do której nigdy nie będzie chciał się przyznać.

Ian położył delikatnie dłoń na ramieniu Bena, ale on zdawał się tego nie zauważyć. Ben i Sheere, od kilku godzin czujący, jak narasta między nimi sympatia i tworzy się uczuciowa więź, teraz nie potrafili nawet spojrzeć na siebie, jakby nowe karty, rozdane w tej grze, obudziły w nich nieznane im przedtem zażenowanie albo obawę przed porozumieniem.

Aryami spojrzała z niepokojem na Iana. W salonie panowała cisza.

Oczy starej kobiety zdawały się błagać o wybaczenie niczym oczy posłańca przynoszącego złe wieści, Ian nieznacznie skinął głową, dając znak, by wyszli. Aryami jakby się zawahała, ale Ian wstał i podał jej ramię. Przyjęła pomoc i wraz z nim opuściła salon, zostawiając Bena i Sheere samych, Ian zatrzymał się w progu i odwrócił się, by spojrzeć na przyjaciela.

- Czekamy na zewnątrz - szepnął. Ben przytaknął, nie podnosząc wzroku.

* * *

Członkowie Chowbar Society piekli się w dokuczliwym upale na patio, kiedy spostrzegli wyłaniającego się z drzwi Iana w towarzystwie starej damy. Zamienili ze sobą parę słów. Aryami skinęła nieznacznie głową i schroniła się w cieniu wykutego w kamieniu daszku, Ian z nieodgadnionym wyrazem twarzy, który jego towarzysze odczytali jako zapowiedź złych wieści, podszedł do grupki, a chłopcy ustąpili mu miejsca, by mógł stanąć w cieniu. Wszystkie spojrzenia skupiły się na nim jak muchy, które obsiadły lep. Aryami patrzyła na nich przygnębiona.

- No i co? - Isobel pierwsza zadała pytanie, które cisnęło się na usta wszystkim.

- Nie wiem, od czego zacząć - odparł Ian.

- Zaczynaj od najgorszego - zasugerował Seth.

- Wszystko jest najgorsze - odrzekł Ian.

Chłopcy przyglądali mu się w milczeniu, Ian spojrzał na przyjaciół i uśmiechnął się niewyraźnie.

Wiernie powtórzył wszystko, co Aryami opowiedziała przed chwilą w salonie, nie pomijając żadnego szczegółu i zostawiając na koniec sytuację Bena i Sheere, którzy zostali sami w środku, i przeraźliwy miecz wiszący nad ich głową. Zanim skończył, członkowie Chowbar Society zdążyli już zapomnieć o duszącym skwarze, lejącym się z nieba niczym kara niebieska.

- Jak Ben to przyjął? - zapytał Roshan.

Ian wzruszył ramionami i zmarszczył brwi.

- Chyba nie najlepiej - zawyrokował. - A ty jak byś to przyjął?

- I co teraz zrobimy? - spytał Siraj.

- A niby co możemy zrobić? - zapytał Ian.

- Sporo - wtrąciła Isobel. - Lepiej coś zrobić, niż smażyć tyłki na słońcu, podczas gdy jakiś morderca usiłuje zabić Bena. I Sheere.

- Ktoś jest przeciw? - zapytał Seth.

Wszyscy pokręcili przecząco głowami.

- Dobrze, pułkowniku - powiedział Ian, kierując się bezpośrednio do Isobel. - Jakie są rozkazy?

- Przede wszystkim ktoś powinien dowiedzieć się jak najwięcej o okolicznościach katastrofy na dworcu Jheeter's Gate i o samym inżynierze - stwierdziła Isobel.

- Ja mogę się tym zająć - zaoferował się Seth. - Na pewno w archiwum prasowym biblioteki Muzeum Indyjskiego można będzie znaleźć gazety z tamtych czasów. Może nawet są wzmianki w książkach.

- Tak jest - powiedział Siraj. - Taki pożar na pewno odbił się szerokim echem. Wiele osób musi to pamiętać. Kto wie, może zachowała się dokumentacja, akta. Nie mam pojęcia gdzie, ale gdzieś na pewno.

- No to trzeba ją znaleźć - podsumowała Isobel. - To może być punkt wyjścia.

- Ja mu pomogę - zaoferował się Michael.

Isobel nie oponowała.

- Chcemy wiedzieć wszystko o tym człowieku, o jego życiu i o tym cudownym domu, który znajduje się chyba gdzieś blisko - powiedziała. -

Może idąc tym śladem, dotrzemy do mordercy.

- My poszukamy domu - zaproponował Siraj, wskazując na siebie i Roshana.

- Jeśli rzeczywiście istnieje, już jest nasz - dodał Roshan.

- Zgoda, ale nie wchodźcie do środka - poprosiła Isobel.

- Nie zrobimy tego - uspokoił ją Roshan, unosząc otwartą dłoń.

- A ja? Jakie zadanie zostanie mi przydzielone? - zapytał Ian, któremu, w przeciwieństwie do przyjaciół, jakoś nie przychodziło do głowy nic, co opowiadałoby jego kwalifikacjom.

- Ty zostań z Benem i z Sheere - nakazała Isobel. - Można się spodziewać, że Ben będzie co dziesięć minut wpadał na nowy szalony pomysł. Zostań przy nim i pilnuj, żeby nie zrobił czegoś głupiego.

Wąłwanie się z Sheere po ulicach to kiepski pomysł.

Ian skinął głową, świadom, że spośród wszystkich zadań rozdzielonych przez Isobel jego należało do najtrudniejszych.

- Spotykamy się przed zmierzchem w Pałacu Północy - zakończyła Isobel. - Ktoś ma pytania?

Chłopcy spojrzeli po sobie i pokręcili głowami.

- No to w drogę - powiedziała Isobel.

Seth, Michael, Roshan i Siraj odeszli, żeby jak najszybciej przystąpić do realizacji powierzonych im zadań. Isobel została z Ianem, patrząc w milczeniu, jak oddalają się w rozpalonym słońcu i drżącym jak fatamorgana powietrzu.

- A ty, Isobel, co zamierzasz? - spytał Ian.

Isobel uśmiechnęła się tajemniczo.

- Mam przeczucie - powiedziała.

- Boję się twoich przeczuc jak trzęsienia ziemi - odparł Ian. - Co knujesz?

- Nie martw się, nie ma powodu - szepnęła Isobel.

- Właśnie kiedy tak mówisz, zaczynam się najbardziej martwić - rzekł Ian.

- Dziś wieczorem może mnie nie być w Pałacu Północy - wyjaśniła Isobel. - Jeśli nie zdążę wrócić, zrób, co do ciebie należy. Zawsze wiesz, co trzeba robić.

Chłopak westchnął niespokojnie. Zbyt wiele tajemnic, a do tego nie podobał mu się dziwny blask w oczach przyjaciółki.

- Isobel, spójrz mi w oczy - rozkazał. Dziewczyna usłuchała. -

Cokolwiek zamierzasz, wybij to sobie z głowy.

- Nic mi się nie stanie, Ian - odparła, uśmiechając się.

Ale Ian nie potrafił się uśmiechnąć.

- Nie rób czegoś, czego ja bym nie zrobił - poprosił.

- Zrobię coś, na co ty nigdy byś się nie odważył - szepnęła.

Ian patrzył na nią zdziwiony, niczego nie rozumiejąc. Isobel, nie gasząc tajemniczej iskry w swoim spojrzeniu, zbliżyła się do Iana i delikatnie, muskając nieledwie jego usta, pocałowała go.

- Uważaj na siebie, Ian - szepnęła mu do ucha. - I nie rób sobie złudzeń.

Pierwszy raz go pocałowała. A on, patrząc, jak dziewczyna znika pośród chaszczki zarastających dziedziniec, nie potrafił opanować nagłego i niewytłumaczalnego lęku, że ten pocałunek może być pierwszy i zarazem ostatni.

* * *

Po niemal godzinie Ben i Sheere wyszli na światło dzienne. Na ich nieprzeniknionych twarzach malował się spokój. Sheere podeszła do Aryami, która siedziała w cieniu daszku, nie dając się Ianowi wciągnąć do rozmowy, i usiadła przy niej. Ben zwrócił się do Iana.

- Gdzie się wszyscy podziali?

- Pomyśleliśmy, że warto dowiedzieć się czegoś o tym Jawahalu -

odparł Ian.

- A ty zostałeś jako niańka? - zażartował Ben, choć jego ton nie zdołał zwieść żadnego z nich.

- Coś jakby. Wszystko w porządku? - zagadnął Ian, wskazując głową Sheere.

Ben kiwnął głową.

- Trochę jestem oszołomiony - powiedział w końcu. - Nie lubię niespodzianek.

- Isobel uważa, że nie powinniście z Sheere kręcić się po mieście.

Myślę, że ma rację.

- Isobel zawsze ma rację, chyba że akurat dyskutuje ze mną -

powiedział Ben. - Ale uważam, że to też nie jest najbezpieczniejsze dla nas miejsce. Choć zamknięty już od piętnastu lat, nadal jest to nasz dom rodzinny. W St. Patrick's też nie jesteśmy bezpieczni, to oczywiste.

- Myślę, że najlepiej będzie, jak pójdziemy do Pałacu i poczekamy tam na resztę - zasugerował Ian.

- Isobel wymyśliła taki plan? - uśmiechnął się Ben.

- Zgadnij.

- A gdzie poszła?

- Nie chciała mi powiedzieć.

- Miała przeczucie? - spytał Ben zaniepokojony.

Ian przytaknął, a Ben westchnął z troską.

- Niech Bóg ma nas w swojej opiece - rzekł, klepiąc przyjaciela po plecach. - Idę porozmawiać z paniami.

Ian odwrócił się, by spojrzeć na Sheere i na Aryami Bose. Kobieta spierała się o coś z wnuczką. Ben i Ian spojrzeli na siebie.

- Mam wrażenie, że babcia nadal się upiera, by jechać jutro do Bombaju - stwierdził Ben.

- Pojedziesz z nimi?

- Nie mam zamiaru opuszczać tego miasta. Zwłaszcza teraz.

Przyjaciele jeszcze przez chwilę przyglądali się coraz gorętszej dyskusji babci i wnuczki, w końcu Ben ruszył w ich stronę.

- Czekaaj tu na mnie - wyszeptał powoli.

* * *

Aryami Bose skryła się w domu, pozostawiając Bena i Sheere na progu. Na twarzy Sheere malowała się złość. Ben cierpliwie czekał, aż dziewczyna sama zadecyduje, kiedy się odezwać. Wreszcie przemówiła; głos jej drżał z irytacji i bezradności, a jej dłonie zaciskały się w napięty i żelazny węzeł.

- Mówi, że jutro wyjeżdżamy i że nie chce już więcej rozmawiać o tej sprawie - powiedziała. - Mówi również, że powinieneś z nami jechać, ale że nie może cię do tego zmusić.

- Uważa pewnie, że tak będzie dla ciebie najlepiej - skomentował

Ben.

- Ty też tak sądzisz?

- Skłamałbym, gdybym potwierdził - przyznał Ben.

- Całe życie uciekałam z miasta do miasta, w pociągach, statkami, wozami, nie miałam domu, przyjaciół, miejsca, które mogłabym wspominać jako swoje własne - powiedziała Sheere. - Jestem zmęczona, Ben. Nie mogę przez całe życie uciekać przed kimś, kogo nawet nie znam.

Rodzeństwo popatrzyło na siebie w milczeniu.

- To stara kobieta, Ben. Boi się, bo jej życie dobiega końca, i czuje, że nie potrafi już nas ochronić - dodała dziewczyna. - Robi to z pobudek serca, ale uciekanie już do niczego nie prowadzi. Wyjedziemy jutro pociągiem do Bombaju. Po co? Żeby znowu wysiąść na pierwszej lepszej stacji pod kolejnym przybranym nazwiskiem? Żeby zebrać o dach nad głową w jakimś miasteczku, wiedząc, że następnego dnia znowu będziemy musiały wyruszyć w podróż?

- Powiedziałaś to Aryami? - spytał Ben.

- Nie chce mnie słuchać. Ale tym razem nie mam zamiaru znowu uciekać. To jest mój dom, to jest miasto mojego ojca i tutaj mam zamiar żyć. A jeśli ten człowiek odnajdzie mnie, stawię mu czoło. Jeśli ma mnie zabić, to niech zabije. Ale jeśli mam żyć, nie mam zamiaru żyć jak wieczna uciekinierka, która musi codziennie dziękować za to, że znów widzi słońce. Pomożesz mi, Ben?

- Oczywiście - bez namysłu rzekł chłopak.

Sheere uścisnęła go i wytarła oczy skrajem białego sari.

- Wiesz, Ben? - powiedziała. - Tej nocy, z twoimi przyjaciółmi w tym starym, opuszczonym domu, waszym Pałacu Północy, gdy opowiadałam wam swoją historię, pomyślałam, że nigdy nie miałam szansy być normalnym dzieckiem. Dorastałam pośród starych ludzi, pośród strachów i kłamstw, za jedyne towarzystwo mając żebraków i bezimiennych podróżnych. Przypomniałam sobie, jak wymyślałam niewidzialnych towarzyszy zabaw i rozmawiałam z nimi godzinami w poczekalniach dworcowych, w wozach.

Dorośli patrzyli na mnie i uśmiechali się. Dla nich dziewczynka mówiąca sama do siebie miała dużo wdzięku. Ale to nie jest wdzięk.

Wcale nie jest miło być samotnym, ani w dzieciństwie, ani na starość.

Latami zastanawiałam się, jakie są inne dzieci, czy śnią się im te same koszmary, czy czują się tak samo nieszczęśliwe jak ja. Ten, kto twierdzi, że dzieciństwo to najszczęśliwszy okres w życiu, jest kłamcą albo głupcem.

Ben patrzył na siostrę, wreszcie się uśmiechnął.

- Albo i jednym, i drugim - zażartował. - Zazwyczaj to idzie w parze.

Sheere zaczerwieniła się.

- Przykro mi - powiedziała. - Za dużo gadam, prawda?

- Nie - zaprzeczył Ben. - Lubię cię słuchać. A poza tym chyba mamy ze sobą więcej wspólnego, niż ci się wydaje.

- Przecież jesteśmy rodzeństwem - zaśmiała się nerwowo Sheere. -

Jeszcze ci mało? Bliźniakami! Jak dziwnie to brzmi!

- No cóż, jak to się mówi, tylko przyjaciół możesz sobie dobierać -
zażartował Ben. - Rodzinę otrzymujesz w spadku.

- Wobec tego wolę, żebyś był moim przyjacielem - powiedziała Sheere.

Ian podszedł do nich i z ulgą stwierdził, że rodzeństwo wydawało się w dobrym humorze, pozwalając sobie nawet na żarty, co zważywszy na okoliczności, stanowiło już nie lada osiągnięcie.

- Pewnie wiesz, co robisz, Ian, ta dama chce zostać moją przyjaciółką.

- Stanowczo odradzam, Sheere - podjął Ian tym samym tonem. -

Jestem jego przyjacielem od lat i sama widzisz z jakim skutkiem.

Postanowiliście coś?

Ben skinął głową.

- Czy to jest to, co myślę? - spytał Ian.

Ben ponownie przytaknął, a jego gest powtórzyła Sheere.

- Mogę wiedzieć, co postanowiliście? - rozległ się za ich plecami przepojony goryczą głos Aryami Bose.

Cała trójka odwróciła się i dojrzała w półmroku sylwetkę starej kobiety stojącej w progu. Zapadło pełne napięcia milczenie.

- Babciu, nie wsiądziemy jutro do tego pociągu - odpowiedziała łagodnie Sheere. - Ani Ben, ani ja.

Aryami przeszyła każde z nich piorunującym wzrokiem.

- Wystarczyło parę słów niczego nieświadomych smarkaczy, żebyś w kilka minut zapomniała wszystko, czego nauczyłam cię przez lata -

fuknęła.

- Nie, babciu. To moja własna decyzja. I nic jej nie zmieni.

- Zrobisz to, co ci każę - ucięła Aryami, aczkolwiek w każdym jej słowie czuć było gorzyc porażki.

- Proszę pani... - zaczął Ian grzecznie.

- Milcz, dziecko - przerwała mu bez pardonu Aryami ze zwykłym sobie chłodem.

Ian powstrzymał się od komentarza i spuścił wzrok.

- Babciu, nie wsiądę do tego pociągu - powiedziała Sheere. - Wiesz o tym dobrze.

Aryami z mroku przyglądała się wnuczce, nic nie mówiąc.

- Czekam na was na stacji Howrah, o świcie - powiedziała w końcu.

Sheere westchnęła, a Ben dostrzegł, jak jej twarz oblał rumieniec.

Aryami odwróciła się, jej kroki powoli ucichły w głębi domu.

- Nie mogę jej tak zostawić - szepnęła Sheere.

Ben kiwnął głową i puścił ramię siostry. Sheere poszła za Aryami, która usiadła w salonie, przed palącymi się świecami. Kobieta siedziała nieruchomo, nie zwracając uwagi na obecność wnuczki. Sheere delikatnie objęła ją rękoma.

- Cokolwiek się stanie, babciu - powiedziała - wiedz, że bardzo cię kocham.

Aryami nie zareagowała, przyjęła gest Sheere w milczeniu, a później ze łzami zalewającymi oczy słuchała, jak wnuczka oddala się w stronę dziedzińca. Na zewnątrz Ben i Ian czekali na powrót Sheere z najbardziej optymistycznymi minami, na jakie było ich stać.

- I dokąd teraz idziemy? - zapytała Sheere, z oczyma mokrymi od łez i drżącymi rękoma.

- Do najlepszego zakątka w Kalkucie - odparł Ben. - Do Pałacu Północy.

* * *

Ostatnie światła wieczoru zaczynały już gasnąć, kiedy Isobel dostrzegła fantasmagoryczną i graniastą sylwetkę dawnego Jheeter's Gate, wyłaniającą się spośród nadrzecznych oparów niczym złowieszczą zjawą katedry wydanej niegdyś na pastwę płomieni. Dziewczyna wstrzymała oddech i stanęła, by dokładnie przyrzeć się budzącej dreszcze stercie stalowych belek, łuków i sklepień, nieprzeniknionemu labiryntowi metalu i szkła zniszczonemu przez ogień.

Stary, całkowicie zrujnowany i zapomniany most łączył oba brzegi rzeki, prowadząc do wjazdu na dworzec - wrót rozwartych niczym czarna paszcza zastygłego w bezruchu i wyczekującego smoka, z długimi, ostrymi kłami, których rzędy, ciągnące się bez końca, ginęły w mrokach trzewi.

Isobel ruszyła w stronę mostu, przeskakując stare szyny znaczące martwy szlak ku owemu

piekielnemu mauzoleum. Zbutwiałe ciemne podkłady kolejowe zarastały powoli zieliskiem. Zardzewiała szkielet mostu trzeszczał pod stopami. Od razu zauważyła tablice zabraniające wejścia i ostrzegające przed niebezpieczeństwem zawalenia. Sądząc ze zniszczeń, już żaden pociąg nie przejechał więcej przez ten most. Isobel pomyślała, że nikt nie próbował go naprawić ani nawet nie odważył się po nim przejść.

W miarę jak wschodni brzeg Kalkuty zostawał coraz bardziej w tyle, a przed Isobel wyrastało widmowe złomowisko stali i mroków dworca, okrytego szkarłatem zmierzchu, w jej głowie kielkowała myśl, że chyba zamiar przyjscia tutaj nie był zbyt sensowny. Co innego odgrywać rolę niepokromionej poszukiwaczki przygód, dla której nie ma przeszkód, a co innego znaleźć się w samym środku tej mrozącej krew w żyłach scenerii, nie znając ani słowa z trzeciego aktu.

Jej twarz owionęły przesycone popiołem i sadzą opary ze skrytych we wnętrzościach dworca tuneli. Był to kwaśny i ostry fetor, woń, którą nie wiadomo dlaczego skojarzyła ze starą fabryką przesyconą zabójczymi gazami i pokrytą warstwami brudu oraz rdzy. Skupiła wzrok na pierwszych dalekich światłach łodzi sunących po Hooghly, jakby usiłowała przywołać zaklęciem niewidocznych wiosłarzy.

Kiedy wreszcie znalazła się na drugim brzegu, zatrzymała się między szynami prowadzącymi w czarną czeluść i spojrzała na ogromny stalowy fronton. Dostrzegła na nim częściowo strawione przez płomień litery składające się na nazwę stacji. Wszystko razem przypominało wejście do ogromnego cmentarnego mauzoleum: **JHEETER'S GATE.**

Isobel nabrała powietrza, szykując się do czegoś, czego teraz, w szesnastym roku życia, pragnęłaby raczej uniknąć: do wejścia w głąb czeluści.

* * *

Seth i Michael stali z anielskimi uśmiechami wzorowych uczniów przed spoglądającym na nich inkwizytorsko Mr. De Rozio, bibliotekarzem sali głównej Muzeum Indyjskiego, wytrzymując bez mrugnienia okiem świdrujący ich bezlitośnie wzrok.

- To najbardziej absurdalna prośba, jaką zdarzyło mi się w życiu usłyszeć - odezwał się w końcu De Rozio. - Przynajmniej od twojego ostatniego tu pobytu, drogi Setcie.

- Proszę nas wysłuchać, Mr. De Rozio - zaczął się tłumaczyć Seth -

przecież bardzo dobrze wiemy, że biblioteka czynna jest tylko rano, i zdajemy sobie sprawę, że nasza prośba może wydać się nieco ekstrawagancka...

- Nic, co pochodzi od ciebie, młody człowieku, nie wydaje się ekstrawaganckie... - nie dał mu dokończyć De Rozio.

Seth wolał się nie uśmiechać. W przypadku Mr. De Rozio umyślna ironia była oznaką słabości i zainteresowania. Nikt nie znał jego imienia, być może z wyjątkiem rodzonej matki i małżonki, o ile w ogóle istniała w Indiach kobieta na tyle odważna, by wyjść za mąż za taki okaz nad okazy, barwny

przykład różnorodności gatunku ludzkiego.

Pod maską bibliofilskiego cerbera De Rozio skrywał swoją piętę achillesową: niezdrową ciekawość i chorobliwą wręcz skłonność do plotkarstwa, przy której gadki bazarowych bab wydawały się najzwyczajszą amatorszczyzną.

Seth i Michael spojrzeli na siebie kątem oka i postanowili wytoczyć najcięższe kolubryny.

- Mr. De Rozio - zaczął Seth melodramatycznym tonem - właściwie nie powinienem tego mówić, ale zmuszony jestem zaufać pańskiej powszechnie znanej dyskrecji: w związku ze sprawą, która nas tutaj sprowadza, dokonano już licznych zbrodni i obawiamy się, że mogą zostać popełnione następne, jeśli nie stawimy temu tamy.

Drobne i świdrujące oczka bibliotekarza wydawały się rozszerzać z każdym ich słowem.

- Jesteście pewni, że Mr. Thomas Carter wie o tym wszystkim? -

zapytał groźnie.

- To on nas tu przysłał - odparł stanowczo Seth.

De Rozio znów zaczął im się badawczo przyglądać, usiłując znaleźć rysę w tych dwóch nieskazitelnych twarzach, najmniejszy choćby ślad sugerujący jakiś mętny szacher-macher.

- A twój kolega - naskoczył niespodziewanie na Seta, wskazując Michaela. - Dlaczego on się nigdy nie odzywa?

- Jest bardzo nieśmiały - usprawiedliwił kolegę Seth.

Michael na dowód prawdziwości tych słów nieznacznie kiwnął

głową. De Rozio chrząknął, nie całkiem przekonany.

- Twierdzisz, że dokonano już licznych zbrodni? - rzucił od niechcienia.

- Morderstw, proszę pana - uściślił Seth. - Wielu morderstw.

De Rozio rzucił okiem na zegarek, zastanawiał się chwilę, spoglądając to na chłopców, to na cyferblat, w końcu wzruszył

ramionami.

- Zgoda - przystał. - Ale to ostatni raz. Jak się nazywa owa osoba, o której szukacie informacji?

- Lahawaj Chandra Chatterghee, proszę pana - nie zwlekał Seth z odpowiedzią.

- Inżynier? - spytał De Rozio. - Czy on nie zginął podczas pożaru Jheeter's Gate?

- Tak, proszę pana - wyjaśnił Seth. - Ale był z nim ktoś, kto nie umarł. Ktoś bardzo niebezpieczny. Ktoś, kto podłożył ogień. I wciąż jest gdzieś w pobliżu, gotów popełnić następne zbrodnie...

De Rozio uśmiechnął się złośliwie.

- Brzmi całkiem nieźle - szepnął.

Nagle jakiś cień wątpliwości ogarnął bibliotekarza. De Rozio nachylił się nad chłopcami całą swą zwalistą postacią i groźnie wymierzył w nich palec.

- A nie jest to przypadkiem wymysł tego waszego koleżki, co? -

huknął. - Jak mu tam?

- Ben nic o tym nie wie, Mr. De Rozio - uspokoił go Seth. - Od miesiący go nie widzieliśmy.

- To bardzo dobrze - zawyrokował De Rozio. - Chodźcie za mną.

* * *

Isobel niepewnym krokiem weszła do wnętrza dworca, po czym odczekała chwilę, by przyzwycząić oczy do kryjących dawną halę ciemności. Kilkanaście metrów nad jej głową unosiło się główne sklepienie z długich łuków ze stali i szkła. Szklane płyty w większości stopiły się pod wpływem ognia albo wybuchły, zalewając cały dworzec deszczem płonących odłamków. Światło zmierzchu wpadało przez pręty z osmalonego metalu i szklane drzazgi. Perony z nadpalonymi ławkami i zwalonymi belkami stropu ginęły w ciemnościach, zarysowując pod ogromną kopułą łagodny łuk.

Wielki zegar, górujący niegdyś nad centralnym peronem jak latarnia u wejścia do portu, wisiał teraz niemy i posepny niczym wartownik.

Mijając tarczę, Isobel zauważyła, że wskazówki, topiąc się, spłynęły ku ziemi podobne do czekoladowych jeziorów, znacząc na zawsze czas trwogi i zniszczenia dla stacji. Miejsce wyglądałoby jak chwilę po katastrofie, gdyby nie brud gromadzący się przez lata i skutki deszczy monsunowych, zalewających dworzec przez otwory wentylacyjne i szczeliny w kopule.

Isobel stanęła, by rozejrzeć się po ogromnej stacji z samego środka, i zdało jej się, że jest w bezkresnej i niezbadanej świątyni.

Przez halę przeleciał podmuch gorącego, wilgotnego powietrza, owiewając włosy Isobel i unosząc z peronów drobiny brudu. Poczwała dreszcz.

Badawczo

przyjrzała

się

czarnym

otworom

tuneli

zanurzających się w ziemię w głębi stacji. Wolałaby teraz mieć u boku pozostałych członków Chowbar Society, w tej właśnie chwili, gdy sprawy

zaczynały

przybierać

niezbyt

sympatyczny

obrót

i

niebezpiecznie przypominać niestworzone historie, tak chętnie wymyślane przez Bena podczas wieczornych spotkań w Pałacu Północy.

Isobel dotknęła kieszeni i wyciągnęła kartkę z narysowanymi przez Michaela portretami członków Chowbar Society pozujących nad stawem, w którego lustrze odbijały się twarze. Uśmiechnęła się, patrząc na swój wykonany ołówkiem portret, i zastanowiła, czy rzeczywiście Michael taką ją widzi. Zateęskniła za nimi wszystkimi.

I wtedy usłyszała ten dźwięk po raz pierwszy - odległy i zagłuszony ciągnącym w tunelach wiatrem. Dźwięk dalekich głosów, podobny do gwaru, jaki słyszała, zanurzając się w Hooghly wiele lat temu, gdy Ben uczył ją nurkować. Ale tym razem Isobel była pewna, że owe dźwięki, dobiegające jakby z czeluści tuneli, to nie głosy pielgrzymów. To były głosy dzieci. Setek dzieci, które wyły z przerażenia.

* * *

De Rozio pogłaskał się z czułością po obfitym potrójnym podbródku i ponownie przejrzał pakiet dokumentów, wycinków i trudnych do zaklasyfikowania papierów, które zebrał, zagłębiając się kilka razy w trzewia aleksandryjskiej biblioteki Muzeum Indyjskiego.

Seth i Michael przyglądali mu się z niecierpliwością.

- No cóż - zaczął bibliotekarz. - Jest to znacznie bardziej skomplikowane, niż się wydaje. O waszym Lahawaju Chandrze Chatterghee można znaleźć sporo wiadomości, i to pod różnymi hasłami. Większość dokumentów, do których zajrzałem, powtarzała informacje, czasem nieistotne, ale właściwie potrzebny byłby co najmniej tydzień, żeby zaprowadzić jakiś porządek w papierach tej

osoby.

- A co pan znalazł, proszę pana? - spytał Seth.

- Wszystkiego po trochu, prawdę mówiąc - odparł De Rozio. - Mr.

Chandra był wybitnym inżynierem, który wyprzedzał swoją epokę, a jego ideałem było zostawić temu krajowi dziedzictwo, rekompensujące biedakom wszystkie nieszczęścia spowodowane, jego zdaniem, panowaniem i wyzyskiem brytyjskim. Niezbyt to oryginalne, szczerze mówiąc.

Jednym słowem: wszystko zapowiadało w nim człowieka przegranego. Ale jakoś udawało mu się wychodzić obronną ręką z zastawianych na niego zasadzek, mających zniszczyć jego karierę.

Zdołał nawet przekonać rząd, żeby sfinansowano jego największe marzenie: budowę linii kolejowej łączącej główne miasta z resztą kraju.

Sądził, że dzięki temu zostanie przełamany sięgający czasów lorda Clive'a i kompanii monopol handlowy i polityczny, oparty na transporcie rzeczonym i morskim, a mieszkańcy Indii zaczną odzyskiwać kontrolę nad bogactwem własnego kraju. Naturalnie nie trzeba było być inżynierem, żeby pojąć, iż tak się nie stanie.

- A jest jakaś informacja o kimś, kto się nazywa Jawahal? - spytał

Seth. - To był przyjaciel z czasów młodości inżyniera Chatterghee.

Wytoczono mu kilka procesów, ciążyły na nim poważne zarzuty. To były chyba głośne sprawy, wydaje mi się.

- Pewnie gdzieś jest, ale mam jeszcze tyle dokumentów do zarchiwizowania i skatalogowania. Może przyjdziecie tu za parę tygodni? Do tego czasu zdążę już pewnie zaprowadzić nieco porządku w tym całym galimatiasie.

- Nie możemy czekać kilku tygodni, proszę pana - powiedział

Michael.

De Rozio przyjrzał się chłopcu, nie kryjąc zaskoczenia.

- A tydzień? - zaproponował.

- Proszę pana - powiedział Michael - to sprawa życia i śmierci.

Życie dwóch osób jest w niebezpieczeństwie.

De Rozio zobaczył wpatrzone w siebie oczy chłopca i przytaknął, nieco oszołomiony. Seth nie chciał marnować ani chwili.

- Pomożemy panu w porządkowaniu i katalogowaniu, proszę pana -

zapropował.

- Wy? - zapytał. - Czy ja wiem... A kiedy?

- Zaraz - odparł Michael.

- A znacie biblioteczny system kodowania i fiszowania?

- Jak tabliczkę mnożenia - skłamał Seth.

* * *

Słońce zapadło się za zniszczonymi oknami Jheeter's Gate niczym ogromny krwawiący balon i w parę sekund na oczach Isobel rozegrało się niezwykle hipnotyzujące widowisko: setki poziomych ostrzy wbijało się szkarłatnym światłem w półmrok stacji. Wycie przerażonych głosów nasiliło się i niebawem Isobel usłyszała, jak rozbrzmiewa echem pod kopułą.

Ziemia zadrżała pod jej stopami, a spod sklepienia zaczęły spadać szklane odłamki. Dziewczyna poczuła ukłucie na lewej ręce, więc uniosła dłoń, by dotknąć tego miejsca. Ciepła krew wypłynęła jej spomiędzy palców. Pobiegnęła w głąb dworca, osłaniając głowę ramionami.

Schroniwszy się pod schodami prowadzącymi na wyższe kondygnacje,

ujrzała

przed

sobą

obszerną

poczekalnię

z

poprzewracanymi, na pół spalonymi ławkami. Ściany pomieszczenia pokryte były dziwnymi odręcznymi malunkami.

Postaci zdeformowanych i demonicznych kształtów ludzkich z długimi wilczymi szponami i obłądnym wzrokiem. Zbliżając się do wejścia do tunelu, Isobel czuła, jak drgania pod jej stopami się nasilają.

Nagły podmuch palącego powietrza uderzył ją w twarz. Przetarła oczy, nie wierząc w to, co zobaczyła.

Z głębin tunelu wyłaniała się ogarnięta płomieniami świetlna lokomotywa, z furią wypluwając kręgi

ognia, które leciały niczym armatnie kule i wybuchały w rozżarzone gazowe obręcze. Isobel padła na ziemię, a pociąg ognia przemknął przez dworzec z ogłuszającym hukiem i łoskotem roztrzaskującego się żelastwa, wśród krzyków setek dzieci uwięzionych w płomieniach. Leżała z zamkniętymi oczyma, sparaliżowana przerażeniem, dopóki odgłos pędzącego pociągu nie rozplynął się w powietrzu.

Uniosła głowę i rozejrzała się wokół. Dworzec był pusty, jedynie chmura pary unosiła się powoli, rozbłyskując czerwienią ostatniego brzasku dnia. Tuż obok siebie Isobel dostrzegła kałużę ciemnej i lepkiej substancji. Przez chwilę dziewczyna miała wrażenie, że widzi w niej odbicie jasnej i smutnej twarzy otoczonej światłem damy, która ją przyzywa.

Wyciągnęła rękę i poczuła na palcach ów ciepły i gęsty płyn. Krew.

Gwałtownie cofnęła dłoń i wytarła palce o ubranie, podczas gdy widmowa twarz z wolna się rozplywała. Isobel, dysząc, podczołgała się do ściany i oparła o nią, usiłując złapać oddech.

Po minucie wstała i uważnie się rozejrzała. Dogorywały już resztki zmierzchu; lada chwila miała zapaść ciemna noc. W tym momencie jedna tylko myśl kołatała jej w głowie: nie chciała doczekać nocy wśród ruin Jheeter's Gate. Ruszyła nerwowo ku wyjściu i dopiero wtedy, poprzez mgiełkę unoszącą się nad peronami stacji, dostrzegła czyjąś sylwetkę. Postać uniosła dłoń i Isobel zobaczyła, jak z jej palców wybuchają płomienie, oświetlając drogę. Natychmiast zrozumiała, że nie opuści dworca tak łatwo, jak tu weszła.

* * *

Poprzez resztki dachu Pałacu Północy przezierało nocne niebo upstrzone gwiazdami, bezkresne morze maleńkich białych świeczek.

Zmierzch przytłumił nieco skwarne upały nekający Kalkutę od rana, ale bryza nieśmiało muskająca ulice Czarnego Miasta była tylko przesyconym nocną wilgocią chłodnym westchnieniem nad rzeki Hooghly.

Ian, Ben i Sheere czekali na resztę członków Chowbar Society pośród ruin starego domu, każde zagubione we własnych myślach.

Ben wspiął się na swoje ulubione miejsce - gołą belkę na przedniej ścianie Pałacu. Siedząc ze zwieszonymi nogami w tej swojej samotni na wieży strażniczej, Ben lubił przyglądać się światłom miasta, sylwetkom pałaców i cmentarzom nad brzegami wijącej się przez Kalkutę rzeki.

Potrafił siedzieć tam godzinami, w ciszy, nie spoglądając w ogóle w dół, na ziemię. Członkowie Chowbar Society szanowali ten nawyk, niejedyny zresztą w kolekcji osobliwych zwyczajów Bena, i pogodzili się z nieodłączną melancholią, która ogarniała go po powrocie z podniebnych wypraw.

Ian obserwował przyjaciela kątem oka z dziedzińca Pałacu, pozwalając mu się nacieszyć chwilą samotności, sam zaś powrócił do tego, czym zajęty był razem z Sheere od godziny: próby wyjaśnienia dziewczynie zasad gry w szachy. Korzystał w tym celu z szachownicy, którą dysponowała Chowbar Society. Bierki zarezerwowane były na coroczne mistrzostwa, odbywające się w grudniu, które

niezmiennie wygrywała Isobel, wykazując beczelną przewagę.

- Istnieją dwie teorie strategii w szachach - wyjaśniał Ian. - Tak naprawdę istnieje tysiące teorii, ale w rzeczywistości liczy się tylko kilka. Pierwsza z nich głosi, że kluczem do gry jest drugi rząd bierok: król, koń, wieża, królowa i tak dalej, a pionki należy poświęcać w trakcie budowania taktyki. Według drugiej przeciwnie, pionki mogą i powinny być najbardziej zabójczymi figurami ataku, wykorzystywanymi w inteligentnej strategii. Jeśli o mnie chodzi, to, prawdę mówiąc, żadna z tych teorii się nie sprawdza, ale Isobel jest gorącą zwolenniczką tej drugiej.

Wspomnienie przyjaciółki znowu wywołało niepokój na twarzy Iana. Sheere dostrzegła to i szybko przywołała Iana do rzeczywistości kolejnym pytaniem na temat gry.

- Jaka jest różnica między taktyką a strategią? - spytała. - Czy to tylko kwestia techniczna?

Ian zastanowił się nad pytaniem Sheere i uznał, że chyba nie zna odpowiedzi.

- To różnica literacka, nie rzeczywista - rozległ się z wysokości głos Bena. - Taktyka to kombinacja małych kroków, które stawiasz, żeby dojść do wybranego celu. Strategia to kroki, które stawiasz, kiedy nie masz już dokąd iść.

Sheere uniosła wzrok i uśmiechnęła się do Bena.

- Grasz w szachy, Ben? - zapytała. Ben nie odpowiedział.

- Ben gardzi szachami - wyjaśnił Ian. - Sądzi, że to kolejny sposób marnowania ludzkiej inteligencji. Drugi pod względem rozrzutności.

- A jaki jest pierwszy? - zapytała Sheere rozbawiona.

- Filozofia - odparł Ben ze szczytu swej wieży strażniczej.

- Ben *dixit* - zawyrokował Ian. - Może byś już zszedł stamtąd?

Zaraz przyjdzie reszta.

- Poczekam jeszcze - odpowiedział Ben, wracając na swoje miejsce pośród chmur.

Zszedł pół godziny później, kiedy Ian zajęty był wyjaśnianiem ruchu konia, a na progu dziedzińca Pałacu Północy pojawili się Roshan i Siraj. Niewiele później doszli również Seth i Michael. Wszyscy zebrali się wokół niewielkiego ogniska, które rozpałił Ian z resztek suchego drewna, schowanego przed deszczem w sali na tyłach Pałacu. W świetle ognia ich twarze nabrały miedzianej barwy.

Ben puścił między przyjaciół butelkę wody, być może niezbyt chłodnej, za to na pewno wolnej od śmiertelnych drobnoustrojów.

- Nie czekamy na Isobel? - spytał Siraj, nie kryjąc niepokojem z powodu nieobecności obiektu swych

nieodwzajemnionych westchnień.

- Możliwe, że nie dotrze - powiedział Ian.

Wszyscy spojrzeli nań jednocześnie, zdumieni. Relacjonując w skrócie wcześniejszą rozmowę z Isobel, Ian widział, jak twarze przyjaciół się zasępiają. Kiedy skończył, przypomniał prośbę dziewczyny, żeby niezależnie od jej ewentualnej nieobecności zreferowali swoje dokonania, i spytał, kto pierwszy chciałby zabrać głos.

- Więc dobrze - powiedział zdenerwowany Siraj - opowiem wam, czego się dowiedzieliśmy, a później lecę szukać Isobel. Tylko takiemu uparciuchowi jak ona mogło przyjść do głowy, żeby szwendać się samej po nocy nie wiadomo gdzie. Jak mogłeś ją puścić, Ian?

Roshan położył dłoń na ramieniu Siraja i usprawiedliwił przyjaciela.

- Z Isobel nie ma dyskusji - przypomniał. - Jej się słucha, i koniec.

Opowiedz szybko o rebusie, a później obaj pójdziemy jej szukać.

- O jakim rebusie? - zapytała Sheere.

Roshan przytaknął.

- Znaleźliśmy dom, Sheere - wyjaśnił Siraj. - To znaczy, wiemy gdzie jest.

Twarz Sheere nagle się rozjaśniła. Serce zaczęło bić jej mocniej.

Chłopcy podeszli do ogniska, a Siraj wyciągnął karteczkę, na której widniały przepisane jego ręką wersety.

- Co to jest? - spytał Seth.

- Wiersz - rzekł Siraj.

- Przeczytaj go - poprosił Roshan.

Oto miasto, które kocham - ciemny i głęboki dom nędzy, siedziba duchów przeklętych,

mój dom i zjawy, którym nikt nie otwiera drzwi ani serc.

*Tam rozciąga się moje miasto żyjące w zmierzchu, gdzie tylko cienie zła i zapomnianej chwały,
cień sprzedanych fortun i ubogich dusz.*

*Z górującej nad niepewnym piekłem naszego losu wieży patrzę na miasto, które kocham bez
wzajemności.*

Koło przeznaczenia napędzane przekleństwem krwi nabiera wielkiego rozmachu w tańcu kłamstw,

pośród bazaru mych smutków...

Wszyscy zamilkli. Przez chwilę w porywach wiatru słycać było jedynie trzask ognia i dalekie odgłosy miasta.

- Znam ten wiersz - szepnęła Sheere. - Pochodzi z jednej z książek mojego ojca. Zamieszczony jest na końcu mojej ulubionej opowieści o łzach Siwy.

- Zgadza się - potwierdził Siraj. - Spędziliśmy całe popołudnie w Bengalskim Instytucie Przemysłu. To nieprawdopodobny budynek, ruina właściwie, całe piętra archiwów, sale pokryte kurzem, tonące w śmieciach. Szczurów tam nie brakuje i jestem przekonany, że gdybyśmy trafili tam w nocy, na pewno znaleźlibyśmy coś ukrytego...

- Ograniczmy się do rzeczy najistotniejszych, Siraj - uciał Ben. -

Proszę.

- Jasne - zgodził się Siraj, zostawiając na inny moment wyrażenie swej fascynacji tajemniczym miejscem. - Więc po godzinach wertowania, ale nie będę o tym opowiadał, zważywszy na panujące nastroje, trafiliśmy na plik dokumentów, które należały do twojego ojca, a od roku tysiąc dziewięćset szesnastego, czyli od katastrofy Jheeter's Gate, znajdowały się w zbiorach instytutu. Pośród tych dokumentów była książka z autografem twojego ojca i choć nie pozwolono nam jej wziąć, mogliśmy ją przejrzeć. No i poszczęściło nam się.

- A niby z czym się wam poszczęściło? - nie bez sarkazmu wtrącił

Ben.

- Sam tylko popatrz. Obok wiersza ktoś, sądzę, że ojciec Sheere, narysował piórem dom - kontynuował Siraj niezrażony, podając Benowi kartkę z wierszem.

Ben przyjrzał się wersom i wzruszył ramionami.

- Widzę tylko słowa - powiedział.

- Co się dzieje z twoją bystrością, Ben? Isobel nie wybaczy sobie, że jej przy tym nie było - zażartował Siraj. - Przeczytaj jeszcze raz.

Uważnie.

Ben, marszcząc brwi, powtórnie przeczytał tekst.

- Poddaję się. Ten wiersz jest jakiś niespójny, rwie się, brak mu melodii. To tylko proza, poszarpana według jakiegoś widzimi się.

- Zgadza się - stwierdził Siraj. - A jaka jest zasada tego widzimi się?

Inaczej mówiąc: dlaczego autor ucina wersy w tym właśnie, a nie w jakimkolwiek innym miejscu?

- Żeby oddzielić słowa? - podsunęła myśl Sheere.

- Albo je połączyć... - szepnął pod nosem Ben.

- Weź pierwsze słowo z każdego wersu i zbuduj z tego zdanie -
podsunał Roshan.

Ben znów spojrział na wiersz, a następnie na swych przyjaciół.

- Przeczytaj wyłącznie pierwsze słowa każdego wersu

- zaznaczył Siraj.

- „Oto dom mój, tam, gdzie cień z wieży koło wielkiego bazaru” -
przeczytał Ben.

- Tylko w północnej części Kalkuty jest przynajmniej sześć bazarów

- zauważył Ian.

- A ile z tych bazarów ma wieżę na tyle wysoką, żeby rzucała cień padający na stojące nieopodal domy? - zapytał Siraj.

- Nie mam pojęcia - odparł Ian.

- A ja mam - z satysfakcją stwierdził Siraj. - Są dwa takie bazary: Syambazaar i Machuabazaar, na północ od Czarnego Miasta.

- Ale to jeszcze niczego nie wyjaśnia - powiedział Ben.

- Cień rzucony przez wieżę poruszałby się niczym otwierający się w półkole wachlarz, zmieniając co minuta pozycję. Ten dom mógłby znajdować się w jakimkolwiek miejscu na północy Kalkuty, co znaczy dokładnie tyle samo co w jakimkolwiek miejscu w Indiach.

- Chwileczkę - przerwała Sheere. - Wiersz mówi o zmierzchu.

Dosłownie: „Me ukochane miasto żyjące w zmierzchu”.

- Sprawdziliście to? - spytał Ben.

- Oczywiście - odparł Roshan. - Siraj poszedł na Syambazaar, a ja na Machuabazaar, tuż przed zachodem słońca.

- I co? - zapytali wszyscy.

- Cień wieży Machuabazaar pada na budynek starego, opuszczonego magazynu - wyjaśnił Siraj.

- A ty, Roshan, co zobaczyłeś? - spytał Ian.

Chłopiec uśmiechnął się, wyciągnął z ogniska nadpalony kij i na kupce popiołu narysował wieżę.

- Cień wieży z Syambazaar, niczym wskazówka zegara, pada swym końcem na furtkę długiego żelaznego ogrodzenia, za którym rozciąga się patio zarośnięte palmami i krzakami. Pośród wierzchołków palm można było dostrzec basztę.

- To niesamowite! - krzyknęła Sheere.

Uwadze Bena nie uszedł jednak cień niepokoju, który przemknął po twarzy Roshana.

- Co, Roshan, coś nie tak? - zapytał Ben.

Roshan powoli pokręcił głową i wzruszył ramionami.

- Sam już nie wiem - odpowiedział. - Coś mi się w tym domu nie podobało.

- Zobaczyłeś coś? - spytał Seth.

Roshan zaprzeczył, Ian i Ben spojrzeli po sobie w tej samej chwili, bez słowa.

- A czy komuś przyszło na myśl, że to wszystko może być po prostu pułapką? - spytał Roshan.

Ian z Benem znów wymienili milczące spojrzenia. Obaj pomyśleli to samo.

- Zaryzykujemy - powiedział Ben, usiłując nadać głosowi jak najbardziej przekonujący ton.

* * *

Aryami Bose zapaliła zapałkę i zbliżyła ją do knota stojącej przed nią białej świeczki. Migocące światełko płomienia wydobywało tańczące w ciemnościach fragmenty pokoju. Knot zajął się powoli, roztaczając wokół jasną poświatę. Kobieta zdmuchnęła zapałkę.

Niebieskawy dymek rozpełzł się w półmroku.

Poczuła z tyłu głowy, na włosach, delikatne muśnięcie przeciągu.

Odwróciła się. Zimny podmuch powietrza, przesiąknięty przenikliwym, kwaśnym odorem, zatrzepotał jej sari i zgasił płomień świecy. Ponownie zapanowała ciemność, do uszu Aryami dobiegły dwa krótkie stuknięcia w drzwi. Zacisnęła dłonie i zobaczyła, że przez szczelinę przy progu przebłyskuje czerwonawe światło. Pukanie rozległo się znowu, tym razem mocniejsze. Kobieta poczuła, jak zimny pot występuje jej na czoło.

- To ty, Sheere? - spytała drżącym głosem.

Dźwięk ten rozszedł się gasnącym echem w mrokach domu. Nie było żadnej odpowiedzi, a w chwilę później dwa stuknięcia rozbrzmiały po raz kolejny.

Aryami ruszyła po omacku w stronę kominka, idąc za nikłą poświatą żarzących się jeszcze resztek popiołu. Zrzuciła z kominkowego gzymsu kilka przedmiotów, by wreszcie natrafić palcami na długą metalową pochwę sztyletu. Wyciągnęła broń. Zygzakowaty brzeszczot błysnął złotawo w blasku żaru. Szczelinę pod drzwiami rozdarło ostrze światła. Aryami zaczerpnęła głęboko powietrza i podeszła do drzwi.

Zatrzymała się przed nimi i wsłuchiwała w szum wiatru pośród zarośli na patio.

- To ty, Sheere? - wyszeptała znów, nadaremnie czekając na jakąkolwiek odpowiedź.

Chwyciła mocno rękojeść sztyletu, lewą dłonią ujęła klamkę i nacisnęła. Rozległ się zgrzyt uruchomionego po latach zamku przeżartego przez rdzę. Drzwi ustąpiły powoli i niebieskawa jasność nocnego nieba wlała się do środka. Na zewnątrz nie było nikogo.

Setki drżących suchych listków szemrały hipnotyzujące Aryami rozejrzała się ostrożnie. Patio było puste. Wtem poczuła, że jej nogi czegoś dotykają. Spojrzała w dół i zobaczyła przy stopach mały koszyk przykryty szarym płótnem, przez które biła jasność. Przyklękła i ostrożnie uniosła płótno.

W koszyku leżały dwie małe figurki z wosku, przedstawiające dwa nagie ciała niemowląt. Z ich główek wystawały skręcone palące się knoty. Pod wpływem ciepła obie figurki topiły się niczym świeczki w świątyni. Dreszcz przebiegł całe ciało Aryami. Popchnęła koszyk, który potoczył się po kamiennych stopniach schodów.

Wstała, zamierzając wejść z powrotem do domu, gdy na posadzce korytarza prowadzącego w głąb mieszkania ujrzała zbliżające się do niej płonące ślady stawiane przez niewidzialne stopy. Poczuła, jak sztylet wyslizguje jej się z rąk. Z całych sił trzasnęła drzwiami.

Jak mogła najszybciej, zbiegła ze schodów, nie próbując nawet obejrzeć się za siebie. Potknęła się o popchnięty przed chwilą koszyk.

Leżąc na ziemi, Aryami patrzyła z niemym krzykiem na ustach, jak spod drzwi wejściowych wypełza język ognia, a stare drewno zajmuje się niczym pergamin. Podczołgała się w stronę zarośli i z wysiłkiem wstała, obserwując bezsilnie, jak z okien buchają płomienie i obejmują budynek zabójczym uściskiem.

Wybiegła na ulicę i obejrzała się za siebie, dopiero gdy znalazła się kilkaset metrów od miejsca, które dotąd było jej domem, a nad którym teraz unosił się pióropusz ognia, wyrzucając ku niebu kurzawę iskier, popiołu i dymu. Okoliczni mieszkańcy zaalarmowani wyglądali przez okna, obserwując rozszerzającą się pożogę.

Aryami usłyszała huk walącego się na ziemię dachu strawionego przez płomienie. Twarze gapiów oświetlone były szkarłatem łuny.

Wszyscy patrzyli na pożar i na siebie nawzajem w całkowitym osłupieniu, nie mogąc uwierzyć w to,

co się stało.

Aryami Bosé zapłakała gorzko nad domem swojej młodości, w którym przyszła na świat jej córka, i wchodząc w labirynt ulic Kalkuty, pożegnała się z nim na zawsze.

* * *

Jeśli szło się tropem rozszyfrowanego przez Siraja kryptogramu, można było zlokalizować dom stosunkowo łatwo. Według tych wskazówek,

skonfrontowanych

z

badaniami

terenowymi,

przeprowadzonymi wcześniej przez Roshana, dom inżyniera Chandry Chatterghee znajdował się przy spokojnej uliczce łączącej Jatindra Mohan Avenue z Acharya Profullya Road, mniej więcej milę od Pałacu Północy.

Siraj, uznawszy, że jego towarzysze zaaprobowali wyniki śledztwa i wszystkie jego ustalenia, stwierdził, że teraz nie ma chwili do stracenia i idzie szukać Isobel. Żadna próba uspokojenia go, przekonania, że lepiej będzie zaczekać, bo lada chwila dziewczyna na pewno wróci, nie przyniosła rezultatów, wobec czego Roshan, spełniając swoją obietnicę, zaoferował się, że będzie mu towarzyszył. Odeszli w noc, umówiwszy się na spotkanie w domu inżyniera Chandry Chatterghee, kiedy tylko dowiedzą się czegoś o Isobel.

- A wam jak poszło? - zapytał Ian Seta i Michaela.

- Bardzo bym chciał pochwalić się równie efektownymi wynikami, ale muszę przyznać, że natrafiliśmy jedynie na masę zagadek - odparł

Seth i złożył sprawozdanie ze swej i Michaela wizyty u Mr. De Rozio, którego zostawili w muzeum wertującego archiwa, zapewniwszy wcześniej, iż niebawem wrócą, by pomóc mu w dalszych poszukiwaniach.

- To, co udało nam się do tej pory ustalić, potwierdza jedynie historię, którą opowiedziała babcia Sheere, przepraszam, wasza babcia.

W każdym razie częściowo - stwierdził Seth.

- W historii inżyniera Chandry jest wiele białych plam, które bardzo trudno będzie wypełnić - dodał Michael.

- Otóż to - potwierdził Seth. - Powiem więcej, uważam, że najbardziej interesujące jest nie to, co

zdołaliśmy ustalić, ale to, czego nie udało nam się zbadać.

- Mów jaśniej - poprosił Ben.

- No bo posłuchajcie tylko - podjął Seth, grzejąc ręce nad ogniskiem. - Pierwsze dokumenty dotyczące inżyniera Chandry pojawiają się w momencie zatrudnienia go w Instytucie Przemysłu.

Wiadomo, że odrzucił wiele - złożonych przez rząd brytyjski - ofert pracy dla sił lądowych przy budowie na potrzeby armii mostów oraz linii kolejowej łączącej Bombaj z Delhi.

- Aryami mówiła o jego awersji do Brytyjczyków - wtrącił Ben. -

Obarczał ich winą za wiele nieszczęść, jakie spadły na ten kraj.

- Zgadza się - potwierdził Seth. - Ale ciekawe, że mimo jawnej niechęci, wyrażanej często publicznie, Chandra Chatterghee wziął udział

w

dość

dziwnym

projekcie

brytyjskich

władz wojskowych,

realizowanym w latach tysiąc dziewięćset czternaście - tysiąc dziewięćset piętnaście, rok przed tragiczną śmiercią w Jheeter's Gate.

Rzecz dotyczyła dość tajemniczego zlecenia o dziwnym kryptonimie: *Ognisty Ptak*.

Sheere zmarszczyła czoło i zdezorientowana zbliżyła się do Setha.

- Ognisty Ptak? A co się za tym kryło? - spytała.

- Trudno powiedzieć - odparł Seth. - Mr. De Rozio uważa, że być może chodziło o jakiś eksperyment wojskowy. Część oficjalnej korespondencji, która trafiła do archiwum inżyniera, podpisana jest przez pułkownika sir Arthura Llewelyna, który, jak twierdzi De Rozio, chlubił się tym, że dowodził siłami tłumiącymi pokojowe manifestacje niepodległościowe w okresie od tysiąc dziewięćset piątego do tysiąc dziewięćset piętnastego roku. Wątpliwy to tytuł do chwały.

- Chlubił się? - spytał Ben.

- No właśnie - zaczął wyjaśniać Seth. - Sir Arthur Llewelyn, oficjalny rzeźnik Jego Królewskiej

Mości, zginął podczas pożaru Jheeter's Gate. Ale co tam robił, pozostaje tajemnicą.

Wszyscy spojrzeli po sobie, całkowicie pogubieni w domysłach i niejasnościach.

- Spróbujmy to uporządkować - zaproponował Ben.

- Z jednej strony mamy utalentowanego inżyniera, który z powodu niechęci do władz kolonialnych odrzuca raz po raz oferty prac publicznych składane przez rząd brytyjski. Dotąd wszystko trzyma się kupy. Ale nagle pojawia się ten tajemniczy pułkownik i wplątuje go w operację, która powinna go odstręczać: tajna broń, eksperyment mający ujarzmić lud. A on się na to zgadza. Coś tu nie pasuje. Chyba że...

- Chyba że ów Llewelyn posiadał jakiś nadludzki dar perswazji -

dopowiedział Ian.

Sheere uniosła ręce w geście protestu.

- To niemożliwe, żeby mój ojciec uczestniczył w projekcie wojskowym. Ani na rzecz Brytyjczyków, ani Bengalczyków. Ojciec nienawdził wojskowych. Uważał ich za zwykłych zabijaków na żołdzie skorumpowanych rządów. Nigdy nie wykorzystałby swego talentu w celu zbudowania czegoś, co miałoby służyć do masowego zabijania, a tym bardziej zabijania swoich.

Seth przyglądał się jej w milczeniu, ważąc słowa.

- A mimo wszystko, Sheere, zachowały się dokumenty, które poświadczają, że w jakiś sposób wziął w tym udział - powiedział.

- Musi istnieć inne wytłumaczenie - odparła Sheere.

- Mój ojciec tworzył, budował i pisał książki; nie był mordercą niewinnych ludzi.

- Odłóżmy na bok idealizm. Na pewno istnieje inne wytłumaczenie

- Ben postanowił uspokoić nieco nastroje - i właśnie staramy się do niego dojść. Wróćmy może do demonstrowanej przez Llewelyna siły perswazji. Co takiego mógł zrobić, żeby zmusić inżyniera do współpracy?

- Przypuszczam, że owa siła nie wiązała się z tym, co mógł zrobić, ale z tym, czego mógłby zaniechać - zasugerował Seth.

- Nie rozumiem - stwierdził Ian.

- Tak mi się wydaje - zaczął wyjaśniać Seth. - W całej dokumentacji inżyniera nie znaleźliśmy najmniejszej wzmianki o Jawahalu, przyjacielu z

młodości, poza listem pułkownika

Llewelyna,

adresowanym do inżyniera Chandry, z listopada tysiąc dziewięćset jedenastego roku. W owym liście nasz pan pułkownik w dopisku napomyka, że jeśli Chandra odmówi współpracy w realizacji projektu, wówczas on zmuszony będzie zaoferować stanowisko jego bardzo dobremu znajomemu - Jawahalowi.

Moja hipoteza jest następująca: inżynier początkowo zdołał ukryć dawną znajomość z Jawahalem, który wówczas odsiadywał wyrok, i zatuszować fakt, że kiedyś zaoferował mu pomoc. Założmy, że pułkownik Llewelyn spotkał się w więzieniu z Jawahalem i ten wyjawiał

mu swoje związki z inżynierem Chandrą. To dałoby Llewelynowi możliwość szantażowania inżyniera i zmuszenia go do współpracy.

- A skąd wiemy, że Llewelyn i Jawahal się znali? - wyraził

wątpliwość Ian.

- To przypuszczenie, ale bardzo prawdopodobne - przekonywał go Seth. - Sir Arthur Llewelyn, pułkownik brytyjskich sił lądowych, postanawia namówić do współpracy znakomitego inżyniera. Ten mu odmawia. Llewelyn bada jego przeszłość i odkrywa sprawę niezbyt przejrzystego procesu, w który inżynier jest zamieszany. Odwiedza wobec tego Jawahala, a ten opowiada mu to, co pułkownik chce usłyszeć. To proste.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedziała Sheere.

- Czasami najtrudniej jest uwierzyć w prawdę. Pamiętaj, co powiedziała Aryami - zwrócił się do niej Ben. - Ale spokojnie, nie spieszmy się z wnioskami. De Rozio wertuje cały czas dokumenty?

- Tak. Jak najbardziej - odparł Seth. - Dokumentów i papierów jest tyle, że trzeba byłoby kilku oddziałów myszy bibliotecznych, żeby to uporządkować i coś z tego wydedukować.

- Całkiem nieźle sobie poradziliście - podsumował Ian.

- Czego się zresztą po was spodziewaliśmy - zaznaczył Ben. -

Wracajcie do bibliotekarza i nie spuszczajcie go z oka. W tej sprawie jest coś, co nam umyka.

- A wy, co będziecie robić? - zapytał Michael, z góry wiedząc, jaka będzie odpowiedź.

- Pójdziemy do domu inżyniera - odparł Ben. - Być może to, czego szukamy, jest właśnie tam.

- Albo coś zupełnie innego... - stwierdził Michael.

Ben się uśmiechnął.

- Już mówiłem, że nie boimy się ryzyka.

* * *

Tuż przed północą Sheere, Ian i Ben znaleźli się przy ogrodzeniu wokół domu inżyniera Chandry Chatterghee. Spojrzawszy na wschód, na tle księżycy ujrzeli kanciastą sylwetkę wąskiej wieży Syambazaar, rzucającą ciemny, ostry cień w kształcie igły na zarośnięty palmami i zdziczałymi krzewami ogród, w którym kryła się tajemnicza budowla.

Ben chwycił się metalowych prętów ogrodzenia i ocenił ich ostre i groźne ostrza.

- Trzeba będzie przeskoczyć - stwierdził. - Nie bardzo wiem, jak sobie z tym poradzimy.

- Nie trzeba - powiedziała stojąca obok Sheere. - Nasz ojciec, zanim zbudował ten dom, opisał go cal po calu, a ja przez lata rozpamiętywałam każdy szczegół. Jeśli opis odpowiada temu, co powstało, a jestem o tym przekonana, za tymi krzewami rozciąga się mały staw, a dalej stoi już dom.

- A ogrodzenie? Jak mamy je przeskoczyć? - spytał Ben. - O nim też pisał? Nie chciałbym się nadziać na coś takiego.

- Nie trzeba przeskakiwać, można się dostać do środka inną drogą -

wyjaśniła Sheere.

- To na co czekamy? - spytali jednocześnie Ian i Ben.

Sheere poprowadziła ich wąskim zaułkiem, właściwie szczeliną pomiędzy ogrodzeniem a murami przyległego budynku w stylu arabskim. Dotarli do okrągłego otworu, który wyglądał na kanał lub główny kolektor ścieków. Wydobywał się z niego kwaśny i gryzący fetor.

- Tędy? - zapytał Ben, nie dowierzając.

- A czego się spodziewałeś? - fuknęła Sheere. - Perskich dywanów?

Ben wyciągnął szyję, by zajrzeć do wnętrza kanału, i ponownie wciągnął nosem unoszący się nad otworem odór.

- Cudownie - wycedził w końcu, zwracając się do Sheere. - Ty pierwsza.

Ognisty Ptak

Wylot tunelu znajdował się pod łukiem drewnianego mostka, przerzuconego nad ciemną taflą stawu przed domem inżyniera Chandry Chatterghee. Sheere poprowadziła chłopców wąskim brzegiem stawu -

ich stopy grzęzły w miękkim podłożu - i okrzyknął go, stanęła, by przyjrzeć się budynkowi, o którym śniła przez całe życie. Tej nocy, pod rozgwieżdżonym niebem, poprzetykanym pasemkami chmur, mogła go wreszcie zobaczyć na własne oczy. Ian i Ben stali przy niej bez słowa.

Był to budynek dwupiętrowy, z wysokimi wieżami po obu stronach.

W jego fasadzie zlewały się rozmaite style architektoniczne, od linii edwardiańskich

po neogotyckie

ekstrawagancje

i rozwiązania

przywodzące na myśl zameczek zagubiony w górach Bawarii. Całość, rzucając wyzwanie krytycznemu spojrzeniu obserwatora, sprawiała jednak wrażenie spokojnej elegancji.

Emanowała czarodziejskim urokiem, który, po pierwszym szoku, pozwalał przypuszczać, iż na pozór niemożliwe do pogodzenia style zostały tu przemieszane nader świadomie, dla wywołania efektu końcowej harmonii. Okolona gęstą dżunglą dzikich zarośli, ukryta w samym centrum Czarne Miasta rezydencja inżyniera była właściwie okazałym pałacem wznoszącym się naprzeciw stawu niczym ogromny czarny łabędź, który przygląda się swemu odbiciu w obsydianowym zwierciadle.

- Tak właśnie opisywał go twój ojciec? - zapytał Ian.

Sheere, urzeczona widokiem, przytaknęła i podeszła do schodów prowadzących do głównego wejścia. Ben i Ian patrzyli na nią z powątpiewaniem, zastanawiając się, jak też zamierza dostać się do tej twierdzy. Sheere tymczasem zdawała się poruszać w tej tajemniczej scenerii zupełnie swobodnie, jakby mieszkała tutaj od dziecka.

Pewność, z jaką omijała przeszkody, raz po raz wynurzające się niespodziewanie z nocnych ciemności, sprawiała, że chłopcy poczuli się tu jak intruzi, przypadkowi uczestnicy spotkania Sheere z marzeniem, którym żyła podczas lat tułaczki. Patrząc, jak wchodzi po schodach, zrozumieli, że to wyludnione, otoczone upiornym nimbem miejsce było jedynym domem, jaki dziewczyna kiedykolwiek miała.

- Będziecie tam tak sterczeć przez całą noc? - krzyknęła Sheere ze szczytu schodów.

- Zastanawiamy się tylko, jak chcesz się dostać do środka - odparł

Ben, a Ian pokiwał głową, w pełni dzieląc wątpliwości przyjaciela.

- Mam klucz - oświadczyła dziewczyna.

- Klucz? - zdziwił się Ben. - A gdzie go masz?

- Tutaj - odparła Sheere, wskazując na swoją głowę. - Zamków tego domu nie sposób otworzyć zwykłym kluczem. Potrzebny jest szyfr.

Ben i Ian podeszli bliżej, zaintrygowani. Stanąwszy przed drzwiami, obaj zauważyli, że na środku znajduje się mechanizm złożony z czterech koncentrycznych kół, jedno na drugim, od największego do najmniejszego. Na obwodzie każdego z nich wyryte były symbole w metalu niczym godziny na cyferblacie zegara.

- Co znaczą te symbole? - zapytał Ian, starając się przeniknąć wzrokiem półmrok.

Ben wyjął zapałkę z pudełka, które na wszelki wypadek zawsze nosił przy sobie, i zapalił ją, oświetlając zamek. Metalowe koła zębate zaśniły w ciemnościach.

- Litery alfabetu! - wykrzyknął Ben. - Na każdym z kół

wygrawerowany jest alfabet. Grecki, łaciński, arabski i sanskrycki.

- Fantastycznie - westchnął Ian. - Otworzyć te pancerne drzwi to bułka z masłem...

- Nie załamujcie się - powiedziała Sheere. - Szyfr jest bardzo prosty.

Trzeba ułożyć czteroliterowe słowo w różnych alfabetach.

Ben spojrzał na nią uważnie.

- A co to za słowo?

- Dido - odrzekła.

- Dido? - zdziwił się Ian. - A cóż ono znaczy?

- To imię królowej fenickiej, znanej również jako Dydona - wyjaśnił

Ben.

Sheere przytaknęła, a Ian poczuł ukłucie zazdrości, widząc, że Ben i Sheere rozumieją się właściwie bez słów.

- Nadal nie pojmuję - stwierdził Ben. - Co wspólnego mają mity fenickie z Kalkutą?

- Pierwsza królowa Kartaginy, Dido, rzuciła się na płonący stos pogrzebowy, by przebłagać gniew bogów - wytłumaczyła mu Sheere. -

Jest symbolem oczyszczającej mocy ognia... Egipcjanie również mieli mit związany z ogniem, mit Feniksa.

- Ognistego ptaka... - dodał Ben.

- Czy nie tak nazywał się wojskowy projekt, o którym opowiadał

Seth? - spytał Ian.

Ben skinął głową.

- Kiedy myślę o całej tej historii, ciarki przechodzą mi po plecach -

przyznał się Ian. - Chyba nie chcecie na serio wejść do środka? Co teraz zrobimy?

Ben i Sheere wymienili pełne determinacji spojrzenie.

- To bardzo proste - odparł Ben. - Otworzymy te drzwi.

* * *

Mr. De Rozio, brzuchaty bibliotekarz, patrząc na otaczający go ocean dokumentów, poczuł, że powieki robią mu się ciężkie jak marmurowe płyty. Setki słów, kolumny liczb wyłowionych z teczek i segregatorów dotyczących inżyniera Chandry Chatterghee zaczynały tańczyć przed jego oczyma kapryśny taniec w rytm kołysanki, której coraz trudniej było mu się oprzeć.

- Chłopcy, myślę, że musimy odłożyć nasze kwerendy do jutra rana

- zaczął De Rozio.

Seth, który od dłuższego czasu spodziewał się podobnego oświadczenia, wychylił natychmiast głowę zza sterty grubych teczek i uśmiechnął się przymilnie.

- Odłożyć? W takiej chwili? - zaprotestował grzecznie. -

Wykluczone, Mr. De Rozio. Teraz absolutnie nie możemy się poddać.

- Jeszcze kilka sekund, a zwałę się na stół, synu - odparł De Rozio. -

A Siwa, w swej nieskończonej łaskawości, obdarzył mnie wagą, która według ostatniego pomiaru, dokonanego w lutym, oscylowała wokół

dwustu pięćdziesięciu, dwustu sześćdziesięciu funtów. Czy wiesz, ile to kilogramów?

Seth roześmiał się od ucha do ucha.

- Jakies sto dwadzieścia - porachował.

- Dokładnie tyle - potwierdził De Rozio. - Próbowałeś kiedyś przenieść kogoś równie okazałej tuszy?

Seth zamyślił się.

- W tej chwili nie mogę sobie przypomnieć podobnej sytuacji, aczkolwiek...

- Chwileczkę! - zakrzyknął Michael z jakiegoś niewidocznego zakątka sali, zza góry segregatorów, kartonowych pudeł i stosów pożółkłego papieru. - Chyba coś znalazłem.

- Poduszkę, mam nadzieję - westchnął De Rozio, niechętnie dźwigając z krzesła swoje imponujące cielsko.

Michael wynurzył się zza zakurzonych regałów, niosąc pudło pełne plików papierów opatrzonych znaczkami i pieczęciami, które czas bezlitośnie pozbawił dawnej barwy. Seth uniósł brwi, modląc się w duchu, by znalezisko było rzeczywiście coś warte.

- Wydaje mi się, że to akta sprawy dotyczącej serii zabójstw -

powiedział. - Leżały pod stosem wezwań na rozprawy zaadresowanych do inżyniera Chandry Chatterghee.

- Sprawa Jawahala? - Seth aż podskoczył z wrażenia.

- Pokaż no te papiery - polecił Mr. De Rozio.

Michael położył pudło na biurku bibliotekarza. Chmura żółtawego kurzu przyćmiła na chwilę snop złotego światła padającego z elektrycznej lampki. Grube palce bibliotekarza ostrożnie przewracały strony, a jego maleńkie oczka z uwagą wczytywały się w treść dokumentów.

- Kto by pomyślał... - mruknął pod nosem.

- I co? - niecierpliwił się Seth. - Co pan tam znalazł?

Mr. De Rozio uniósł wzrok znad papierów i uśmiechnął się tajemniczo.

- Mam w ręku dokument podpisany przez niejakiego sir Arthura Llewelyna, pułkownika. Tłumacząc to względami bezpieczeństwa państwa, zwraca się on o umorzenie postępowania numer 089861/A prowadzonego przez Czwarty Wydział Najwyższego Trybunału Sprawiedliwości miasta Kalkuta przeciw Lawajowi Chandrze Chatterghee, inżynierowi, oskarżonemu o współudział w morderstwie oraz zacieranie dowodów podczas toczącego się w tej sprawie śledztwa.

Występuje także o przekazanie go pod jurysdykcję Trybunału Wojskowego Jego Królewskiej Mości, przez co tracą moc wszelkie wydane do tej pory orzeczenia, a dowody przeprowadzone podczas rozprawy przez obronę i prokuraturę zostają uznane za niebyłe. Data: czternasty września roku tysiąc dziewięćset jedenastego.

Michael i Seth patrzyli na Mr. De Rozio w osłupieniu, niezdolni wykrztusić z siebie słowa.

- No dobrze, chłopcy - odezwał się wreszcie bibliotekarz. - Czy któryś z was potrafi zaparzyć kawę? Zapowiada się długa noc...

* * *

Rozległ się niemal niesłyszalny trzask kół zębatach zamka z wygrawerowanymi literami czterech alfabetów i po chwili drzwi, sprawiające wrażenie pancernych, ustąpiły, a ze szpary tchnęło zamknięte od lat powietrze. Nawet w panujących dookoła ciemnościach można było zauważyć, że Ian pobił.

- Otworzyły się - szepnął drżącym głosem.

- Nasz przyjaciel jest jak zwykle spostrzegawczy - skomentował

Ben.

- Nie czas na złośliwości - odparł Ian. - Nie wiemy, co może kryć się tam, w środku.

Ben wyjął z kieszeni pudełko zapalek i zagrzechotał.

- To tylko kwestia czasu - zauważył. - Chcesz wejść pierwszy?

Ian uśmiechnął się kwaśno.

- Dziękuję, zbyt wielki zaszczyt - powiedział.

- Ja pójdę pierwsza - stanowczo oświadczyła Sheere i weszła do środka, nie czekając na odpowiedź przyjaciół.

Ben zapalił kolejną zapalną i ruszył w jej ślady, Ian spojrzał w niebo, jakby widział je po raz ostatni, i westchnąwszy głęboko, zanurzył

się w ciemnościach wypełniających dom inżyniera. Chwilę później drzwi zamknęły się za jego plecami z tą samą lekkością i precyzją, z jaką się wcześniej otwarły, by wpuścić ich do środka.

Cała trójka zatrzymała się, a Ben zapalił zapalną i uniósł ją w górę.

Przed ich oczami rozpościerał się zapierający dech w piersiach widok, który przerastał wszystko, co spodziewali się ujrzeć w tym miejscu.

Potężne bizantyjskie kolumny w ogromnej sali podtrzymywały nieckowate sklepienie pokryte monumentalnym freskiem. W tysiącu scenek przedstawione były najrozmaitsze postaci z mitologii hinduskiej, tworząc koncentryczne kręgi wokół postaci centralnej: bogini Kali.

Ściany pomieszczenia były całkowicie zasłonięte przez regały uginające się pod ciężarem książek i

tworzące dwa półkola wysokości co najmniej trzech metrów. Na podłodze ułożona była mozaika mieniąca się różnymi odcieniami czerni i punkcikami z kryształu górskiego niczym rozgwieżdżony niebieski firmament, Ian przyglądał się konstelacjom pod stopami, ze zdumieniem rozpoznając gwiazdozbiory i ciała niebieskie, o których opowiadał im Bankim w St. Patrick's.

- Szkoda, że Seth tego nie widzi... - wyszeptał Ben.

Na krańcu sali, za dywanem gwiazd odwzorowującym znany fragment wszechświata, kręcone schody prowadziły na kolejne piętro domu. Ben dopiero wtedy, gdy ogień poparzył mu palce, uświadomił sobie, że zapalka się dopala. Troje przyjaciół znów znalazło się w ciemnościach. Galaktyki na podłodze świeciły jednak nadal, jak prawdziwe gwiazdy na nocnym niebie.

- To niewiarygodne - szepnął Ian.

- Poczekaj, aż zobaczysz następną kondygnację - odpowiedział mu głos Sheere.

Kiedy Ben zapalił kolejną zapalkę, chłopcy spostrzegli, że Sheere już na nich czeka przy spiralnych schodach. Ruszyli za nią bez słowa.

Znajdowały się w czymś w rodzaju klatki schodowej przypominającej trochę latarnię podobną do tych, które znali z rycin przedstawiających francuskie zamki nad Loarą. Patrząc w górę, mieli wrażenie, że idą środkiem gigantycznego kalejdoskopu, zwieńczonego katedralną rozetą, której różnokolorowe szkła barwią księżycowe światło i rozszczepiają je na setki niebieskich, szkarłatnych, żółtobursztynowych i zielonych snopów.

Dotarłszy na piętro, zobaczyli, że dochodzące z latarni światło rozpryskuje się w ruchome plamy na ścianach, przebiegając po nich niespiesznie niczym klatki prymitywnego widmowego kinematografu.

- Spójrzcie na to - powiedział Ben, wskazując na prostokątne podwyższenie, wysokie na około metra i zajmujące powierzchnię ze czterdziestu metrów kwadratowych.

Cała trójka podeszła do tego dziwnego podestu. Stała na nim makieta Kalkuty, tak szczegółowa i wierna, że miało się wrażenie oglądania prawdziwego miasta z lotu ptaka. Przyjaciele przeszli bieg rzeki Hooghly, bez trudu odnaleźli Maidan, Fort William, Białe Miasto, ze zdumieniem rozpoznali świątynię Kali na południu Kalkuty, Czarne Miasto, a nawet poszczególne bazy. Przez długi czas przyglądali się z zachwytem tej niezwyklej miniaturze, całkowicie urzeczeni jej precyzją i pięknem.

- Jest i dom - zauważył Ben.

Ian i Sheere podeszli bliżej. Rzeczywiście, w samym sercu Czarne Miasto dostrzegli wierną reprodukcję domu, w którym się obecnie znajdowali. Wielokolorowe snopy światła bijące od latarni prześlizgiwały się po ulicach makiety, a ich taniec odsłaniał coraz to nowe sekrety miasta.

- A co jest tu, za domem? - zapytała Sheere.

- Chyba tory kolejowe - powiedział Ian.

- Tak, to są tory - potwierdził Ben, przebiegając wzrokiem żelazny trakt, który przez most kolejowy na rzece Hooghly prowadził do majestatycznej bryły dworca Jheeter's Gate.

- Ten tor kończy się na spalonym dworcu - powiedział Ben. - I tam się urywa.

- Na moście stoi pociąg - zauważyła Sheere.

Ben obszedł makietę, żeby obejrzeć z bliska miniaturowe tory.

Patrzył na nie uważnie przez długą chwilę. Nagle poczuł ciarki na plecach. Znał ten pociąg. Widział go poprzedniej nocy, chociaż w końcu uznał wizję za senny koszmar. Sheere podeszła cicho. Ben zauważył, że siostra ma w oczach łzy.

- To dom naszego ojca, Ben - wyszeptała. - Zbudował go dla nas, byśmy tu zamieszkali.

Ben objął Sheere i przygarnął mocno, Ian, na drugim końcu sali, odwrócił wzrok. Ben pogłaskał Sheere po policzku i ucałował ją w czoło.

- Od tej chwili tu będzie nasz dom - powiedział. - Na zawsze.

W tym momencie światła stojącego na żelaznym moście maleńkiego pociągu zapaliły się, a jego koła zaczęły powoli toczyć się po szynach.

* * *

W bibliotece panowała grobowa cisza - Mr. De Rozio, odwołując się do umiejętności kogoś, kto zjadł zęby na analizie starych dokumentów, w całkowitym skupieniu wczytywał się w akta procesu, który pułkownik Llewelyn tak się starał zatuszować. Seth i Michael tymczasem badali zawartość dziwnej teczki, zawierającej plany i odręczne notatki sporządzone przez samego Chandrę.

Seth odnalazł ją w jednym z pudeł, pośród innych przedmiotów będących własnością inżyniera. Po śmierci Chandry nie zgłosił się po nie żaden krewny, a że inżynier był postacią z życia publicznego, postanowiono przekazać je muzeum.

Tu zaginęły w otchłaniach biblioteki, prowadzonej wspólnymi siłami przez różne instytucje naukowe i akademickie Kalkuty, między innymi Instytut Inżynierii, którego Chandra Chatterghee był jednym z najznamienitszych, a zarazem najbardziej kontrowersyjnych członków.

Teczka była skromna; na okładce widniał wykaligrafowany niebieskim atramentem napis: *Ognisty Ptak*.

Seth i Michael woleli zachować to odkrycie dla siebie i nie odrywać brzuchatego bibliotekarza od zadania, które wymagało zaangażowania wszystkich talentów doświadczonego archiwisty. Przenieśli się zatem na drugi kraniec sali, by po cichu zapoznać się z dokumentem.

- Znakomite rysunki - szepnął Michael, podziwiając kreskę inżyniera na rycinach przedstawiających mechanizmy o tajemniczym zastosowaniu.

- Skupmy się na rzeczy, która nas tu sprowadziła - ofuknął go Seth.

- Co powiesz na temat Ognistego Ptaka?

- Nauki techniczne nie są moją mocną stroną - zaczął Michael - ale dałbym sobie rękę uciąć, że jest tu rozrysowany, część po części, wielki miotacz ognia.

Seth przyglądał się planom, nie mając bladego pojęcia, co przedstawiają. Zanim zdążył sformułować pierwsze pytanie, Michael pospieszył z wyjaśnieniami.

- To jest zbiornik oleju albo innego paliwa - pokazał.

- Tutaj mamy mechanizm ssący. Zwykła pompa, taka jak na przykład w studni. Pompa dostarcza paliwa, podtrzymując płomień. Coś w rodzaju racy ogniowej.

- Ale płomień może mieć najwyżej kilka centymetrów - zaproponował

Seth. - Stąd do maszyny miotającej płomieniami jeszcze daleko.

- Spójrz na ten przewód.

Seth popatrzył na rysunek przedstawiający coś w rodzaju lufy karabinu.

- Płomienie wydobywają się tędy, lufą.

- I co w związku z tym?

- Zwróć uwagę na to, co znajduje się z drugiej strony - wyjaśnia Michael. - To zbiornik, zbiornik tlenu.

- Chemia dla początkujących - mruknął Seth, składając wreszcie w całość elementy układanki.

- Wyobraź sobie tylko, co się dzieje, kiedy tlen zostaje wypchnięty pod ciśnieniem przez ten przewód i dostaje się do płomienia -

powiedział Michael.

- Armata miotająca płomieniami - stwierdził Seth.

- Co kazało Chandrze projektować podobną zabawkę dla tego rzeźnika Llewelyna? To tak, jakby podarować Neronowi prochownię.

Co takiego miał do ukrycia nasz inżynier?

- Tego właśnie musimy się dowiedzieć - odparł Seth. - I to szybko.

* * *

Sheere, Ben i Ian w milczeniu śledzili jadący po makiecie pociąg, dopóki małeńka lokomotywa nie zatrzymała się na tyłach miniatarki domu inżyniera. Światła pociągu wygasły powoli, a trójka stała dalej, nie mogąc zrobić ruchu, wymówić słowa, niezdolna otrząsnąć się z wrażenia.

- Jak, u licha, porusza się ten pociąg? - wykrztusił w końcu Ben. -

Skądś musi przecież czerpać energię. Czy w tym domu jest jakiś generator, Sheere?

- Z tego, co wiem, nie - odpowiedziała krótko siostra.

- Gdzieś pewnie jest - nalegał Ian. - Może go poszukamy?

Ben pokręcił głową przecząco.

- Nie to mnie martwi - powiedział. - Nawet jeśli jest tu jakiś generator, nie znam żadnego, który byłby zdolny włączać się samoczynnie. W dodatku po tylu latach nieużywania.

- Może makietka ma wbudowany jakiś mechanizm zupełnie innego typu? - zasugerowała Sheere bez przekonania.

- A może po prostu w domu jest ktoś jeszcze... - odpowiedział Ben.

Ian przeklął w myślach własny los.

- Wiedziałem... - jęknął przygnębiony.

- Poczekaj! - krzyknął Ben.

Ian spojrział na przyjaciela. Ben trzymał rękę wyciągniętą w stronę makietki. Pociąg znów ruszył z miejsca, tym razem jednak jechał do tyłu, z powrotem tą samą trasą.

- Wraca na dworzec - szepnęła Sheere.

Ben podszedł wolno do makietki, blisko nadjeżdżającego pociągu.

Kiedy miał go na wysokości ręki, chwycił lokomotywę i uniósł, odczepiając od wagonów. Reszta składu zaczęła stopniowo tracić pęd, a w końcu zatrzymała się na torach. Ben podszedł do światła rzucanego przez latarnię, by przyjrzeć się dokładnie małej lokomotywie. Jej kółeczka kręciły się coraz wolniej.

- Ktoś tu ma specyficzne poczucie humoru - rzucił.

- Czemu? - spytała Sheere.

- W lokomotywie są trzy ołowiane figurki - wyjaśnił Ben - których podobieństwo do nas nie wydaje

się bynajmniej przypadkowe.

Sheere podeszła do brata i wyjęła z jego rąk miniaturową lokomotywę. Rozedrgane smugi światła zatańczyły tęczę na twarzy dziewczyny. Na jej ustach pojawił się spokojny, zrezygnowany uśmiech.

- Wie, że tu jesteśmy - powiedziała Sheere. - Nie ma już sensu się ukrywać.

- O kim mówisz? - spytał Ian.

- O Jawahalu - odparł Ben. - Czeka na nas. Nie wiem tylko, czego od nas chce.

* * *

Siraj i Roshan zatrzymali się przed fantasmagoryczną sylwetką żelaznego mostu, która ginęła we mgle nad rzeki Hooghly. Usiedli na ziemi, oparci o mur, zmęczeni szukaniem po całym mieście Isobel.

Iglice wież Jheeter's Gate wylaniały się zza mgły niczym grzbiet smoka drzemiącego w oparach własnego oddechu.

- Zaraz będzie świtać - powiedział Roshan. - Powinniśmy wracać.

Być może Isobel już na nas czeka.

- Nie sądzę - odparł Siraj.

W głosie chłopca znać było wysiłek całonocnych poszukiwań, ale po raz pierwszy od wielu lat Roshan nie usłyszał, by jego przyjaciel choć raz poskarżył się z powodu astmy.

- Szukaliśmy już wszędzie - upierał się Roshan. - Więcej zrobić nie możemy. Chyba że pójdziemy po posiłki.

- Jest jedno miejsce, w którym jeszcze nie byliśmy...

Roshan przyjrzał się prześwitującej zza mgły sylwetce Jheeter's Gate i ciarki przebiegły mu po plecach.

- Isobel w życiu by tu nie weszła - powiedział. - Ja tym bardziej.

- W takim razie pójdę sam - odparł Siraj, podnosząc się z ziemi.

Roshan usłyszał, jak przyjaciel ciężko dyszy, i zamknął oczy przygnębiony.

- Siadaj! - powiedział stanowczo.

W odpowiedzi usłyszał tylko oddalające się kroki Siraja. Kiedy znów otworzył oczy, wąła postać przyjaciela zniknęła już we mgle.

- Niech to szlag - zaklął pod nosem, po czym wstał i ruszył za nim.

Siraj przeszedł przez most i zatrzymał się przed wjazdem do Jheeter's Gate. Tam dogonił go Roshan. Teraz razem patrzyli przed siebie. Z tuneli dworca szedł powiew zimnego powietrza, a zapach spalonego drewna i stęchlizny stawał się coraz bardziej wyczuwalny.

Chłopcy starali się przebić wzrokiem gęste ciemności czające się za progiem, pod wielką kopułą dworca. Z oddali dobiegało ich echo deszczu padającego na walające się po ziemi afisze.

- Czuję się, jakbym stanął u wrót piekieł - oświadczył Roshan. -

Zmywajmy się stąd, póki jeszcze możemy.

- To kwestia nastawienia psychicznego - odrzekł Siraj. - Pomyśl, że to tylko opuszczona stacja kolejowa. Nikogo tu nie ma. Jesteśmy sami.

- Jeśli nikogo nie ma, to po co mamy tam iść? - zaprotestował

Roshan.

- Nie musisz wchodzić, jak nie chcesz - odparł Siraj tonem, w którym nie było nawet cienia wyrzutu.

- Jasne - uciał Roshan. - A ty pójdziesz tam sam, tak? Zapomnij o tym. No jazda, idziemy!

Obaj członkowie Chowbar Society zagłębili się w mroki dworca.

Trzymali się torów, które za mostem zdążyły ku głównemu peronowi.

Ciemność wewnątrz dworca była o wiele bardziej nieprzenikniona niż na zewnątrz; ledwo dawało się rozpoznać kształty przedmiotów majaczące w szarawych plamach wodnistej poświaty. Roshan i Siraj szli powoli, blisko siebie, a echo ich kroków powtarzało się litanijnym rytmem wśród podmuchów wiatru, który hulał gdzieś w głębi tuneli z szumem dalekich fał bijących o brzeg.

- Wejźmy lepiej na peron - zaproponował Roshan.

- Pociągi nie jeżdżą tędy od lat. Więc po co?

- Dla mnie to ważne, dobra? - powiedział Roshan, który nie mógł

uwolnić się od obrazu pociągu wypadającego z hukiem z tunelu i porywającego ich pod koła.

Siraj mruknął pod nosem coś niezrozumiałego, ale z tonu głosu znać było, że nie ma ochoty spierać się z przyjacielem. Ruszyli w kierunku peronów. Wtedy z tunelu wiatr przywiał coś prosto na chłopców.

- Co to jest? - spytał zaalarmowany Siraj.

- Wygląda na zwykły kawałek papieru - powiedział Siraj. - Wiatr niesie śmieci, nic poza tym.

Biała kartka pofrunęła pod nogi Roshana. Chłopiec schylił się po nią. Siraj zobaczył grymas bólu na twarzy przyjaciela.

- Co się znowu stało? - zapytał, czując, że niepokój towarzysza zaczyna mu się udzielać.

Roshan bez słowa podał mu kartkę. Siraj poznał natychmiast. Był to ich zbiorowy portret nad stawem naszkicowany przez Michaela i zachowany przez Isobel. Siraj oddał mu rysunek i po raz pierwszy, odkąd rozpoczęli poszukiwania, przeszło mu przez myśl, że Isobel może być w prawdziwym niebezpieczeństwie.

- Isobel? - krzyknął Siraj w głąb tuneli.

Jego głos odbił się w czarnej czeluści dudniącym, głuchym echem, które zmroziło mu krew w żyłach. Chłopak starał się zapanować nad oddechem, ale przychodziło mu to z coraz większym trudem. Odczekał, aż echo umilknie, i próbując się uspokoić, zawołał znowu:

- Isobel!

Nagle, z odległej części stacji, dobiegł ich miarowy, metaliczny łoskot. Roshan aż podskoczył i nerwowo rozejrzał się dookoła.

Gwałtowny powiew smagnął ich po twarzach. Cofnęli się kilka kroków.

- Tam coś jest - powiedział Siraj, wskazując w stronę tunelu z niezrozumiałym dla przyjaciela spokojem.

Roshan spojrzał w głąb czarnej czeluści. I wtedy je ujrzał: migocące w oddali, zbliżające się nieubłaganie światła pociągu. Poczul, jak szyny zaczynają mu wibrować pod stopami, i spojrzał na Siraja śmiertelnie przerażony. Jego towarzysz, nie wiedząc czemu, uśmiechał się.

- Ja nie biegam tak szybko jak ty, Roshan - powiedział Siraj powoli.

- Obaj o tym wiemy. Nie czekaj na mnie. Sprowadź pomoc.

- O czym ty, do diabła, mówisz? - wykrzyknął Roshan, wiedząc doskonale, o co tamtemu chodzi.

Światła pociągu, niczym elektryczne błyskawice, przesyły ciemności pod kopułą dworca.

- Biegnij! - krzyknął Siraj tonem nieznoszącym sprzeciwu. -

Uciekaj!

Roshan spojrzał w oczy przyjaciela. Usłyszał huk lokomotywy, coraz bliżej. Siraj skinął głową. Roshan zebrał wszystkie siły i ruszył w kierunku krawędzi peronu, szukając miejsca, gdzie mógłby uskoczyć przed pędzącym pociągiem. Pobiegł najszybciej, jak mógł, nie mając odwagi spojrzeć za siebie, pewien, że gdyby to zrobił, zobaczyłby stalową czołownicę lokomotywy zaledwie kilka centymetrów od swojej twarzy.

Zdawało mu się, że od peronu dzieli go nie piętnaście, a sto pięćdziesiąt metrów. Zdjęty paniką miał wrażenie, że szyny robią się jakby coraz dłuższe, a peron, zamiast się przybliżać, ucieka. Kiedy w końcu skoczył na peron i runął na leżący na nim gruz, usłyszał ryk pociągu tuż obok miejsca, gdzie upadł, a potem ogłuszający wrzask dzieci. Przez dziesięć przerażających sekund płomień kasały mu skórę.

Był przekonany, że cała konstrukcja zawali mu się za chwilę na głowę.

Nagle, zupełnie niespodziewanie, zapadła cisza. Roshan wstał i po raz pierwszy od chwili, gdy skoczył na peron, ośmielił się otworzyć oczy. Dworzec znów był pusty; po pociągu nie było śladu, poza dwoma rzędami płomieni tłących się wzdłuż szyn. Poczul, że ściska go w gardle. Serce waliło mu jak młotem. Rzucił się pędem tam, gdzie po raz ostatni widział Siraja.

Przeklinając swoje tchórzostwo, zapłakał z wściekłości. Był na stacji zupełnie sam. Wstający w oddali świt wskazywał mu drogę wyjścia.

* * *

Pierwsze światła brzasku zaczynały przesączać się do sali przez szpary w zamkniętych okiennicach biblioteki Muzeum Indyjskiego. Seth i Michael, kompletnie wykończeni, drzemali z głowami na stole. De Rozio westchnął głęboko i odsunął się od biurka, przecierając oczy.

Od kilku godzin ślęczał nad monstrualną stertą dokumentów, starając się odtworzyć z akt przebieg tamtego procesu. Jego żołądek domagał się strawy, a przede wszystkim stanowczo żądał od swego właściciela natychmiastowego moratorium na konsumpcję kawy, w przeciwnym razie grożąc buntem.

- Poddaję się, moje Śpiące Królowny - oświadczył De Rozio.

Seth i Michael podskoczyli na krzesłach jak oparzeni. Ze zdziwieniem stwierdzili, że, w przeciwieństwie do nich, dzień już wstał.

- Udało się panu coś znaleźć? - zapytał Seth, z trudem powstrzymując ziewanie.

W żołądku burczało mu z głodu, a w głowie przelewał się gęsty dżem jabłkowy.

- Chyba żartujesz, synu - rzekł bibliotekarz. - Coś mi się zdaje, że zakpiliście sobie ze mnie.

- Nie rozumiem - zdziwił się Michael.

De Rozio ziewnął szeroko, ukazując przepastną paszczę i wydając z siebie dźwięk, który przywiódł chłopcom na myśl hipopotama.

- To proste - powiedział. - Przyszliście tu z jakąś historyjką o morderstwach i zbrodniach i absurdalną bajeczką o jakimś tam Jawahalu...

- Ale to wszystko prawda. Mamy informacje z pierwszej ręki.

Mr. De Rozio uśmiechnął się pobłażliwie.

- A może to z was zakpiono - odparł. - W całej tej stercie papierów nie znalazłem wzmianki o waszym kochanym Jawahalu. Ani jednej.

Nawet tyciej, tyciusieńskiej.

Seth poczuł, jak ściska go w dołku.

- To zupełnie niemożliwe, proszę pana. Jawahal został osądzony i skazany na pobyt w więzieniu, z którego uciekł kilka lat później. Może powinniśmy zacząć teraz od tego właśnie punktu. Od uciezki. Musiał

zostać po niej jakiś ślad...

De Rozio spojrział na niego małymi świdrującymi oczkami. Wyraz jego twarzy wskazywał, że nie myśli dawać im jeszcze jednej szansy.

- Na waszym miejscu, chłopcy - poradził - wróciłbym tam, gdzie usłyszeliście tę historię, i nie ruszył się stamtąd, dopóki nie opowiedziano by mi jej do końca. A jeśli chodzi o tego całego Jawahala, który według waszego anonimowego informatora przebywał w więzieniu, coś mi się zdaje, że jest dla was i dla mnie kompletnie nieuchwytny.

De Rozio przyjrzał się chłopcom. Obaj byli bardzo bladzi.

Brzuchaty erudyta uśmiechnął się do nich ze współczuciem.

- Bardzo mi przykro - wymamrotał. - Wpadliście na niewłaściwy trop...

Chwilę później Seth i Michael, siedząc na schodach przed głównym wejściem do Muzeum Indyjskiego, przypatrywali się wschodzącemu słońcu. Z nieba siąpił drobny deszczyk i w bladych promieniach, z trudem przebijających się przez chmury, pokrywał ulice cienką warstwą płynnego złota. Seth spojrział na przyjaciela i wyciągnął z kieszeni monetę.

- Jeśli wypadnie orzeł, ja idę spotkać się z Aryami, a ty do więzienia

- powiedział. - Jeśli reszka, na odwrót.

Michael przytaknął, przymknąwszy oczy. Seth rzucił monetą; brązowy krążek zamigotał w powietrzu i wylądował z powrotem w dłoni chłopca. Michael nachylił się, żeby zobaczyć rezultat.

- Pozdrowienia dla Aryami... - mruknął Seth.

Światła dnia zaczęły również zaglądać do domu inżyniera Chandry, pokonując ciągnącą się w nieskończoność noc. Kiedy pierwsze promienie rozdarły ciemność, która otulała ich przez długie godziny, Ian po raz pierwszy w życiu pobłogosławił słońce Kalkuty.

Widziany w świetle dziennym dom robił o wiele mniej złowieszcze wrażenie. Ben i Sheere również przywitali świt z wyraźną ulgą.

Zmęczenie coraz wyraźniej dawało o sobie znać. Zdawało im się, że nie śpią już od tygodni. Teraz, gdy wreszcie minęła noc, wyczerpanie spowodowane szalonym rytmem wydarzeń ostatnich dni kazało im patrzeć na obecną sytuację z nieoczekiwanym spokojem.

- No dobrze - powiedział Ben. - Ten dom ma jedną niewątpliwą zaletę. Jest bezpieczny. Gdyby nasz przyjaciel Jawahal mógł się tu dostać, już dawno by to zrobił. Nasz ojciec miał może swoje dziwactwa, ale na pewno umiał zaprojektować dom niedostępny dla intruzów.

Proponuję, byśmy spróbowali trochę się przespać. W naszej sytuacji wolę spać za dnia i być dobrze wypoczęty, kiedy zapadnie noc.

- Zgadzam się w zupełności - zapewnił Ian. - Gdzie się położymy?

- W wieżach jest kilka sypialni - zapewniła Sheere. - Do wyboru, do koloru.

- Wybierzmy pokoje sąsiadujące ze sobą - zasugerował Ben.

- Jasne - zgodził się Ian. - Fajnie byłoby też coś przekąsić.

- Z tym trzeba będzie poczekać - odparł Ben. - Później pójdziemy czegoś poszukać.

- Jak możecie w ogóle myśleć o jedzeniu? - zdziwiła się Sheere.

Ben i Ian wzruszyli ramionami.

- Elementarna fizjologia - odparł Ben. - Zapytaj Iana. To on chce być lekarzem.

- Jak mówiła nauczycielka, z którą miałam lekcje literatury w szkole w Bombaju, główna różnica pomiędzy mężczyzną a kobietą polega na tym, że mężczyzna zawsze stawia głos żołądka ponad głosem serca, kobieta zaś na odwrót.

Ben zastanowił się przez chwilę nad tą teorią, po czym przeszedł do kontrataku.

- Cytuję dosłownie naszego ulubionego mizogina, Mr. Thomasa Cartera, kawalera z powołania i z wyboru: „Główna różnica polega na tym, że podczas gdy mężczyźni mają żołądek o wiele większy niż serce i mózg, kobiety mają serce tak małe, że wszystko, co w sercu, od razu u nich na języku”.

Ian przysłuchiwał się tym słownym fajerwerkom z zaciekawieniem.

- Tania filozofia - oceniła Sheere.

- Tylko i wyłącznie tania filozofia, moja droga Sheere - oświadczył

Ben - jest naprawdę coś warta.

Ian podniósł rękę, jakby chciał ogłosić zawieszenie broni.

- Dobranoc, kochani - powiedział, idąc do wieży.

Dziesięć minut później wszyscy troje spali już kamiennym snem, z którego nikt i nic nie mogło ich zbudzić. Zmęczenie okazało się silniejsze niż strach.

* * *

Seth zszedł po schodach Muzeum Indyjskiego przy Chowringhee Road i udał się na południe, a po około pół mili skręcił na wschód, w Park Street; tu, w dzielnicy Beniapur, w pobliżu szkockiego cmentarza, znajdowały się ruiny więzienia Curzon Fort. Szkocka nekropolia, obecnie zapomniana, powstała w miejscu traktowanym jako granica miasta.

W tamtym okresie śmiertelność była wysoka, co w połączeniu z szybkim tempem rozkładu w tym klimacie zmusiło władze miejskie, zatroskane o zdrowie publiczne, do przeniesienia cmentarza poza teren Kalkuty. Szkoci, mimo że przez długie dekady kontrolowali twardą ręką cały lokalny handel, odkryli ze zdumieniem, że nie stać ich na pochówek wśród angielskich sąsiadów, i musieli wybudować własny cmentarz. W

Kalkucie bogaci, nawet po śmierci, wzbraniali się oddać biednym choćby skrawek ziemi.

Zbliżając się do zgliszcz więzienia Curzon Fort, Seth zrozumiał, dlaczego nie zostało ono zburzone, jak tyle innych budynków w mieście.

Cała konstrukcja wydawała się wisieć na niewidzialnym włosku, grożąc zawaleniem przy najmniejszej próbie zachwiania jej równowagi. Pożar strawił budynek jak kartonową makietę, otwierając rozpadliny i pochłaniając belki i stemple z niespotykaną wręcz żarłocznością. Przez okna można było dostrzec zwęglone dachy, przywodzące na myśl chore dziaśła starego zwierzęcia.

Seth stanął na progu budynku, zachodząc w głowę, jak ma się dowiedzieć czegokolwiek na tej gigantycznej stercie osmalonych desek i zwęglonych cegieł. Wszystko wskazywało na to, że jedynym wspomnieniem przeszłości, jakie tu znajdzie, będą metalowe pręty oraz cele w momencie pożaru zmienione w śmiertelną pułapkę, z której nie było ucieczki.

- Przyszedłeś w odwiedziny, chłopcze? - wyszeptał za jego plecami chrapliwy głos.

Seth odwrócił się przestraszony i stwierdził, że głos należy do starca w łachmanach, o dłoniach i stopach pełnych jątrzących się ran.

Mężczyzna miał twarz pokrytą grubą warstwą brudu, brodę siwą i postrzępioną, przyciętą chyba nożem. Ciemne oczy wpatrywały się w chłopca z wyraźnym niepokojem.

- Czy to więzienie Curzon Fort, proszę pana? - zapytał Seth.

Oczy żebraka zrobiły się okrągłe na dźwięk tych uprzejmych słów, z jakimi zwracał się do niego chłopiec, a cienkie i blade jak pergamin usta rozchyliły się w bezzębnym uśmiechu.

- To, co z niego zostało - odparł. - Szukasz może schronienia, chłopcze?

- Szukam informacji - uściślił Seth, starając się okrasić odpowiedź

miłym, grzecznym uśmiechem.

- Żyjemy w świecie ignorantów; nikt już nie szuka informacji.

Oprócz ciebie. A co dokładnie chciałbyś wiedzieć?

- Zna pan to miejsce? - zapytał Seth.

- Mieszkam tu - odpowiedział żebrak. - Kiedyś było to moje więzienie, dziś mam tu swój dom. Los obszedł się ze mną łaskawie.

- Siedział pan w Curzon Fort? - zapytał Seth, nie kryjąc zdumienia.

- W swoim czasie popełniłem wiele błędów... i musiałem za nie zapłacić - odparł enigmatycznie starzec.

- Do kiedy przebywał pan w tym więzieniu? - spytał Seth.

- Do samego końca.

- Był pan tu w noc pożaru?

Żebrak odsłonił łachmany służące mu za przyodziewek i chłopiec z przerażeniem ujrzał purpurową bliznę po rozległym oparzeniu pokrywającą szyję i część klatki piersiowej.

- W takim razie być może mógłby mi pan pomóc - powiedział Seth.

- Dwoje moich przyjaciół znalazło się w niebezpieczeństwie. Pamięta pan może, czy był wśród was więzień o nazwisku Jawahal?

Żebrak przymknął oczy i powoli pokręcił głową.

- Tutaj nikt z nas nie używał prawdziwego imienia, synu - wyjaśnił.

- Imię, podobnie jak wolność, zostawialiśmy u bram więzienia w nadziei, że jeśli będziemy je trzymać z dala od okropieństw tego miejsca, być może uda się nam je odzyskać przy wyjściu - czyste, nieshańbione złymi wspomnieniami. Domyślasz się chyba, że były to płonne nadzieje...

- Człowiek, o którego mi chodzi, siedział w tym więzieniu za morderstwo - dodał Seth. - Był młody. To on podpalił więzienie. Potem uciekł...

Żebrak popatrzył na niego z mieszaniną rozbawienia i zdziwienia.

- Podpalił? - wykrzyknął. - Pożar zaczął się w kotłowni. Zawiódł

bezpiecznik. Był wybuch. Ja znajdowałem się wówczas poza celą, pracowałem. Tylko dlatego żyję.

- Ten człowiek wzniecił pożar - upierał się Seth. - A teraz chce zamordować moich przyjaciół.

Żebrak pokiwał głową, przyjmując ze sceptycyzmem słowa chłopca. Potem powiedział:

- Nawet jeśli masz rację, jakie to ma znaczenie? Tak czy owak, na miejscu twoich przyjaciół nie przejmowałbym się zbyt.

Seth zmarszczył brwi.

- Dlaczego pan tak mówi, proszę pana? - zapytał, wyraźnie skonfundowany.

Żebrak roześmiał się.

- Synu, w noc pożaru byłem młodszy od ciebie. I byłem najmłodszym spośród więźniów - odparł. - Ten człowiek, kimkolwiek jest, musiałby mieć teraz ponad sto lat.

Seth uniósł dłonie do skroni, nie wierząc własnym uszom.

- Zaraz - powiedział. - To znaczy, że więzienie nie spłonęło w tysiąc dziewięćset szesnastym roku?

- W tysiąc dziewięćset szesnastym roku? - zaśmiał się znowu żebrak. - Chyba z księżycy spadłeś, chłopcze. Curzon Fort spłonął nad ranem dwudziestego szóstego kwietnia tysiąc osiemset pięćdziesiątego siódmego roku. Dokładnie siedemdziesiąt pięć lat temu.

Seth patrzył na żebraka z otwartymi ustami. Starzec spojrział na chłopca ze współczuciem, stwierdziwszy jego konsternację.

- Jak się nazywasz, synu? - spytał w końcu.

- Seth, proszę pana - odparł chłopiec, blady jak płótno.

- Przykro mi, że nie mogłem ci pomóc, Seth.

- Wręcz przeciwnie, pomógł mi pan. I to bardzo - odpowiedział. -

Czy ja mógłbym zrobić coś dla pana?

Oczy żebraka zalśniły w słońcu, a na ustach pojawił się gorzki uśmiech.

- Czy potrafisz cofnąć czas, Seth? - zapytał starzec, wpatrując się w swoje dłonie.

Seth powoli pokręcił przecząco głową.

- W takim razie nie możesz mi pomóc. Wracaj do swoich przyjaciół.

Ale nie zapominaj o mnie.

- Nigdy pana nie zapomnę.

Starzec uśmiechnął się po raz ostatni i uniósł rękę w geście pożegnania. Potem odwrócił się i zaszły w swej kryjówce w ruinach spalonego więzienia. Seth patrzył, jak znika wśród cieni, i pod palącym słońcem poranka ruszył w drogę powrotną. Daleko na horyzoncie widać było gromadzące się czarne chmury niczym plamy atramentu rozplływające się z wolna w szklance czystej wody.

* * *

Michael zatrzymał się u wylotu uliczki prowadzącej do domu Aryami Bose i ze zdumieniem zobaczył tylko dymiące zgliszcza.

Zgromadzeni wokół sąsiedzi obserwowali policjantów, którzy przeszukiwali zgliszcza i przesłuchiwali świadków. Michael ruszył tam bez namysłu, przepychając się przez tłum ciekawskich. Drogę zagroził

mu oficer policji.

- Przykro mi, chłopcze. Wstęp wzbroniony - powiedział stanowczo.

Michael spojrzął ponad ramieniem policjanta i dostrzegł dwóch innych mundurowych, podnoszących belkę, z której sypały się jeszcze iskry.

- A co z kobietą, która tu mieszkała? - zapytał Michael.

- Znałeś ją?

- To babcia moich przyjaciół - odparł Michel. - Gdzie ona jest? Nie żyje?

Oficer zatrzymał na nim wzrok, nie zmienił jednak oficjalnej, stanowczej postawy. W końcu pokręcił głową.

- Ślad po niej zaginął - powiedział. - Jeden z sąsiadów twierdzi, że widział, jak ktoś biegnie ulicą zaraz po tym, jak płomienie objęły dach.

A teraz zmykaj stąd. Już i tak powiedziałem ci więcej, niż powinienem.

- Dziękuję, proszę pana - rzucił na odchodnym Michael i zaczął

przedzierać się z powrotem przez ciżbę wyczekującą makabrycznych odkryć.

Kiedy minął tłum gapiów, zaczął lustrować sąsiednie budynki, jakby miał nadzieję, że znajdzie tam wskazówkę pozwalającą zgadnąć, dokąd mogła uciec staruszka, jedyna osoba znająca rozwiązanie trudnej do rozwikłania zagadki. Oba krańce ulicy ginęły w labiryncie zaułków, bazarów i pałaców Czarnego Miasta. Aryami Bose mogła być wszędzie.

Chłopiec rozważał przez chwilę rozmaite możliwości, w końcu postanowił iść na zachód, na

nabrzeże Hooghly, tam gdzie tysiące pielgrzymów zanurzało się w świętych wodach delty Gangesu, szukając oczyszczenia i przebaczenia niebios, a znajdując tylko gorączkę i zarazy.

Nie odwracając się ani razu, by popatrzeć na zgliszcza domu, ruszył

przed siebie w pełnym słońcu, wymijając innych przechodniów, od których roily się ulice tego miasta - pełne wrzawy, nawoływań handlarzy, kłótni i niewysłuchanych modłów. Głosów Kalkuty. Za jego plecami wynurzyła się z cieni zaułka i zaczęła przeciskać przez tłum otulona w czarny płaszcz postać.

* * *

Kiedy Ian otworzył oczy, było już zupełnie jasno. Od razu zrozumiał, że jego chroniczna bezsenność ustąpiła tylko na chwilę -

pewnie z powodu zmęczenia wydarzeniami ostatnich godzin. Sądząc po świetle, w jakim skąpany był pokój w zachodniej wieży domu inżyniera Chandry, musiało już być dobrze po południu. Skręcało go z głodu. Jak mawiał Ben, parodiując słowa wielkiego Tagorego, którego pałac stał

nieopodal, kiedy żołądek mówi, człowiek mądry słucha.

Ian bezszelestnie wyszedł z pokoju. Zobaczył, że Sheere i Ben znajdują się nadal w objęciach Morfeusza, i pozazdrościł im spokojnego snu. Pomyślał, że po przebudzeniu nawet Sheere poczuje wilczy apetyt i zapagnie spałaszować cokolwiek nadającego się do jedzenia. Co do Bena, nie miał żadnych wątpliwości. W tej chwili jego przyjacielowi śniła się zapewne taca uginająca się pod ciężarem kulinarnych wspaniałości i solidna porcja słodyczy z Chhana, wyrabianych z mleka i soku z limonki, za którymi wprost przepadali łakomi Bengalczycy.

Świadom tego, że sen i tak okazał się dla niego łaskawszy niż zazwyczaj, uznał, że czas na ekspedycję w poszukiwaniu produktów, z których będzie mógł przyrządzić posiłek dla przyjaciół, kiedy się wreszcie obudzą. Pomyślał, że przy odrobinie szczęścia będzie z powrotem, zanim tamci zdążą się obrócić na drugi bok.

Minął salę, w której znajdowała się gigantyczna makieta, i wszedł

na kręcone schody, z zadowoleniem stwierdzając, że w świetle dziennym dom robi o wiele mniej złowieszcze wrażenie. Na parterze panował absolutny spokój, Ian uświadomił sobie, że budynek ma znakomitą izolację. Na zewnątrz z pewnością dawał się we znaki piekielny upał, tymczasem dom inżyniera zdawał się znajdować w krai-nie wiecznej wiosny.

Ian przeszedł niespiesznym krokiem przez mozaikę, śledząc przesuwające się pod stopami kolejne gwiazdozbiory, i pchnął drzwi wejściowe, z nadzieją, że nie zapomni dziwaczego szyfru otwierającego wrota prywatnego sanktuarium Chandry Chatterghee.

Słońce wznoszące się wysoko nad bujnym ogrodem prażyło niemiłosiernie. Staw, oglądany poprzedniej nocy, teraz wydał się Ianowi taflą lakierowanego hebanu, rzucającą błyski na elewację budynku, Ian podszedł do wjazdu do sekretnego tunelu pod drewnianym mostkiem.

Przez moment dal się zwieść iluzji, że w świetle tego promiennego letniego dnia czarne chmury, które zebrały się nad nimi w nocy, rozproszą się szybciej, niż topnieje lód na pustyni.

Rozkoszując się chwilą spokoju, wszedł do tunelu i zanim kwaśny odór wnętrza dotarł do jego płuc, wygramolił się przez szczelinę prowadzącą na ulicę. Znalazłszy się na zewnątrz, w myślach rzucił monetą i postanowił, że pójdzie na swoją aprowizacyjną wyprawę w kierunku zachodnim.

Szedł pustą ulicą, podśpiewując, zupełnie nieświadomy tego, że cztery koncentryczne koła zamka szyfrowego zaczęły się obracać niezwykle powoli, a kiedy wreszcie się zatrzymały, litery czterech alfabetów nie układały się wcale w słowo Dido, lecz w imię bogini o wiele bliższej - Kali.

* * *

Benowi zdawało się, że słyszy we śnie jakiś huk. Zerwał się na równe nogi i stwierdził, że pokój tonie w nieprzeniknionych ciemnościach.

W

pierwszej

chwili,

skołowany

gwałtownym

przebudzeniem z długiego snu, pomyślał zdziwiony, że przespali ponad dwanaście godzin i że zrobiło się ciemno.

Chwilę później znów do jego uszu dotarł ten sam łomot i wtedy zrozumiał, że wcale nie zapadła jeszcze noc. W domu działo się coś innego, co nie pozwalało dziennemu światłu przedostać się do środka.

Okiennice zamykały się z trzaskiem, hermetyczne, niczym przegrody śluzy. Ben rzucił się w stronę drzwi i wypadł z pokoju w poszukiwaniu przyjaciół.

- Ben!

Do jego uszu dotarł rozpaczliwy krzyk Sheere. Pobiegł w stronę jej sypialni i otworzył drzwi. Siostra trzęsła się ze strachu. Objął ją i wyprowadził z pokoju, z przerażeniem stwierdzając, że wszystkie okiennice zamykają się jedna po drugiej, niczym kamienne powieki.

- Ben - jęknęła Sheere. - Coś weszło do pokoju, kiedy spałam, i dotknęło mnie.

Przebiegł go dreszcz. Pociągnął Sheere na środek sali z makietą miasta. W ciągu ułamka sekundy wokół zrobiło się zupełnie ciemno.

Objął Sheere i szepnął jej do ucha, by nie odzywała się ani słowem.

Jednocześnie starał się przebić wzrokiem mrok i zarejestrować wszelki ruch. Nadaremnie. Nagle ich uszu dobiegł szurgot, jakby skrobanie tysięcy myszy biegających pod podłogą i pomiędzy ścianami.

- Co to jest, Ben? - wyszeptała Sheere.

Ben już miał ją uspokoić, kiedy wydarzyło się coś, co kompletnie odebrało mu mowę. Światła makiety miasta zaczęły się powoli zapalać.

Teraz Ben i Sheere mieli przed sobą miniaturę nocnej Kalkuty. Ben przełknął ślinę i poczuł, jak Sheere łapie go kurczowo za ramię. W

samym centrum makiety zabłyśły światła maleńkiego pociągu, a jego koła powoli zaczęły się obracać.

- Uciekajmy stąd - powiedział Ben prawie niedosłyszalnie, prowadząc siostrę ku schodom na niższe piętro. - Natychmiast!

Nie uszli nawet paru kroków, kiedy krąg płomieni wypalił dziurę w drzwiach sypialni, gdzie przedtem spała Sheere, a następnie pochłonął je z taką żarłocznością, jakby były zrobione z papieru. W progu ukazały się płonące ślady stóp i ruszyły w ich stronę wielkimi susami. Ben poczuł, że nogi ma jak z ołowiu.

- Biegnij na dół! - krzyknął, popychając siostrę w kierunku schodów. - Nie zatrzymuj się!

Sheere w popłochu rzuciła się w dół. Ben stał na drodze zbliżających się nieubłaganie płonących śladów. Poczuł na twarzy powiew gorącego powietrza, przesiąkniętego wonią spalonej nafty, a pod nogami zobaczył buchające płomieniami odciski innych stóp. Dwie źrenice, rozżarzone do czerwoności, zalśniły w ciemności i Ben poczuł

na prawym ramieniu palący uścisk, jakby zwały się na nim stalowe szczęki, które zmieniły w popiół jego koszulę i poparzyły skórę.

- Nie czas jeszcze na nasze spotkanie - usłyszał przed sobą tubalny metaliczny głos. - Zejdź mi z drogi.

Nie dając mu czasu na jakąkolwiek reakcję, ściskająca go dłoń odepchnęła go z całej siły i powaliła na podłogę. Ben upadł na bok i obolały pomacał ranę na ramieniu. Wtedy dopiero zobaczył to gorejące widmo, idące teraz w dół po kręconych schodach, które pod jego stopami zmieniały się w tłący popiół.

Słyszając krzyki przerażenia Sheere dobiegające z dołu, znalazł siły, by znów się podnieść. Rzucił się biegiem w kierunku schodów, które były tylko szkieletem żelaznych prętów spowitym płomieniami. Ogień zdążył już pochłonąć wszystkie stopnie. Ben, niewiele myśląc, zeskoczył na pierwsze piętro i uderzył całym ciężarem ciała w mozaikę na podłodze. Poczuł przeszywający ból w poparzonej ramieniu.

- Ben! - krzyknęła Sheere. - Błagam!

Chłopiec uniósł wzrok i zobaczył, że zjawa wlecze po mozaice lśniących gwiazdozbiorów jego siostrę, owiniętą w całun przejrzystych płomieni niczym poczwarka jakiegoś piekielnego motyla. Wstał i pobiegł w ślad za nimi do tylnej części domu, lawirując pomiędzy setkami książek, które spadały z półokrągłych półek płonącej biblioteki i rozsypywały się w powietrzu niczym syczące fajerwerki. Nagle lawina tomów zwała się prosto na niego. Runął jak długi, uderzając głową o posadzkę.

Oczy zasłzy mu mgłą. Gorejąca zjawa odwróciła się i spojrzała w jego stronę. Sheere krzyczała ze strachu, ale Ben już tego nie słyszał.

Wyteżył wszystkie siły, ale zdołał przeczołgać się tylko kilka centymetrów przez rozżarzoną podłogę. Starał się nie poddać ogarniającej go niemocy.

To, co widział, przypominało niewyschnięty obraz namalowany akwarelami. Na tle rozmytych kształtów ujrzał okrutny, wilczy uśmiech i

poznał

mężczyznę,

którego

widział

w

lokomotywie

fantasmagorycznego pociągu mknącego przez nocne ciemności. To był

Jawahal.

- Kiedy będziesz gotowy, przyjdź do mnie - szepnęło do niego widmo. - Wiesz, gdzie mnie szukać...

Chwilę później Jawahal znów uniósł Sheere i przeszedł z nią przez tylną ścianę domu, jakby przechodził przez kurtynę dymu. Zanim Ben stracił przytomność, usłyszał jeszcze stukot oddalającego się pociągu.

* * *

- Wraca do siebie - wyszeptał jakiś głos oddalony tysiące kilometrów od niego.

Ben próbował rozpoznać poruszające się wokół niego rozmazane plamy i po chwili zaczął domyślać się w nich znajomych kształtów.

Czyjeś ręce ułożyły go wygodnie i podsunęły mu pod głowę miękki, miły w dotyku przedmiot. Chłopiec zamrugał parę razy. Ian spoglądał na niego z niepokojem i smutkiem. Oczy miał zaczerwienione. Obok stali Seth i Roshan.

- Słyszysz nas, Ben? - zapytał Seth, który wyglądał tak, jakby nie spał co najmniej od tygodnia.

Ben nagle jakby coś sobie przypomniał. Zrobił gwałtowny ruch, chcąc się podnieść. Ręce trzech chłopców ułożyły go w poprzedniej pozycji.

- Gdzie jest Sheere? - zdołał wykrztusić.

Ian, Seth i Roshan popatrzyli na siebie posepnie.

- Nie ma jej tutaj, Ben - powiedział w końcu Ian.

Ben poczuł, że kawałek po kawałku zawałił mu się cały świat.

Przymknął oczy.

- Co się właściwie stało? - zapytał chwilę później, trochę spokojniejszy.

- Kiedy się obudziłem, jeszcze spaliście - wyjaśnił Ian - więc pomyślałem, że wybiorę się poszukać czegoś do jedzenia. Po drodze spotkałem idącego tu Setha. Kiedy wracaliśmy, zobaczyliśmy, że okna są zamknięte, a ze środka wydobywa się dym. Przybiegliśmy co sił w nogach i znaleźliśmy ciebie nieprzytomnego. Sheere już nie było.

- Zabrał ją Jawahal.

Ian i Seth wymienili porozumiewawcze spojrzenie.

- Co się stało? Czego się dowiedziałeś?

Seth wsunął ręce w bujną czuprynę i odgarnął włosy z czoła.

Patrząc mu w oczy, Ben natychmiast domyślił się, że coś przed nim ukrywa.

- Nie jestem pewien, czy ten Jawahal w ogóle istnieje - oznajmił

chłopak. - Myślę, że Aryami nas okłamała.

- O czym ty mówisz? - zdziwił się Ben. - Po co miałyby to robić?

Seth zrelacjonował pokrótce swoje poszukiwania w bibliotece muzealnej, przeprowadzone z pomocą Mr. De Rozio, i wyjaśnił, że poza pojedynczą notką skierowaną do inżyniera i podpisaną przez pułkownika Llewelyna, który z nie do końca jasnych powodów chciał

zatuszować sprawę, nie było o Jawahalu najmniejszej nawet wzmianki.

- To niczego nie dowodzi - zaproponował Ben. - Jawahal został

osądzony i skazany. Zbiegł z więzienia szesnaście lat temu i znów zaczął popełniać przerażające zbrodnie.

Seth westchnął i pokręcił głową.

- Byłem w Curzon Fort, Ben - powiedział ze smutkiem.

- Szesnaście lat temu nie doszło tam do żadnej ucieczki ani żadnego pożaru. A to dlatego, że więzienie spłonęło w tysiąc osiemset pięćdziesiątym siódmym roku. Jawahal nie mógł ani siedzieć w tym więzieniu, ani z niego uciec, gdyż przestało ono istnieć kilkadziesiąt lat przed jego procesem. Procesem, w którego aktach nawet się o nim nie wspomina. Nic tu się nie trzyma kupy.

Ben patrzył na niego całkiem osłupiały.

- Okłamała nas, Ben - stwierdził Seth. - Twoja babcia nas okłamała.

- Gdzie ona teraz jest?

- Michael poszedł jej szukać - powiedział Ian. - Ma ją tu przyprowadzić.

- A gdzie reszta? - dopytywał się Ben.

Roshan spojrział na Iana, jakby nie mógł się zdecydować. Ten, zrezygnowany, pokiwał głową.

- Powiedz mu - poprosił.

* * *

Michael zatrzymał się, by popatrzeć przez chwilę na mgłę zasnuwającą o zmierzchu brzeg rzeki Hooghly. Dziesiątki postaci w białych, znoszonych dhoti zanurzały się w jej wodach, a ich głosy gubiły się w szemrzącym nurcie. Szum skrzydeł gołębi, które wzbijały się do lotu pomiędzy odartymi z barw kopułami i dachami pałaców stojących nad srebrzystą taflą Hooghly, przywodził na myśl Wenecję, tyle że w jakiejś posępniejszej wersji.

- To ty mnie szukasz? - zapytała kobieta siedząca zaledwie kilka metrów od niego. Jej twarz przysłaniał welon.

Michael spojrział na nią i kobieta odsłoniła twarz. Spod welonu wyłoniły się smutne, głębokie oczy Aryami Bose.

- Nie mamy wiele czasu, proszę pani - powiedział Michael. - Już nie.

Aryami pokiwała głową i wstała powoli. Oboje pod osłoną zmierzchu ruszyli w kierunku domu inżyniera Chandry Chatterghee.

Cała piątka chłopców zgromadziła się w milczeniu wokół Aryami Bose. Czekali cierpliwie, aż kobieta usadowi się wygodnie i znajdzie odpowiednie słowa, by zrekompensować im zatajenie prawdy. Nikt nie ośmielił się odezwać, zanim nie uczyni tego ona. Zzerający ich od środka niepokój zmienił się na chwilę w pełną napięcia ciszę, mroczne przeczucie, że tak troskliwie strzeżony przez Aryami sekret oznacza jakieś nie do końca jasne, trudne do podjęcia wyzwanie.

Aryami spojrzała posępnie na twarze chłopców i spróbowała się uśmiechnąć, ale jej usta wykrzywił tylko smutny grymas. W końcu spuściła wzrok, westchnęła cicho i utkwivszy spojrzenie w swoich dłoniach, drobnych i nerwowych, zaczęła mówić.

Tym razem jednak jej głos był całkiem pozbawiony tej władczej stanowczości, do której zdążyli się już przyzwyczać. U kresu drogi strach wziął w niej górę nad wcześniejszą siłą ducha i chłopcy zrozumieli, że przemawia do nich śmiertelnie przerażona stara kobieta, słaba niczym mała dziewczynka, która przeszła w życiu zbyt wiele.

* * *

Zanim zacznę, pozwólcie mi wyjaśnić jedno: zawsze kiedy kłamałam, a byłam do tego zmuszona w życiu wielokrotnie, robiłam to, by kogoś chronić. Jeśli tym razem okłamałam was, uczyniłam to w przekonaniu, że w ten sposób ochronię ciebie, Benie, i twoją siostrę Sheere przed czymś, co, jak sądziłam, może wyrządzić wam większą krzywdę niż wszystkie knowania jakiegoś obłąkanego łotra.

Nie wyobrażacie sobie nawet, jak wiele mnie kosztowało dźwiganie tego brzemienia samotnie przez tyle lat. Wszystko, co usłyszycie ode mnie teraz, będzie prawdą, całą, jaka jest mi znana. Wysłuchajcie mnie uważnie i nie podawajcie w wątpliwość niczego, co wam teraz powiem, chociaż nie ma nic równie przerażającego jak naga rzeczywistość...

Teraz mam wrażenie, że upłynęły lata od czasu, gdy opowiedziałam wam historię mojej córki Kylian. Wspomniałam o jej promiennej urodzie, licznych pretendencjach i o tym, jak wybrała spośród nich mężczyznę skromnego pochodzenia, ale obdarzonego wielkim talentem

- młodego, znakomicie się zapowiadającego inżyniera, który jednak od dziecka dźwigał na sobie brzemię tajemnicy, mającej w końcu sprowadzić śmierć na niego i wiele innych niewinnych osób.

Wiem, że przeprowadziliście już na własną rękę całkiem przebiegłe dochodzenie, więc, choć może się to wydać dziwne, zacznę opowieść nie od początku, ale od końca.

Chandra Chatterghee zawsze był marzycielem, człowiekiem opętanym wizją lepszej przyszłości, bardziej sprawiedliwej dla jego rodaków, których widział na co dzień umierających z głodu na ulicach tego miasta. A tymczasem ci, których uważał za najeźdźców bezprawnie czerpiących korzyści z dziedzictwa naszego ludu, bogacili się coraz bardziej i wiedli frywolne, luksusowe życie za murami swoich okazałych domów. Chandra wiedział, że płacą za to tysiące nędzarzy, skazanych na ubóstwo w tym olbrzymim sierocińcu bez dachu i ścian, jakim jest nasz kraj.

Chandra marzył zawsze o tym, by ofiarować narzędzie postępu i bogactwa swojemu ludowi, który, wierzył głęboko, zrzuci kiedyś z siebie jarzmo korony brytyjskiej. Miało to być narzędzie

pozwalające przemieszczać się z miasta do miasta, zakładać nowe osady, obiecujące lepszą przyszłość wielu indyjskim rodzinom.

Przemyślał o wynalazku z ognia i żelaza - o kolei. Dla Chandry tory kolejowe były jak nowy układ krwionośny, który miał

rozprowadzić po całym kraju nową krew postępu. On sam zaprojektował

serce tego układu, stanowiące jego największe dokonanie: dworzec Jheeter's Gate.

Ale granica oddzielająca sny od koszmarów jest cieńsza niż włos i już wkrótce cienie przeszłości zaczęły gromadzić się nad nim, żądając daniny. Stało się to za sprawą brytyjskiego wojskowego wysokiej rangi, pułkownika Arthura Llewelyna. Człowiek ten oparł błyskawiczną karierę na bezlitosnych rzeziach niewinnych ludzi - starców, dzieci, nieuzbrojonych mężczyzn i przerażonych kobiet - w miasteczkach i wioskach całego Półwyspu Bengalskiego.

Wszędzie tam, gdzie docierało posłanie o pokoju i jedności nowych Indii, docierały też jego karabiny i bagnety. Człowiek wielkiego talentu, mający przed sobą przyszłość, mówili z dumą jego przełożeni.

Morderca, za którym stała flaga brytyjskiej korony i potęga jej armii.

Jeden z wielu .

Niezwykłe zdolności Chandry nie umknęły uwagi Llewelyna, który wkrótce go usidlił. Zdołał zablokować wszystkie jego projekty. W ciągu kilku tygodni zamknął przed nim wszystkie drzwi, nie tylko w Kalkucie, ale w całej prowincji. Wszystkie, oprócz własnych. Zaproponował

Chandrze realizację wielu projektów wojskowych - budowę mostów, linii kolejowych...

Twój ojciec odrzucał te propozycje, jedna po drugiej, wołąc utrzymywać się z mizernych honorariów za manuskrypty, jałmużny raczej, przesyłanych mu przez wydawców z Bombaju. Upłynęło trochę czasu; wydawało się, że pułkownik dał spokój twojemu ojcu, który rozpoczął pracę nad projektem swojego życia.

Ale po kilku latach pozornego spokoju Llewelyn znów uderzył.

Jego kariera wisiała teraz na włosku. Rozpaczliwie potrzebował jakiegoś spektakularnego sukcesu, nowego rozlewu krwi, który przypomniałby londyńskim przełożonym o jego dawnych, chwalebnych czynach i odbudował sławę „bengalskiej pantery”. Widział tylko jedno rozwiązanie: przycisnąć Chandrę do muru, tyle że przy użyciu zupełnie innych argumentów.

Przez lata nie spuszczał inżyniera z oka i jego gończe psy wpadły na ślad zbrodni przypisywanych Jawahalowi. Llewelyn pozwolił, by cała historia niemal wypłynęła na światło dzienne, a potem - działo się to w momencie, gdy Chandra był całkowicie pochłonięty pracą nad projektem Jheeter's Gate - osobiście wkroczył do akcji.

Zatuszował sprawę, grożąc jednak twojemu ojcu, że w każdej chwili poda ją do publicznej

wiadomości, jeśli ten nie skonstruuje dla niego nowej broni. Broni śmiertelności, pozwalającej krwawo stłumić wszelkie wystąpienia pacyfistów i zamieszki niepodległościowe.

Chandra nie miał wyboru. Tak narodził się projekt Ognistego Ptaka, maszyny zdolnej w kilka chwil zmienić całe wioski i miasteczka w ocean płomieni.

Chandra pracował nad projektami kolei i Ognistego Ptaka równolegle, nieustannie ponaglany przez Llewelyna, któremu przełożeni okazywali coraz większą zawiść i nieufność. Stawało się dla nich oczywiste, że człowiek, którego zawsze uważali za zrównoważonego i spełniającego przykładowo swoje obowiązki, jest maniakiem, zaślepionym przez chorobliwe pragnienie uznania i sukcesu.

Chandra zrozumiał, że upadek Llewelyna jest tylko kwestią czasu, i postanowił grać na zwłokę. Przekonał go, że odda zamówiony projekt przed terminem. Ale zapewnienia te jeszcze bardziej zszargały nerwy Llewelyna. Słabnąca równowaga psychiczna pułkownika ulotniła się bezpowrotnie.

W tysiąc dziewięćset piętnastym roku, rok przed otwarciem dworca Jheeter's Gate i całej linii kolejowej, Llewelyn, właściwie bez powodu, urządził jatkę pośród bezbronnej ludności. Wybuchł wielki skandal, którego echa dotarły nawet do Izby Gmin, a pułkownik został wydalony z armii brytyjskiej. Jego gwiazda zgasła na zawsze.

Pułkownik wpadł w furję. Otoczył się grupką wiernych oficerów, którzy zostali zdegradowani i musieli opuścić wojsko, podobnie jak ich przełożony. Zorganizował tę bandę rzeźników w tajny oddział

paramilitarny. Wszyscy jego członkowie dumnie nosili swoje mundury i odznaczenia. Ich miejscem spotkań była dawna rezydencja Llewelyna.

Żyli groteskowymi złudzeniami, że stanowią jednostkę elitarną, utworzoną po to, by pozbawić stanowisk przełożonych, którzy ich usunęli z armii. Nie muszę wam chyba tłumaczyć, iż Llewelyn nigdy nie przyjął do wiadomości, że został osądzony i zdegradowany. On i jego poplecznicy utrzymywali, iż sami podali się do dymisji, aby założyć nową organizację wojskową.

Niebawem twój ojciec zaczął otrzymywać listy z pogroźkami, w których Llewelyn pisał, że nie zawaha się zabić zarówno inżyniera, jak i jego ciężarnej żony, jeśli ten nie przekaże mu Ognistego Ptaka. Teraz, mając do czynienia z nielegalnym oddziałem paramilitarnym, Chandra musiał postępować niezwykle ostrożnie. Wiedział, że jeśli poprosi o pomoc wojsko, fakty z jego przeszłości wypłyną na światło dzienne. Nie miał innego wyjścia, niż rozpocząć pertraktacje z Llewelynem i jego ludźmi.

W tej pełnej niepewności atmosferze, dwa dni przed planowanym otwarciem dworca, a nie po nim, jak wam wcześniej opowiedziałam, Kylian urodziła bliźnięta. Chłopca i dziewczynkę. Ciebie, Ben, i twoją siostrę Sheere. Uroczystą inaugurację dworca Jheeter's Gate uświetnić miała symboliczna podróż. Do wagonów pierwszego pociągu relacji Kalkuta-Bombaj wsiąść miało trzysta sześćdziesiąt sierot - tyle prawie, ile dni w roku. Dzieci te miały zostać przewiezione do sierocińców Bombaju.

Chandra złożył Llewelynowi i jego zbirom następującą propozycję: załaduje Ognistego Ptaka do

pociągu, a byli wojskowi, wykorzystując zarządzony przez niego postój techniczny, pięćdziesiąt kilometrów od stacji początkowej, na wysokości Bishnupur, wyładują go i przejmą w posiadanie. Llewelyn się zgodził. Chandra skrycie planował

zneutralizować maszynę i pozbyć się obłąkanego pułkownika i jego ludzi, jeszcze zanim zawiadowca odgwiżdże odjazd pociągu. Ale Llewelyn, który nie ufał Chandrze za grosz, też miał swój sekretny plan.

Twój ojciec umówił się z wojskowymi na dworcu. Był jedyną osobą zdolną rozeznaczyć się w tym labiryncie. Zaproponował szantażystom, że pokaże im Ognistego Ptaka, i pod tym pretekstem zagłębił się z nimi w podziemne tunele. Ale Llewelyn, który, jak mówiłam, wyczuł pismo nosem, przedsięwziął środki ostrożności. Zanim udał się na spotkanie z Chandrą, porwał waszą matkę, a wraz z nią i was.

Kiedy inżynier miał zgładzić nieprzyjaciół, Llewelyn wyjawiał mu, że ma w swoich rękach jego żonę i dzieci. Zagroził, że was zabije, jeśli nie dostanie Ognistego Ptaka. Chandra musiał się poddać. Ale pułkownikowi i tak było mało. Kazał przywiązać inżyniera do lokomotywy, wiedząc, że ten zginie pod jej kołami, kiedy tylko pociąg ruszy z miejsca.

Potem na oczach twojego ojca z zimną krwią zatopił nóż w szyi Kylian. Zawiesił ją na linie pod sklepieniem głównej hali dworca i tak zostawił, by powoli wykrwawiła się na śmierć. Przedtem zdążył jej jeszcze zapowiedzieć, że porzuci was w ciemnych tunelach dworca szczerom na pożarcie.

Nie spojrzawszy nawet na Chandrę, skępowanego i przykutego do lokomotywy, polecił swoim ludziom, by uruchomili pociąg i wywieźli Ognistego Ptaka. Was zamierzał zostawić w jednym z tuneli, gdzie mieliście marnie zginąć.

Ale jednak nie wszystko potoczyło się zgodnie z planem pułkownika, który przecenił swój własny spryt. Jak mógł pomyśleć naiwny Llewelyn, że Chandra Chatterghee odda w ręce mordercy Ognistego Ptaka, maszynę o przemożnej sile destrukcji? Chandra zabezpieczył swój wynalazek, wyposażając go w sekretny mechanizm zegarowy, o którego istnieniu wiedział tylko on sam. Mechanizm ten działał w ten sposób, że Ognisty Ptak miał zniszczyć sam siebie, z chwilą gdy jakakolwiek obca ręka spróbuje go użyć.

Kiedy pułkownik z hordą zbirów wsiadł do pociągu, na pożegnanie, a może chcąc dać miastu przedsmak okrutnej zemsty, którą zamierzał

zrealizować, gdy przejmie władzę nad śmiercionośnym wynalazkiem, postanowił zrównać z ziemią dzieło Chandry. Zdecydował, że goście zgromadzeni na uroczystej inauguracji tego cudu architektury zginą w płomieniach. Uruchamiając Ognistego Ptaka, wydał wyrok śmierci na wszystkich pasażerów pociągu, w tym siebie samego. Pięć minut później stacja zmieniła się w istne piekło. Ogień z tą samą zachłannością pochłoniął życie zbrodniarzy co niewinnych sierot.

Wiem, że nie dają wam spokoju pewne pytania. Zastanawiacie się może, dlaczego was okłamałam, mówiąc o Jawahalu, o więzieniu, z którego uciekł. Zastanawiacie się, dlaczego nie ma o nim żadnej wzmianki. Zanim rozwieję wasze wątpliwości, chciałabym, żebyście wiedzieli jedno - Chandra był

wspaniałym człowiekiem. Człowiekiem, który kochał swoją żonę i który, gdyby mógł, na pewno kochałby swoje dzieci. Ale życie nie dało mu takiej szansy. Powiedziawszy to, nie pozostaje mi nic innego, jak wyznać wam prawdę.

Kiedy twój ojciec był młody, wcale nie zapadł na tajemniczą chorobę i nie znalazł się w żadnej chatce nad rzeką. Nie zaopiekował się nim też żaden troskliwy chłopiec, który go wyleczył, choć tak mówiłam wam wcześniej. Twój ojciec wychował się w instytucji istniejącej do dziś na południu Kalkuty i noszącej nazwę Grant House. Jesteście młodzi i pewnie nazwa ta nic wam nie mówi, był wszakże czas, kiedy instytucja ta okryła się smutną sławą.

Grant House - tu właśnie znalazł się twój ojciec w wieku zaledwie sześciu lat, po tym jak przeżył coś naprawdę potwornego. Na jego oczach matka, schorowana kobieta kupcząca swoim ciałem w zamian za marne grosze, dokonała samospalenia, składając życie w ofierze bogini Kali. Grant House, gdzie dorastał Chandra, to instytucja dla umysłowo chorych, wy nazwalibyście ją pewnie domem wariatów.

Przez lata całe Chandra błąkał się po korytarzach tego posępnego miejsca. Bez rodziców, bez przyjaciół, za jedyne towarzystwo mając ludzi zatopionych w majakach i ustawicznym cierpieniu. Ludzi, którzy twierdzili, że są demonami, bogami czy aniołami, by następnego dnia zmienić tożsamość i imię. Kiedy, podobnie jak wy teraz, osiągnął wiek pozwalający mu opuścić zakład, miał za sobą straszliwe dzieciństwo i doświadczył najbardziej okrutnej nędzy, jakiej w ogóle można doświadczyć w Kalkucie.

Nie muszę wam już chyba tłumaczyć, że ów złowrogi przyjaciel, który obrał drogę występku, tak naprawdę nigdy nie istniał. Jedyńm cieniem, z jakim zmagał się w życiu twój ojciec, był parazyt gnieźdzący się w jego duszy. To on popełniał owe straszliwe zbrodnie. Do końca życia dręczyły potem inżyniera wyrzuty sumienia i poczucie winy, niczym uporczywa klątwa.

Tylko dobroć i szlachetność Kylian były zdolne go uleczyć, dać mu siłę pozwalającą przeciwstawić się mrocznemu przeznaczeniu. U jej boku napisał książki, o których już słyszeliście, u jej boku zaprojektował

dzieła, które uczyniły go nieśmiertelnym, i zdołał odegnąć widmo podwójnego życia. Ale ludzka zawiść sprawiła, że nie dostał swojej szansy, a życie, zapowiadające się tak dobrze i szczęśliwe, stoczyło się z powrotem w ciemności. Tym razem na wieki.

W noc kiedy Lahawaj Chandra Chatterghee patrzył na śmierć swojej żony, groza lat dzieciennych wróciła do niego ze zdwojoną mocą, spychając go raz jeszcze w czeluście osobistego piekła. Zbudował cały swój świat na piedestale, który teraz, na jego oczach, runął. Zginął w płomieniach z przekonaniem, że ponosi winę za tę tragedię, że zasłużył

na podobną karę i potępienie.

Kiedy Llewelyn uruchomił Ognistego Ptaka, a ogień rozprzestrzenił

się w okamgnieniu po całym budynku stacji, cień zamieszkujący w duszy Chandry przysięgł, że

powróci z krainy śmierci. W postaci ognistego anioła. Anioła zagłady, anioła zemsty. Anioła będącego ucieleśnieniem ciemnej strony jego własnej osobowości. Nie prześladowa was morderca. Ani człowiek. Prześladowa was widmo. Duch. Lub, jeśli wolicie, demon.

Twój

ojciec

uwielbiał

łamięłówkí,

do

samego

końca.

Opowiadaliście mi o rysunku, na którym wasz przyjaciel Michael sportretował was wszystkich i wasze odbicia w wodach stawu. Są odwrócone. Pomyślałam, że ręką Michaela kierowało proroctwo. Jeśli na tym rysunku napisalibyście imię nadane inżynierowi przez matkę, tafla stawu oddałaby wam jego lustrzane odbicie, znane wam tak dobrze imię: Jawahal.

Nie mogąc zaznać spoczynku, duch Jawahala snuje się po świecie, od dnia pożaru złączony na zawsze z piekielną machiną własnego projektu, którą w chwili swojej śmierci obdarzył życiem wiecznym, sam zmieniawszy się w mroczne widmo. Jawahal i Ognisty Ptak są jednym i tym samym. Na tym właśnie polega klątwa: na jedności ducha nienawiści i śmiercionośnej maszyny. Gorejąca dusza, uwięziona na zawsze w kotłach płonącej lokomotywy. A teraz dusza ta potrzebuje nowej siedziby.

Dlatego właśnie was szuka. Dlatego czekał, aż osiągniecie wiek dojrzały. Duch Jawahala potrzebuje jednego ze swoich dzieci, by przetrwać. By rozciągnąć niszczycielską moc na świat żywych. Tylko jedno z was przeżyje. Drugie, to, w którym nie zamieszka duch Jawahala, musi umrzeć po to, by on mógł żyć dalej.

Szesnaście lat temu przysięgł, że was odnajdzie, by wami zawładnąć. Musicie wiedzieć, że zawsze wypełniał swe postanowienia.

W życiu i po śmierci. Wiedziecie, że kiedy ja opowiadam wam o tym wszystkim, Jawahal już dokonał wyboru. On jeden wie, w którym z was znajdzie schronienie jego przeklęta dusza.

Opatrzność zechciała dać wam szansę. Szesnaście lat temu porucznik Peake zapuścił się w labirynt tuneli Jheeter's Gate i znalazł

tam ciało Kylian wiszące bez życia nad kałużą krwi. Wasz płacz dobiegł

jego uszu i porucznik, niepomny własnego bólu, odnalazł was i wydarł

duchowi waszego ojca. Przyniósł was wtedy do mojego domu, wierząc, że znajdziecie tu bezpieczne schronienie. Sam musiał uciekać.

Jeśli będziesz kiedyś opowiadać tę historię swojej siostrze Sheere, nie zapominaj nigdy, przenigdy, o tym, że duch zemsty, który wyłonił

się tamtej nocy z płonącego dworca Jheeter's Gate i który zabił

porucznika Peake'a, waszego wybawiciela, nie jest twoim ojcem. Twój ojciec zginął w pożarze, pośród niewinnych dzieci. Ten, który wrócił z piekieł, by unicestwić samego siebie, owoc swojego małżeństwa i swoje własne dzieło, jest tylko upiorem. Wampirem przeżartym nienawiścią, poczuciem krzywdy i grozą, jaką inni zasiali w jego sercu.

Taka jest prawda i nikt ani nic nie zdoła jej zmienić. Jeśli istnieje jeden Bóg, albo całe tysiące bóstw, niech mi wybaczą ból, który wam sprawiłam, wyjawiając tajemnicę tych jakże bolesnych wydarzeń.

I cóż mogę powiedzieć? Jakich słów użyć, by opisać smutek, który ujrzałem owego majowego wieczoru w oczach Bena, mojego najlepszego przyjaciela? Nasze pragnienie zgłębienia prawdy skończyło się dla nas okrutną lekcją, ukazało nam życie jako księgę, której lepiej nie wertować zbyt wnikliwie i nie wracać do dawnych rozdziałów.

Nauczyliśmy się, że niezależnie od tego, jaką drogę obierzemy, i tak nie będzie nam dane zadecydować o własnym losie. Zapragnąłem wówczas znaleźć się jak najszybciej na pokładzie statku, którym miałem wyruszyć następnego dnia w daleką podróż. Strach, jaki mnie ogarnął, mieszał się z bólem i współczuciem dla mojego najlepszego przyjaciela i gorzkim smakiem prawdy.

Wszyscy wysłuchaliśmy w milczeniu opowieści Aryami i nikt z nas nie odważył się sformułować żadnego pytania, chociaż nasze głowy aż buzowały od wątpliwości. Zrozumieliśmy, że linie naszego przeznaczenia zbiegały się w jednym miejscu. Że tej nocy, w mrokach dworca Jheeter's Gate, czeka nas spotkanie, którego nie da się przelożyć.

Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, ostatnie światła dnia dopalały się szkarłatną wstęgą na tle ciemnobłękitnego bengalskiego nieba. Idąc nieużywanymi od lat torami, prowadzącymi z ogrodu Lahawaja Chandry Chatterghee przez zachodnią część Czarnego Miasta do majestatycznej stacji na drugim brzegu Hooghly, czuliśmy na twarzach drobny deszczyk.

Pamiętam, że zanim przeszliśmy żelaznym mostem na drugi brzeg Hooghly, kierując się prosto w paszczę Jheetefs Gate, Ben ze łzami w oczach zmusił nas do złożenia przysięgi, że przenigdy, w żadnej sytuacji, nie zdradzimy tego, co usłyszeliśmy tego wieczoru. Zapowiedział, że jeśli się dowie, iż któryś z nas przekazał Sheere prawdę o jej ojcu, o marzeniu, którym karmiła się od dziecka, zabije go własnymi rękoma.

Wszyscy obiecaliśmy dochować tajemnicy.

Do zwieńczenia naszej historii brakowało już tylko jednego -

wojny...

Imię północy

Kalkuta, 29 maja 1932 roku

Cień burzy poprzedził nadejście północy, powoli rozpościerając nad Kalkutą obszerny ołowiany płaszcz, który połyskiwał niczym zakrwawiony całun po każdym wyładowaniu drzemiącej w nim elektrycznej furii. Dalekie pioruny rozsnuwały na niebie ogromną pajęczynę światła, zdającą się oplatać całe miasto. Silne podmuchy północnego wiatru rozpraszały mgiełkę nad rzeką Hooghly, odsłaniając wobec nocnych ciemności zdewastowany szkielet żelaznego mostu.

Zza zasłony ustępującej mgły wyłaniał się zarys dworca Jheeter's Gate. W iglicę kopuły dworca uderzył piorun; niebieskie światło rozpełzło się po konstrukcji łuków i stalowych belek do fundamentów.

Chłopcy zatrzymali się przed wejściem na most, tylko Ben i Roshan podeszli bliżej dworca. Srebrzyste linie szyn pod ich stopami ginęły w hali dworcowej. Księżyc skrył się za chmurami. Miasto wydawało się oświetlone błękitnym światłem dalekiej gromnicy.

Ben, nie chcąc ryzykować wpadnięcia od rzeki, próbował

wypatrzeć wszystkie możliwe pęknięcia, szczeliny lub dziury, ale w ciemnościach widać było jedynie lśniące tory kolejowe przebijające się przez zarośla i gruz. Wiatr niósł z przeciwległego brzegu przytłumione szmery.

Ben spojrzał na Roshana przyglądającego się niespokojnie ciemnej paszczy dworca. Roshan, nie odrywając wzroku od Jheeter's Gate, kucnął na torach. Dotknął jednej z szyn i natychmiast odskoczył jak oparzony.

- Drży - powiedział z przestraczem. - Jakby nadjeżdżał pociąg.

Ben przykucnął przy nim i również dotknął szyny. Roshan patrzył

na niego wyczekująco.

- Woda uderza o most - uspokoił go. - To nie żaden pociąg.

Podeszli Seth i Michael. Ian z kolei przykląkł, by zasznurować sobie buty podwójnym węzłem, odwołując się do rytuału odprawianego w sytuacjach, gdy nerwy odmawiały mu posłuszeństwa.

Ian uniósł wzrok i uśmiechnął się niepewnie do Bena, starając się ukryć strach paraliżujący ich wszystkich, nie wyłączając samego Bena.

- Ja bym dziś zawiązał buty na potrójny węzeł - zażartował Seth.

Ben uśmiechnął się i wszyscy obecni członkowie Chowbar Society wymienili pytające i wyczekujące

spojrzenia. Po chwili, naśladowując Iana, przyklękli i wzmocnili nowym węzłem sznurowadła, według obrządku, który tylokrotnie przynosił szczęście Ianowi.

Następnie, gęsiego, z Benem na czele i Roshanem w ariergardzie, ostrożnie ruszyli przez most. Ben, idąc za radą Setha, starał się stąpać jak najbliżej szyny, gdzie konstrukcja mostu była najmniej naruszona.

Za dnia łatwo było ominąć zniszczone podkłady i zauważyć miejsca mocno nadwerżone przez czas, dziury prowadzące prosto w dół, w nurt rzeki, ale o północy, przy zachmurzonym całkowicie niebie, droga przeistaczała się w mroczny las najeżony pułapkami, przez który trzeba było iść krok po kroku, niczym saper.

Nie przeszli nawet pięćdziesięciu metrów, jednej czwartej czekającej ich drogi, kiedy Ben się zatrzymał i uniósł dłoń, nakazując im zrobić to samo. Przyjaciele rozejrzeli się, nie wiedząc, o co chodzi.

Przez chwilę stali w milczeniu, czując pod stopami drzenie mostu pod wpływem napierającego nurtu rzeki.

- Co się dzieje? - spytał stojący na końcu grupy Roshan. - Dlaczego się zatrzymaliśmy?

Ben wskazał w kierunku Jheeter's Gate. Chłopcy ujrzeli dwie linie ognia pędzące po szynach w ich kierunku.

- Na bok! - krzyknął Ben.

Wszyscy rzucili się na ziemię. Dwie ściany ognia przecięły powietrze, mijając leżących chłopców z furią ostrzy płonącego gazu.

Podmuch porwał za sobą tumany kurzu, żwiru, kawałki drewna. Drobne płomyki rozsypały się po całym moście.

- Nic się wam nie stało? - zapytał Ian, wstając. Ubranie mu dymiło, jakby wyszedł z płonącego budynku.

Chłopcy potwierdzili, że wszystko w porządku.

- Przejdźmy jak najszybciej na drugą stronę, nim ogień się rozszerzy

- rzucił Ben.

- Pod mostem chyba coś jest... - zauważył Michael.

Reszta przełknęła ślinę. Pod ich stopami rozbrzmiewał dziwny stukot. Ben ujrzał w wyobraźni stalowe szpony szarpiące żelazną kładkę mostu.

- Więc tym bardziej musimy wiać - odparł Ben. - W nogi!

Członkowie Chowbar Society, nie oglądając się za siebie, ruszyli biegiem za swym przywódcą, przeskakując połamane podkłady i omijając dziury. Gdy znaleźli się na brzegu, kilka metrów od wjazdu na stację, Ben odwrócił się i gestem dał znać, by odsunęli się od żelaznej konstrukcji.

- Co to było? - zapytał Ian.

Ben wzruszył ramionami.

- Patrzcie! - wykrzyknął Seth. - Tam, na środku mostu!

Wszyscy natychmiast odwrócili się w tamtą stronę.

W miejscu, w którym przed chwilą stali, szyny rozżarzyły się do czerwoności. Tory błyskawicznie rozpały się w obu kierunkach. Nad nimi unosiła się dymna poświata. Niebawem szyny zaczęły się wyginać.

Cała konstrukcja mostu zaczęła topić się w ogromne krople rozjarzonego metalu, które spadając do rzeki, wybuchały gwałtownie w zetknięciu z chłodnym nurtem.

Chłopcy, sparaliżowani, przyglądali się przerażającemu widowisku: ten dwustumetrowy szkielet ze stali topił się niczym kostka masła rzucona na rozgrzaną patelnię. Bursztynowe światło płynnego metalu zatoneło w rzece, odbijając się na bladych twarzach pięciu przyjaciół. Po chwili rozżarzona czerwień zaczęła nabierać tonów matowych, popielatych. Dwa krańce mostu pochyliły się nad wodą jak dwie stalowe wierzby zapatrzone we własne odbicie.

Wściekły syk gasnącej w wodzie stali powoli ustawał. Za ich plecami ryk syreny Jheeter's Gate rozdarł ciszę Kalkuty po raz pierwszy od szesnastu lat. Bez słowa odwrócili się i przekroczyli granicę oddzielającą ich od fantasmagorycznej scenerii, w której mieli stoczyć ostateczny pojedynek.

* * *

Na dźwięk syreny, który wdarł się do tuneli niczym alarm przeciwlotniczy, Isobel otworzyła oczy. Nogi i ręce miała skute i przytwierdzone do długich zardzewiałych prętów. Do pomieszczenia, w którym się znajdowała, docierało jedynie wątłe światło, sączące się przez kratkę wentylacyjną nad jej głową. Echo syreny gasło powoli...

Nagle usłyszała szurgot przy włączniku. Uniosła głowę i zobaczyła, że na kratkę wentylacyjną pada cień, a właz się otwiera. Zamknęła oczy i wstrzymała oddech. Rozległ się trzask otwieranych kajdanek. Poczula, jak ręka o długich palcach łapie ją za szyję i wyciąga przez otwór.

Zaczęła krzyczeć ze strachu.

Porywacz cisnął ją na ziemię jak worek ziemniaków. Otworzyła oczy i ujrzała tuż przed sobą wysoką czarną postać bez twarzy.

- Ktoś po ciebie przyszedł - szepnęły niewidzialne usta. - Nie każdy im czekać.

W tej samej chwili dwie źrenice rozzarzyły się; dwie zapalki w ciemnościach. Porywacz złapał ją za ramię i pociągnął przez tunel.

Miała

wrażenie,

że

krażą

godzinami

w

jakimś

labiryncie.

Zmaltretowana, dostrzegła w końcu wyłaniający się z mroku mglisty zarys pociągu. Nie stawiając oporu, dała się poprowadzić do ostatniego wagonu i wepchnąć do środka. Drzwi wagonu zamknęły się za nią.

Upadła na zwęgloną podłogę wagonu i poczuła ostry ból w brzuchu.

Coś rozcięło jej skórę. Jęknęła. Strach sparaliżował ją całkiem, gdy poczuła chwytające ją ręce, które próbowały odwrócić ją na plecy.

Krzyknęła. Tuż przed sobą ujrzała brudną i wymęczoną twarz chłopaka bardziej jeszcze przerażonego niż ona.

- Isobel, to ja - szepnął Siraj. - Nie bój się.

Po raz pierwszy w życiu Isobel nie wstydziła się swoich łez przed Sirajem i przywarła do kościstego, wątłego ciała przyjaciela.

* * *

Ben i jego towarzysze zatrzymali się u stóp zegara ze stopionymi wskazówkami na głównym peronie Jheeter's Gate. Wokół rozciągała się nieogarniona i tajemnicza sceneria cieni i światła, padających pod różnym kątem z kopuły ze stali i szkła. Wydobywały one z półmroku pozostałości tego, co kiedyś było najwspanialszym dworcem ze snów, katedrą z żelaza wzniesioną na cześć boga kolei.

Rozglądając się po stacji, chłopcy mogli wyobrazić sobie przepych Jheeter's Gate przed tragedią: majestatyczna świetlista kopuła podtrzymywana przez niewidzialne łuki, które jakby się unosiły w powietrzu nad rzędami lekko wygiętych peronów, zaokrąglonych jak kręgi na wodzie po rzuconej monecie, ogromne tablice informujące o przyjazdach i odjazdach pociągów, wystawne kioski z

kutego żelaza, z wiktoriańskimi reliefami, pałacowe schody prowadzące korytarzami ze stali i szkła na wyższe kondygnacje, jakby przez zawieszony w powietrzu pasaż. Tłumy pasażerów przemierzających hale i zajmujących miejsca w pociągach ekspresowych, które miały ich zawieźć do każdego miejsca w kraju...

Z całego tego splendoru pozostało jedynie niejasne i karykaturalne odbicie, przedsiónek piekła, do którego zdawały się prowadzić wszystkie tunele.

Ian,

przyglądając

się

zniekształconym

przez

plomienie

wskazówkom, spróbował wyobrazić sobie skalę pożaru. Seth stanął

obok; również powstrzymał się od komentarza.

- Musimy podzielić się na dwuosobowe grupy, jeżeli chcemy tu coś znaleźć - stwierdził Ben. - To miejsce jest ogromne.

- To chyba nie najlepszy pomysł - odparł Seth, który nie mógł

wymazać z pamięci obrazu mostu walącego się do wody.

- Jest nas tylko pięciu, więc jak mamy się podzielić? - zauważył Ian.

- Kto pójdzie sam?

- Ja - powiedział Ben.

Pozostała czwórka spojrzała na niego z troską, ale również z ulgą.

- Nadal uważam, że to nie jest najszcześniejszy pomysł - upierał się Seth.

- Ben ma rację - odezwał się Michael. - Sądząc z tego, co nas dotąd spotkało, czy nas będzie pięciu, czy pięćdziesięciu, to naprawdę wszystko jedno.

- Rzadko mówi, ale jak już coś powie, to zawsze ku pokrzepieniu serc - skwitował Roshan.

- Michael - zaproponował Ben - ty i Roshan możecie rozejrzeć się po piętrach. A Ian i Seth zajmą się parterem.

Nikt nie miał ochoty z nim polemizować. I jedno, i drugie brzmiało równie mało atrakcyjnie.

- A ty gdzie pójdziesz? - zapytał Ian, przewidując odpowiedź.

- Do tuneli.

- Ale pod jednym warunkiem - zastrzegł Seth, usiłując zachować poczucie zdrowego rozsądku.

Ben spojrzał na niego pytająco.

- Bez brawury i bez szaleństw - dodał Seth. - Ten, który natrafi na coś podejrzanego, zaznacza miejsce i wraca po resztę.

- To brzmi całkiem niegłupio - przyznał Ian. Michael i Roshan przytaknęli z przekonaniem.

- A ty, Ben? - spytał Ian.

- Zgoda - burknął Ben.

- Nie słyszeliśmy - trwał przy swoim Seth.

- Obiecuję - powiedział Ben. - Widzimy się tutaj za pół godziny.

- Oby tak się stało - westchnął Seth, wznosząc oczy ku niebu.

* * *

W pamięci Sheere ostatnie godziny przemieniły się w kilka zaledwie sekund, podczas których jej umysł jak gdyby porażony został

bardzo silnym narkotykiem, który stępił wszystkie jej zmysły i stracił ją w przepaść bez dna. Jak przez mgłę pamiętała swoje rozpaczliwe wysiłki, by wyswobodzić się z żelaznego uścisku gorejącego widma, które wlokło ją przez labirynt kanałów ciemniejszych niż najciemniejsza noc.

Pamiętała również, niczym wyrwany z kontekstu obraz, twarz Bena leżącego na podłodze domu, który wydawał jej się znajomy, choć nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło od tamtej chwili. Może godzina, może tydzień, może miesiąc.

Kiedy w końcu wróciła jej świadomość własnego ciała i wszystkich odniesionych podczas szamotaniny obrażeń, zrozumiała, że jest już przytomna i że miejsce, w którym się znajduje, wcale się jej nie śni.

Leżała wewnątrz bardzo długiego pomieszczenia. Po jednej i drugiej stronie ciągnęły się rzędy okien, przez które przesączała się mdła poświata, wydobywająca z mroku sprzęty typowe dla saloniku.

Fragmenty trzech potłuczonych kryształowych żyrandoli zwisały z sufitu niczym zesuszone bukiety. Kawalki rozbitego lustra świeciły w ciemnościach za kontuarem przywodzącym na myśl luksusowy

bar - ale obrócony wniwecz przez furie bezlitosnego pożaru.

Spróbowała się podnieść i gdy zobaczyła, że łańcuch krępujący jej dłonie za plecami przymocowany jest do wąskiej rury, natychmiast odgadła, gdzie się znajduje: w wagonie porzuconym w podziemnej części Jheeter's Gate. To odkrycie podziało na nią jak kubek zimnej wody, przywracając do rzeczywistości.

Wyteńczyła wzrok, usiłując pośród sterty powywracanych stołów i innych szczątków po pożarze wypatrzeć jakieś narzędzie, za którego pomocą mogłaby się uwolnić. Ale wyglądało na to, że w zdewastowanym wagonie wszystko padło ofiarą płomieni. Zrozpaczona zaczęła się szarpać, ale w rezultacie łańcuch zacisnął się jeszcze mocniej.

Dwa metry od niej czarna masa, którą do tej pory brała za zwęglony mebel, nagle odwróciła się ze zwinnością ogromnego kota, do tej pory czatującego w bezruchu. Niewidoczną w półmroku twarz rozświetlił

drapieżny uśmiech. Serce skoczyło Sheere do gardła.

Postać nachyliła się nad nią. Oczy Jawahala rozbłysły niczym rozżarzone węgielki. Poczowała ostry i drażniący odór spalonej benzyny.

- Serdecznie witam w zgliszczach mojego domu, Sheere - wycedził

Jawahal. - Bo takie nosisz imię, nieprawdaż?

Sheere przytaknęła, całkowicie sparaliżowana widokiem stojącej przed nią osoby.

- Nie musisz się niczego obawiać - powiedział Jawahal.

Dziewczyna stłumiła napływające jej do oczu łzy; nie zamierzała tak łatwo się poddawać. Zacisnęła z całej siły powieki. Nie mogła złapać tchu.

- Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię - powiedział Jawahal tonem, który zmroził jej krew w żyłach.

Sheere powoli otworzyła oczy i z przerażeniem stwierdziła, że ręka Jawahala zbliża się do jej twarzy. Jego długie palce w czarnej rękawiczce pogładziły ją po policzku i z niezwykłą delikatnością odgarnęły kosmyki włosów opadające jej na czoło. Oczy porywacza na chwilę straciły blask.

- Jesteś taka do niej podobna... - szepnął Jawahal.

Ręka cofnęła się błyskawicznie niczym spłoszone zwierzę. Jawahal wyprostował się. Sheere poczuła, jak łańcuch na nadgarstkach rozluźnia się, uwalniając jej ręce.

- Wstawaj i chodź za mną - rozkazał Jawahal.

Sheere usłuchała grzecznie i ruszyła za nim. Kiedy ciemna postać oddaliła się parę metrów pośród pogorzelniska wagonu, dziewczyna rzuciła się biegiem w przeciwnym kierunku. Przebiegła przez

wagon, omijając zręcznie wszystkie przeszkody, i dotarła do drzwi prowadzących na małą platformę - część pomostu łączącego sąsiednie wagony w składzie.

Złapała za klamkę z poczerniałej stali i z całej siły nacisnęła. Metal ustąpił niczym plastelina, a Sheere w osłupieniu patrzyła, jak klamka przemienia się w pięć długich palców, które chwyciły ją za przegub.

Blacha drzwi zaczęła się wyginać, przybierając kształt lśniącej płasko-rzeźby, z której po chwili wyłoniły się rysy Jawahala. Kolana ugięły się pod Sheere. Zrezygnowana osunęła się na ziemię.

Jawahal uniósł ją w powietrze. Ujrzała w jego oczach tłumioną złość.

- Nie próbuj uciekać przede mną, Sheere. Niebawem ty i ja będziemy jedną istotą. Nie jestem twoim wrogiem. Jestem twoją przyszłością. Idź za mną, bo w przeciwnym razie oto, co się z tobą stanie.

Jawahal podniósł z ziemi zbity kieliszek i z całej siły ścisnął go w dłoni. Szkło stopiło się w jego zaciśniętej pięści, skapując gęstymi kroplami na podłogę wagonu i tworząc pośród zgliszczy zwierciadło płomieni. Jawahal wypuścił Sheere z uścisku. Dziewczyna padła tuż obok oparów stygnącego szkła.

- A teraz bądź grzeczna.

* * *

Seth ukucnął przy błyszczącej kałuży na podłodze w centralnej części stacji i ostrożnie dotknął jej opuszkami palców. Rozlany płyn był

ciepły i gęsty jak oliwa.

- Ian, chodź i spójrz na to - zawołał Seth.

Ian podszedł i ukląkł obok przyjaciela. Seth pokazał mu palce ubrudzone mętną substancją, Ian umoczył w niej czubek palca wskazującego, sprawdził konsystencję, dotykając kciukiem, i powąchał.

- To krew - zawyrokował, jakby już ukończył swoje wymarzone studia medyczne.

Seth pobladł i z obrzydzeniem wytarł rękę w nogawkę.

- Isobel? - zapytał Seth, odsuwając się od kałuży i z trudem powstrzymując ogarniające go mdłości.

- Nie wiem - odparł skonsternowany Ian. - Ale jest świeża; przynajmniej tak wygląda.

Ian wstał i rozejrzał się wokół ciemnej kałuży.

- Nie ma żadnych innych śladów ani plam - mruknął.

Seth spojrział na niego, nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi.

- Ktoś, kto stracił tyle krwi, nie mógł odejść tak po prostu, nie zostawiając żadnego śladu - wyjaśnił Ian. - Nawet gdyby go wynieśli na noszach. To wszystko nie ma sensu.

Seth przez czas jakiś rozważał słowa przyjaciela, krążąc wokół

rozlanej krwi, by wreszcie stwierdzić, że tamten ma rację. Poczuli, że znaleźli się w ślepym zaułku. Nagle w oczach Iana pojawiła się iskra niedowierzania. Seth w mig pojął, co mogło mu przejść przez myśl.

Podnieśli głowy, by spojrzeć na tonące w mrokach sklepienie.

Przez chwilę przyzwyczajali wzrok do zalegających pod kopułą ciemności, aż ich spojrzenie zatrzymało się wreszcie na zarysie wielkiego kryształowego żyrandola. Na końcu białego sznura, przewieszzonego przez jedno z ramion pająka, w ogromnej pustce kołysało się ciało okryte błyszczącym materiałem. Strach chwycił ich za gardło.

- Czy to trup? - spytał bojaźliwie Seth.

Ian długo wpatrywał się w makabryczne odkrycie, po czym rozłożył

ręce.

- Nie powinniśmy powiadomić reszty? - zapytał nerwowo Seth.

- Jak tylko się dowiemy, kim jest ofiara - odparł Ian. - Jeśli to jej krew, a wszystko na to wskazuje, być może jeszcze żyje. Musimy ją zdjąć.

Seth przymknął na chwilę oczy. Już gdy przechodzili przez most, dręczyły go złe przeczucia. Teraz, kiedy te przeczucia się potwierdziły, znów ogarnęły go mdłości. Odetchnął głęboko i postanowił w ogóle o tym nie myśleć.

- Dobrze - zgodził się Seth. - A masz pomysł, jak to zrobić?

Ian przyjrzał się badawczo górnej części hali. W końcu dojrzał, że po obwodzie kopuły, na wysokości kilkunastu metrów, biegnie metalowa galeria. Od niej odchodziła ku górnej części żyrandola przyspawana do kopuły wąska drabinka, umożliwiająca zapewne konserwację i czyszczenie konstrukcji.

- Wejdziemy tamtędy i spróbujemy je zdjąć - powiedział Ian, pokazując drabinkę.

- Ale jeden z nas musi tu zostać, żeby natychmiast udzielić pomocy tej osobie - stwierdził Seth - i na pewno ty lepiej sobie z tym poradzisz.

Ian bacznie przyjrzał się przyjacielowi.

- Jesteś pewien, że chcesz tam wejść sam?

- O niczym innym nie marzę - odparł Seth. - Ty tu czekaj. I nie ruszaj się stąd.

Ian przytaknął. Seth oddalił się w kierunku schodów prowadzących na górną kondygnację Jheeter's Gate. Ledwo półmrok pochłonął

przyjaciela i umilkł odgłos stawianych przezeń kroków, Ian rozejrzył się wokół.

Z tuneli wiał świszczący wiatr, unosząc tumany popiołu i śmieci, Ian ponownie uniósł głowę, usiłując rozpoznać kołyszącą się nad nim postać. Bezskutecznie. Nie dopuszczał do siebie myśli, że może to być Isobel, Siraj lub Sheere. Nagle zdało mu się, że znad kałuży krwi unosi się niezwykle blask, ale kiedy spojrzał na ziemię, wszystko zgasło.

* * *

Jawahal ciągnął Sheere przez stojący w tunelu pociąg - niczym przez fantasmagoryczny korytarz - aż do pierwszego wagonu tuż za lokomotywą. Przez drzwi wagonu, zza których dochodził wściekły syk kotła, sączyło się intensywne pomarańczowe światło. Sheere poczuła, jak w pomieszczeniu gwałtownie wzrasta temperatura, a wszystkie pory jej skóry otwierają się w zetknięciu z parzącym wręcz powietrzem.

- Co tam jest? - zapytała przerażona.

Jawahal zacisnął jeszcze mocniej palce na jej ramieniu i pociągnął

ją za sobą z całej siły.

- Machina ognia - odparł, otwierając drzwi i wpychając ją do środka. - To jest mój dom i moje więzienie. Ale niebawem to wszystko się zmieni, dzięki tobie, Sheere. Wreszcie, po tylu latach, znowu jesteśmy razem. Czyż nie o tym zawsze marzyłaś?

Sheere osłoniła twarz przed gwałtowną falą palącego gorąca i przez palce przyjrzała się miejscu, w którym się znalazła. Gigantyczna maszyna złożona z wielkich metalowych kotłów i alembików połączonych gmatwaniną rurek i zaworów bulgotała i syczała, jakby miała za chwilę wybuchnąć.

Ze złączek owego monstrualnego artefaktu buchały kłęby miedzianej pary lub gazu, barwiąc na ten odcień ściany wagonu. Na metalowej tablicy rozdzielczej z systemem zaworów i manometrów Sheere dostrzegła wygrawerowaną sylwetkę ptaka unoszącego się majestatycznie znad płomieni. Pod wizerunkiem ptaka widniały słowa w nieznanym jej języku.

- Ognisty Ptak - powiedział stojący przy niej Jawahal - moje alter ego.

- To mój ojciec skonstruował tę maszynę - szepnęła Sheere. - Nie ma pan żadnego do niej prawa. Jest pan zwykłym złodziejem i mordercą.

Jawahal przyjrzał się jej zamyślony i przygryzł dolną wargę.

- Cóż to za świat żeśmy zbudowali, w którym już nawet ludzie naiwni nie mogą zaznać szczęścia -

zapytał. - Obudź się, Sheere.

Dziewczyna spojrzała na niego z pogardą.

- Pan go zabił - powiedziała z nienawiścią w oczach.

Usta Jawahala wykrzywiły się w milczącym i groteskowym grymasie. Dopiero po chwili Sheere zrozumiała, że się uśmiecha. On tymczasem pchnął ją lekko w stronę rozgrzanej ściany wagonu i wycelował w nią oskarżycielski palec.

- Nie ruszaj się stąd - rozkazał.

Sheere patrzyła, jak Jawahal podchodzi do wibrującej maszynerii Ognistego Ptaka i kładzie otwarte dłonie na rozpalonych kotłach. Ledwo dłonie przywarły do metalu, rozszedł się swąd spalonej skóry i rozległ

potworny syk skwierczącego ciała. Jawahal powoli rozchylił wargi i kłę-

by unoszącej się w wagonie pary zdawały się znikać w jego ustach.

Potem odwrócił się i roześmiał się na widok przerażonej dziewczyny.

- Boisz się zabawy z ogniem. Wobec tego pobawimy się w coś innego. Nie możemy przecież sprawić zawodu twoim przyjaciołom.

Nie czekając na odpowiedź, odszedł od kotłów w kąt wagonu.

Podniósł z podłogi duży wiklinowy kosz i wrócił z nim do Sheere.

Niepokojący uśmiech nie schodził mu z ust.

- Wiesz, jakie zwierzę jest najbardziej podobne do człowieka? -

zapytał przymilnym tonem.

Sheere pokręciła głową.

- Widzę, że edukacja, jaką zapewniła ci babcia, jest znacznie uboższa, niż przypuszczałem. Brak ojca to strata niepowetowana.

Otworzył wieko i włożył do kosza dłoń. Jego oczy rozblęły złowrogim blaskiem. Kiedy wyciągnął rękę, trzymał w niej wijącego się i lśniącego węża. Kobrę.

- Oto zwierzę najbardziej podobne do człowieka. Pełza i zmienia skórę, kiedy ma ochotę. Kradnie i pożera młode innych gatunków w ich własnych gniazdach, ale nie potrafi stanąć do uczciwej walki.

Wykorzystać każdą sposobność, żeby śmiertelnie ukąsić, oto jego specjalność. Jadu starcza mu tylko

na jedno ukąszenie i potrzebuje wielu godzin, by odzyskać pełnię sił, ale ten, kto został przez niego naznaczo-ny, skazany jest na nieuniknioną i powolną śmierć.

Gdy trucizna zaczyna krążyć w żyłach, serce ofiary bije coraz wolniej, by wreszcie się zatrzymać. Na dodatek ta mała bestia, przy całym swoim okrucieństwie, gustuje w poezji, podobnie jak człowiek.

Jednak w przeciwieństwie do niego nigdy nie ukąsi swego pobratymca.

To błąd, nie sądzisz? Może dlatego istoty te skończyły, jak skończyły: jako jarmarczna atrakcja dla gapiów, cyrkowa zabawka w rękach fakirów. Jeszcze wiele im brakuje, by dorównać królowi stworzenia.

Jawahal przysunął gada do twarzy Sheere. Dziewczyna przywarła plecami do ściany. Uśmiechnął się z zadowoleniem, widząc przerażenie w jej oczach.

- Boimy się tego, co jest najbardziej do nas podobne - stwierdził z jadem. - Ale nie bój się, ta nie jest dla ciebie.

Wziął skrzyneczkę z czerwonego drewna i włożył do niej węża.

Sheere, widząc, jak gad znika jej z pola widzenia, odetchnęła z ulgą.

- A co pan z nią zrobi?

- Jak już ci wspominałem, mam zamiar zaaranżować pewną zabawę

- wyjaśnił Jawahal. - Dziś wieczorem będziemy mieć gości i musimy im zapewnić godziwą rozrywkę.

- Jakich gości? - zapytała dziewczyna, błagając w duchu, by Jawahal nie potwierdził jej najgorszych przeczuć.

- To nie ma najmniejszego znaczenia, kochana Sheere. Należy w życiu pytać tylko o rzeczy najważniejsze. Jak na przykład: czy nasi przyjaciele ujrzą jeszcze światło dnia? Albo: ile czasu potrzeba, by pocałunek kobry uciszył zdrowe i młode serce, tryskające energią szesnastu lat? Retoryka uczy nas, że to są pytania mające sens i strukturę. Jeśli nie potrafisz się wysłowić, Sheere, nie potrafisz myśleć.

A jeśli nie potrafisz myśleć, jesteś zgubiona.

- To słowa mojego ojca - powiedziała Sheere z wyrzutem. - On je napisał.

- Widzę, że oboje czytamy te same książki. Czyż można sobie wymarzyć lepszy początek dozgonnej przyjaźni?

Dziewczyna słuchała, nie odrywając oczu od czerwonej drewnianej skrzyneczki, w której ukryta była kobra, i wyobrażała sobie pokryte łuskami, wijące się ciało. Jawahal uniósł brwi.

- No dobrze - podsumował - teraz musisz mi wybaczyć, gdyż oddalę się na parę minut, by poczynić ostatnie przygotowania przed przyjęciem naszych przyjaciół. Czekać na mnie cierpliwie. Przekonasz się, że było warto.

I chwyciwszy Sheere z całej siły, pociągnął ją przez wąskie drzwi wybite w murze tunelu do niewielkiego pomieszczenia. Niegdyś była tu zwrotnicownia. Jawahala popchnął dziewczynę do środka i postawił

czerwoną skrzynkę u jej stóp. Sheere spojrzała błagalnie, ale on trzasnął

drzwiami, zostawiając ją w absolutnych ciemnościach.

- Proszę mnie stąd wypuścić, błagam - jęknęła dziewczyna.

- Wypuszczę cię niebawem - zasyczał głos Jawahala po drugiej stronie drzwi. - I wówczas nikt nas już nie rozłączy.

- Co pan chce zrobić?

- Będę żyć w tobie, Sheere. W twoim umyśle, w twojej duszy i twoim ciele - odpowiedział Jawahala. - Zanim nadejdzie świt, twoje usta będą moimi ustami, a twoje oczy będą widzieć to samo co ja. Od jutra będziesz nieśmiertelna, Sheere. Czegoż więcej można chcieć?

Dziewczyna wybuchnęła płaczem.

- Dlaczego pan to robi? - zapytała przez łzy.

Jawahala nie od razu odpowiedział.

- Bo cię kocham, Sheere... - odparł. - Na pewno znasz takie powiedzenie: Zabijamy to, co najbardziej kochamy.

* * *

Ian z niecierpliwością wypatrywał Setha. Kiedy chłopak ukazał się wreszcie u stóp galerii otaczającej górną część sali, Ian odetchnął z ulgą.

- Gdzieś ty się podziewał? - krzyknął z pretensją.

Głos odbił się z wielokrotnym echem w całej sali, prowadząc z samym sobą dziwny dialog. Właśnie rozwiewały się ich nadzieje, że pozostaną niezauważeni.

- Strasznie trudno się tu wchodzi - rozległ się głos Setha. - Jest to chyba najgorszy labirynt korytarzy i ciemnych zakamarków, jeśli nie liczyć egipskich piramid. Cudem się nie zgubiłem.

Ian zgodził się z nim i pokazał mu drabinkę prowadzącą do kryształowego żyrandola. Seth przeszedł przez galerię i zatrzymał się na jej skraju.

- Coś nie tak? - spytał Ian przyjaciela znajdującego się teraz ponad dziesięć metrów nad jego głową.

Seth pokręcił głową i zaczął iść dalej. Kiedy od zwisającego na sznurze ciała dzieliły go mniej więcej dwa metry, przystanął znowu.

Zbliżył się do krawędzi drabinki i schylił, by popatrzeć na ciało. Grymas przerażenia wykrzywił mu twarz.

- Seth? Co się stało? - zapytał z dołu zaniepokojony Ian.

To, co nastąpiło potem, rozegrało się z zawrotną prędkością, Ian mógł się tylko przyglądać bezradnie wszystkiemu, rejestrując skrupulatnie w pamięci każdy szczegół. Nie miał jednak czasu na jakąkolwiek reakcję. Seth uklęknął, żeby rozwiązać sznur. Kiedy udało mu się rozsupłać węzeł, lina oplótła mu się wokół nóg niczym wąż, a bezwładne ciało wiszące na jej końcu runęło w pustkę.

Ian z przerażeniem patrzył, jak sznur gwałtownym szarpnięciem porywa Seta, niby bezbronną marionetkę, w górę, ku ciemnościom pod sklepieniem. Seth, z pętlą wokół kostek, szamotał się bezskutecznie i krzychał, wystrzelony w górę z niezwykłą prędkością, aż w końcu zniknął przyjacielowi z oczu.

Przywiązane do sznura ciało upadło tymczasem prosto w kałużę krwi. Ian zobaczył, że lśniący materiał spowija już nie ciało, ale szkielet.

Kości, uderzając o ziemię, rozsypały się w proch. Tkanina wchłonęła w siebie ciemną plamę krwi. Ian, przewyciężając szok, podszedł bliżej.

Mógł się teraz przekonać, że to, co brał wcześniej za prześcieradło, jest w rzeczywistości sari, takim samym, jakie widywał tyle razy w St.

Patrick's na świetlistej damie nawiedzającej Bena w snach.

Uniósł ponownie wzrok, usiłując wypatrzeć w ciemnościach przyjaciela, ale zobaczył nad sobą tylko nieprzeniknione ciemności.

Zamierające echo krzyku Seta rozlegało się jeszcze przez chwilę w zakamarkach katedralnego sklepienia.

* * *

- Słyszałeś? - zapytał Roshan, zaalarmowany krzykami, które zdawały się dochodzić z czeluści gigantycznej budowli.

Michael przytaknął. Krzyki powoli umilkły. Teraz jedynym dźwiękiem, jaki słyszeli, były nieustające uderzenia kropel o dach.

Znajdowali się na ostatniej kondygnacji Jheeter's Gate, skąd rozciągał

się zapierający dech w piersiach widok na cały dworzec. Z góry perony i tory wydawały się maleńkie i dopiero z tej perspektywy można było w pełni docenić przemyślny układ łuków i poszczególnych poziomów.

Michael zatrzymał się przy metalowej balustradzie zawieszanej w powietrzu nad kolumną zegara, pod który trafili, gdy znaleźli się na stacji. Dzięki swojej wyobraźni plastycznej mógł docenić hipnotyczny efekt wygiętych w łuk belek, które wychodziły z geometrycznego środka kopuły, by zaniknąć w niekończącej się krzywiźnie, nie sięgając ziemi.

Z tej jedynej w swoim rodzaju perspektywy, podobnej do tej, jaką zapewnia myśliwska ambona, wyglądało to tak, jakby dworzec wznosił

się ku niebu niczym ogromna wieża Babel sięgająca chmur i przebijają-

ca obłoki jak bizantyjska kolumna. Roshan także ogarnął wzrokiem zawrotną wizję, która najwyraźniej zauroczyła Michaela.

- W głowie ci się zakręci. Idziemy stąd.

Michael uniósł rękę w geście protestu.

- Zaczekaj chwilę. Chodź tutaj.

Roshan lekko zbliżył się do krawędzi balustrady.

- Jeśli spojrzę jeszcze raz w dół, spadnę.

Na ustach Michaela pojawił się enigmatyczny uśmiezek. Roshan patrzył na przyjaciela, zastanawiając się, jakiego to odkrycia mógł

dokonać.

- Nie widzisz, Roshan? - zapytał Michael.

Roshan pokręcił głową.

- A co mam widzieć?

- Przyjrzyj się całej konstrukcji. Jeżeli spojrzysz na nią z tego właśnie punktu sklepienia, nie możesz nie zauważyć.

Roshan spróbował zastosować się do wskazówek Michaela, ale wciąż nie mógł niczego zaobserwować.

- Powiedz wreszcie, o co chodzi.

- To bardzo proste. Ten dworzec, cała konstrukcja Jheeter's Gate jest wielką sferą, której widzimy

jedynie część znajdującą się nad ziemią. Kolumna zegara wznosi się dokładnie pod środkiem kopuły, wygląda jak załączek jej promienia.

Roshan obojętnie przysłuchiwał się słowom Michaela.

- No dobra. To jakaś cholerna piłka - powiedział. - I co z tego wynika?

- Czy zdajesz sobie sprawę, jakie trudności techniczne trzeba pokonać, żeby zbudować coś podobnego?

Przyjaciel ponownie pokręcił głową.

- Przypuszczam, że znaczne - rzekł.

- Radykalne - oświadczył Michael, sięgając po przymiotnik, który rezerwował na bardzo specjalne okazje. - Po co ktoś zadał sobie tyle trudu, by zbudować coś podobnego?

- Nie jestem pewien, czy chcę poznać odpowiedź na to pytanie -

odparł Roshan. - Zejdźmy na niższą kondygnację. Tutaj nic nie ma.

Pod platformą, z której rozciągał się widok na cały dworzec, odkryli jakby antresolę. Pomieszczenie było bardzo niskie, sufit znajdował się na wysokości zaledwie półtora metra. Wydawało się, że deszcz, padający w Kalkucie nieustannie od początku maja, przeciekał tutaj bez przeszkód.

Na ziemi, na której wałała się gruba warstwa gruzu i rozkładających się od lat śmieci, zebrało się teraz kilkanaście centymetrów wody, mętnej i pokrytej kożuchami, wydzielającej mdlący odór zgnilizny.

Michael i Roshan musieli schylić głowy, by wcisnąć się pod niski sufit.

Jak tylko weszli do środka, natychmiast zapadli się po kostki w gęstym błocie.

- Tu jest gorzej niż w katakumbach - wymamrotał Roshan. -

Dlaczego ten cholerny sufit jest tak nisko? Przecież już od wieków ludzie mają więcej niż metr pięćdziesiąt wzrostu!

- To pewnie strefa ograniczonego dostępu - odparł Michael. - Być może umieszczono tu ciężary kompensujące ciężar sklepienia. Staraj się niczego nie dotykać, bo jeszcze cała budowla się zawali.

- Żartujesz chyba?

- Owszem - grzecznie odpowiedział Michael.

- To trzeci żart, jaki usłyszałem od ciebie przez ostatnie sześć lat -

rzekł Roshan. - I bez wątpienia najgorszy.

Michael, nie siląc się nawet na odpowiedź, brnął dalej w to przedziwne, jakby zawieszzone pod kopułą dworca bagno. Od fetoru stęchłej wody aż zakręciło mu się w głowie. Pomyślał, że lepiej będzie odwrócić się na pięcie i dać sobie spokój z przeszukiwaniem tej kondygnacji. Chyba nikt nie chciałby się ukrywać na tych śmierdzących trzęsawiskach.

- Michael! - usłyszał głos Roshana kilka metrów za plecami.

Odwrócił się i dostrzegł sylwetkę przyjaciela pochyloną nad ukośnym odcinkiem wielkiej żelaznej belki.

- Czy ta belka naprawdę się rusza? - spytał skonsternowany Roshan

- czy tylko mi się przywidziało?

Michaelowi przemknęło przez myśl, że tamten zaczyna majaczyć pod wpływem trujących oparów. Już miał się odwrócić i definitywnie opuścić to piętro, kiedy z daleka dobiegł ich ogłuszający hałas. Spojrzeli po sobie z przerażeniem. Dziwny bulgot rozległ się znowu; tym razem towarzyszyły mu dodatkowe efekty.

Obaj chłopcy w osłupieniu przyglądali się czemuś, co, zanurzone w mętym bajorze, pędziło wprost na nich, wznosząc za sobą falę odpadków i błota, która rozbryzgiwała się pod niskim sufitem.

Otrząsnąwszy się z szoku, rzucili się co sił w nogach w kierunku drzwi.

Bieg kosztował ich wiele wysiłku, gdyż musieli cały czas pochylać głowy, i w dodatku grzęzli w gęstym mule.

Nie udało im się przebiec nawet kilku metrów, kiedy dziwny stwór ich wyprzedził, zatoczył przed nimi koło i ponownie ruszył wprost na nich. Rozdzielili się. Każdy pobiegł w inną stronę, starając się wywieść w pole przeciwnika, kimkolwiek on był. Ale ukryte pod błotem monstrum też się rozdziwiło, a każda z jego połówek rzuciła się w pogoń za jednym z chłopców.

Michael, zadyszany, odwrócił się, by spojrzeć za siebie. Ten ułamek sekundy wystarczył jednak, by chłopak potknął się o stopień, ukryty pod warstwą szlamu, i runął jak długi w cuchnące trzęsawisko. Wody bajora na chwilę całkowicie go przykryły. Kiedy się wynurzył i przewyciężając niemiłosierne pieczenie, otworzył wreszcie oczy, ujrzał, jak zbliża się do niego kolumna błota, które przypominało gorącą, bulgocącą czekoladę. Michael próbował jeszcze uciekać, ale czołgając się, znów upadł w śliskie bajoro.

Błotnista postać wyciągnęła ku niemu długie ręce z palcami zaopatrzonymi w metalowe szpony. Michael ze śmiertelnym przerażeniem obserwował narodziny owego ponurego golema. Patrzył, jak z tułowia wyrasta głowa, wyłaniają się rysy twarzy i zarys drapieżnych szczęk o szpiczastych, długich kłach. W pewnej chwili sylwetka zastygła, a z wysychającej gliny uniosła się zasłona pary.

Michael wstał. Usłyszał, jak glina się kruszy, i zobaczył, że cała postać pokryła się tysiącem pęknięć.

Szczeliny na twarzy rozsunęły się powoli i wyłoniły się zza nich płonące oczy Jawahala. Posąg z błota rozsypał się, tworząc mozaikę drobnych kawałeczków. Jawahal chwycił

Michaela za gardło i zbliżył jego twarz do swojej.

- To ty lubisz rysować? - zapytał, unosząc chłopca w powietrze.

Michael przytaknął.

- Świetnie - powiedział Jawahal. - Masz szczęście, synu. Dziś zobaczysz na własne oczy cuda, które będziesz mógł rysować do końca życia. O ile oczywiście przeżyjesz, by je narysować.

Roshan rzucił się ku drzwiom wyjściowym, czując, jak adrenalina rozplywa mu się po żyłach niczym strużki płonącej benzyny. Kiedy do wyjścia brakowało mu zaledwie dwóch metrów, wyskoczył i padł jak długi na gładką powierzchnię, wolną od błota. Podniósłszy się, w pierwszym odruchu chciał biec dalej, do utraty tchu. Doświadczenie na-byte we wczesnych latach dzieciństwa - przed przegarnięciem go przez St. Patrick's - gdy był złodziejaskiem ulicznym w dżungli Kalkuty, nie poszło na marne.

Ale coś go zatrzymało. Stracił Michaela z oczu, kiedy rozdzielili się na antresoli pełnej błota. Teraz nawet nie słyszał krzyków uciekającego w przerażeniu przyjaciela. Głuchy na głos rozsądku cofnął się do wejścia na antresolę. Po Michaelu i gonącym go potworze nie pozostał

nawet ślad. On sam być może tylko dzięki temu był cały i zdrowy, że jego prześladowca ruszył za Michaeliem. Poczul jakby cios stalowej pięści wymierzony prosto w żołądek. Znalazłszy się wewnątrz antresoli, zaczął się rozglądać za Michaeliem.

- Michael! - krzyknął najgłośniejszym głosem, jak mógł. Nikt nie odpowiedział.

Roshan westchnął ciężko. Przez chwilę zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. Nie wiedział, czy ma zostawić Michaela i pójść po resztę, czy też wejść do środka i poszukać go samemu. Żadne rozwiązanie nie wydawało mu się dobre.

Ktoś jednak podjął już decyzję za niego. Z drzwi tuż nad poziomem podłogi wyrosły nagle dwie długie gliniane ręce - dwa pociski skierowane w jego stopy. Wokół kostek Roshana zacisnęły się żelazne szpony. Mimo iż chłopak szamotał się rozpaczliwie, próbując się uwolnić, padł na ziemię, a gliniane ręce pociągnęły go z powrotem na antresolę, jak dziecko, które ciągnie za sobą zepsuta zabawkę.

* * *

Z pięciu chłopców, którzy umówili się pod dworcowym zegarem za pół godziny, na spotkanie przyszedł tylko Ian.

Nigdy dworzec nie wydawał mu się taki pusty i złowrogi jak w tej chwili. Dręczył go niepokój o los Setha i całej reszty. Szybko uświadomił sobie swoje rozpaczliwe położenie: z całej paczki on jako jedyny nie wpadł jeszcze w łapy gospodarza tego ponurego miejsca.

Przebiegał nerwowo wzrokiem stację, zastanawiając się, co począć: cierpliwie czekać czy też mszyć na poszukiwanie kolegów, którzy być może potrzebowali pomocy. Przez kopułę musiała się przesączać drobna mżawka, bo coraz częściej na głowę spadała mu kolejna kropla, Ian za wszelką cenę starał się uspokoić, a przede wszystkim odegnąć od siebie myśl, że uderzające o szyny krople to cieknąca gdzieś z wysokości krew Setha.

Wskazówki zegara demonstrowały zniekształcony uśmiech. Po tarczy spływały strużki deszczu, rozwidlając się pomiędzy wypukłymi cyframi w srebrzyste nitki, Ian westchnął. Zaczynały mu puszczać nerwy. Wydawało mu się, że jeśli nie otrzyma natychmiast jakiegoś znaku życia od przyjaciół, będzie się musiał zapuścić w ślad za Benem w podziemne korytarze. Nie przychodziło mu do głowy nic mądrzejszego, ale w tym rozdaniu było mniej asów niż kiedykolwiek.

Raptem usłyszał trzask w jednym z tuneli. Odetchnął z ulgą na myśl o tym, że jednak nie jest sam.

Zbliżył się do krańca peronu i przyjrzał niewyraźnemu kształtowi pod nadprożem tunelu. Poczul na karku nieprzyjemne łaskotanie. Z

tunelu powoli wyłaniała się lora, poruszana siłą bezwładu. Widać było stojące na platformie krzesło, na nim zaś nieruchomą sylwetkę z głową okrytą czarnym kapturem, Ian przełknął ślinę.

Lora przejechała obok niego i stanęła. Ian stał wbity w ziemię, przypatrując się nieruchomej postaci na krześle, by po chwili usłyszeć, ku swemu zaskoczeniu, własny głos, w którym znać było narastające w głębi serca podejrzenia.

- Seth? - jęknął.

Postać na krześle ani drgnęła, Ian podszedł do lory i skoczył na platformę. Jedyne jej pasażer nie dawał najmniejszych oznak życia.

Powoli, jakby z każdym metrem ubywało mu sił, Ian pokonał odległość dzielącą go od krzesła. Wreszcie zatrzymał się tuż przed nim.

- Seth? - szepnął raz jeszcze.

Spod kaptura wydobył się dziwny dźwięk, jakby zgrzytanie zębami, Ian poczuł, jak żołądek kurczy mu się do wielkości piłki do krykieta.

Stłumiony odgłos rozległ się ponownie, Ian chwycił za kaptur, w myślach policzył do trzech, po czym zamknął oczy i zsunął go.

Kiedy ponownie je otworzył, zobaczył twarz przypatrującą mu się wytrzeszczonymi oczyma i z błazeńskim uśmiechem. Kaptur wypadł mu z rąk. Stał przed kukłą o bladej jak porcelana twarzy i dwóch czarnych rombów zamiast oczu. Z kącika lewego oka spływała po policzku ogromna łza ze smoły.

Kukła znowu zazgrzytała zębami, Ian przyjrzał się uważnie tej groteskowej postaci odpustowego arlekina, usiłując zarazem dociec, co stoi za tym dziwnym pomysłem. Ostrożnie wyciągnął rękę ku

twarży pałuby, próbując zbadać mechanizm, który nią poruszał.

Z kocią zręcznością prawe ramię lalki opadło na jego rękę. Zanim zdążył się zorientować, poczuł, jak wokół lewego nadgarstka zatrzasują mu się kajdanki. Druga ich część przyczepiona była do ramienia kukły.

Chłopiec, próbując się wyrwać, szarpał się rozpaczliwie, ale kukła przytroczona do lory jedynie zazgrzytała zębami. A kiedy pojął, że nie zdoła uwolnić się bez czyjejs pomocy, lora ruszyła w swoją powrotną podróż ku ciemnej czeluści tunelu.

* * *

Ben zatrzymał się w łączniku pomiędzy dwoma tunelami, by zastanowić się, czy przypadkiem nie przechodził już tędy wcześniej. Od momentu kiedy zapuścił się w tunele Jheeter's Gate, narastało w nim przekonanie, że kręci się w kółko.

Wyciągnął jedną z zapalek, zapobiegliwie przechowywanych na czarną godzinę, i zapalił ją, ostrożnie pocierając łepiek o ścianę. Ciepła łuna płomyka rozświetliła otaczający go szary półmrok. Przyjrzał się wywietrznikowi wybitemu tuż nad jego głową, w suficie tunelu, w którym ginęły szyny.

Podmuch duszącego powietrza zgasił zapalkę. Ben znów znalazł się w półmroku, w którym wydawało się, że wszystkie drogi prowadzą donikąd. Zaczął podejrzewać, że być może po prostu zablądził i że jeśli będzie kontynuował tę wędrówkę po zagmatwanym podziemnym świecie, wyjście stąd może mu zająć wiele godzin albo nawet wiele dni.

Rozsądek podpowiadał mu, że powinien wrócić tą samą drogą do głównej części dworca.

Im bardziej próbował wyobrazić sobie, jak wygląda ten labirynt tuneli,

poprzecinanych

systemem

kanałów

wentylacyjnych

i

połączonych z nimi korytarzy i przejść, tym bardziej ogarniało go absurdalne przekonanie, że cała ta przestrzeń obraca się wokół niego. Zmiana drogi doprowadziłaby go z powrotem do punktu wyjścia.

Postanawiając, że nie da się wciągnąć w zawiłą sieć podziemnych korytarzy, odwrócił się i ruszył szybkim krokiem, by zdążyć na umówioną zbiórkę pod dworcowym zegarem. Gdy tak szedł ciągnącymi się bez końca korytarzami Jheeter's Gate, przyszło mu na myśl, iż być może istnieje dziwne prawo fizyki, głoszące, że przy braku światła czas płynie szybciej.

Czując się, jakby już przeszedł wiele mil, nagle ujrzał, że przy ujściu galerii pojawiła się niska poświata, przesączająca się, jak mniemał, do środka Jheeter's Gate przez kopułę hali głównej. Odetchnął

z ulgą i pobiegł w kierunku światła, przekonany, że wreszcie po tej niekończącej się wędrówce wyrwie się z koszmarne labiryntu.

Ale kiedy dotarł do końca tunelu i znalazł się w wąskim wąwozie torów pomiędzy dwoma peronami, fala optymizmu sprzed paru chwil opadła gwałtownie, ustępując miejsca kolejnemu niepokojowi. Dworzec był opustoszały. Ben nie mógł dojrzeć nikogo z członków Chowbar Society.

Jednym susem znalazł się na peronie i przebiegł kilkadziesiąt metrów dzielących go od kolumny dworcowego zegara. Towarzyszyło mu jedynie echo własnych kroków i groźne pomruki burzy. Obszedł

kolumnę

i

zatrzymał

się

pod

ogromnym

cyferblatem

ze

zniekształconymi wskazówkami. Nie musiał sprawdzać godziny na swoim zegarku, żeby się zorientować, że ustalona przez wszystkich pora zbiórki dawno już minęła.

Oparł się o poczerńiałe cegły kolumny zegarowej i pomyślał, że jego propozycja rozdzielenia się dla większej skuteczności poszukiwań nie przyniosła spodziewanych rezultatów. Tyle że wtedy, kiedy przekraczał próg Jheeter's Gate, towarzyszyli mu przyjaciele, a teraz został sam. Najpierw stracił Sheere, później resztę członków Chowbar Society.

Rozległ się wściekły ryk burzy, która jednym kłapnięciem szczęk rozdarła niebo na pół. Ben postanowił wyruszyć na poszukiwanie przyjaciół. Było mu wszystko jedno, czy będzie ich szukać tygodniami, czy miesiącami. Karty zostały rozdane i nic innego zrobić nie mógł.

Poszedł w kierunku głównego peronu, a potem tylnego skrzydła Jheeter's Gate, gdzie znajdowały się biura i poczekalnie, sklepiki i straganiki, kawiarnie i restauracje, zmienione w pogorzelisko już w pierwszych minutach funkcjonowania. W jednej z poczekalni jego uwagę zwróciła leżąca na podłodze lśniąca tkanina.

O ile go pamięć nie myliła, kiedy przechodził tędy po raz pierwszy, jeszcze zanim zagłębił się w tunele, niczego podobnego tam nie było.

Przyspieszył kroku. Nie zauważył, że jakaś nieruchoma postać czeka na niego w ciemnościach.

Ukląkł przed satynowym sari i dotknął go z niepokojem. Materiał

przesiąknięty był ciemną i ciepłą cieczą, która wydała mu się znajoma i napawała go instynktownym obrzydzeniem. Pod sari rysował się kształt, który skojarzył mu się z rozmontowanymi częściami jakiegoś przedmiotu. Wyjął z kieszeni pudełko zapalek, chcąc uważnie przyjrzeć się znalezisku, ale zobaczył, że została mu tylko jedna.

Postanowił zostawić ostatnią zapalną na czarną godzinę. Wytężył

wzrok, usiłując dojrzeć jak najwięcej szczegółów, które mogłyby go naprowadzić na ślad przyjaciół.

- Musisz przyznać, Ben, że przyglądanie się własnej krwi należy do niezwykłych doświadczeń, nieprawdaż? - usłyszał głos Jawahala za swoimi plecami. - Krew twojej matki, podobnie jak i ja, nie może znaleźć odpoczynku.

Ben poczuł, jak ręce zaczynają mu dygotać. Odwrócił się powoli.

Jawahal siedział na skraju metalowej ławki niczym złowrogi król ciemności na tronie wzniesionym pośród zgliszcz i zniszczenia.

- Nie korci cię, by zapytać mnie o swoich przyjaciół? - zdziwił się Jawahal. - Pewnie obawiasz się, że odpowiedź byłaby niezbyt optymistyczna.

- A gdybym spytał, to czy dostałbym w ogóle jakąś odpowiedź? -

odparł chłopiec, stojąc wciąż nieruchomo przy zakrwawionym sari.

- Być może - uśmiechnął się Jawahal.

Ben starał się unikać hipnotyzującego wzroku Jawahala, a przede wszystkim odpędzać od siebie absurdalną myśl - powracającą niby mantra kołacząca się po zakamarkach mózgu - że to ponure widmo, z którym właśnie rozmawiał pośród scenerii żywcem wziętej z piekła, to jego ojciec lub to, co z niego zostało.

- Dręczą cię jakieś wątpliwości? - zapytał Jawahal, któremu rozmowa zdawała się sprawiać nieziemską frajdę.

- Pan nie jest moim ojcem. Mój ojciec nigdy nie skrzywdziłby Sheere - wypalił Ben roztrzęsiony.

- A kto ci powiedział, że mam zamiar ją skrzywdzić?

Ben zmarszczył czoło, przyglądając się, jak Jawahal wyciąga dłoń w rękawiczce i zanurza ją w

kałuży krwi u swoich stóp, a następnie unosi zbroczone palce ku twarzy i maże krwią czoło i policzki.

- Posłuchaj, Ben - zaczął Jawahal. - Bardzo dawno temu kobieta, której krew została przelana w tym miejscu, była moją żoną i matką moich dzieci, przy czym jedno z nich nosiło twoje imię. To ciekawe, jak wspomnienia przeistaczają się czasem w koszmary.

Ciągle ją opłakuję. Dziwi cię to? Jak myślisz, kim jest twój ojciec?

Tym człowiekiem, który żyje w moich wspomnieniach, czy tym widmem bez życia, które siedzi naprzeciwko ciebie? Dlaczego miałbyś uważać, że między jednym a drugim istnieje jakaś różnica?

- Różnica jest oczywista. - Ben nie zwlekał z odpowiedzią. - Mój ojciec był dobrym człowiekiem. A pan jest wyłącznie mordercą.

Jawahal spuścił głowę i skinął nieznacznie. Ben odwrócił się doń plecami.

- Nasz czas się kończy - powiedział Jawahal. - Nadeszła pora, byśmy zmierzyli się z naszym przeznaczeniem. Każdy ze swoim. Teraz już wszyscy jesteśmy dorośli, nieprawdaż? Czy wiesz, czym jest dorosłość? Pozwól, by twój ojciec ci to wytłumaczył. Dorosłość nie jest niczym więcej niż odkrywaniem, że wszystko, w co wierzyłeś, kiedy byłeś młody, to fałsz, a z kolei wszystko to, co w młodości odrzucałeś, teraz okazuje się prawdą. Wobec tego, synu, kiedy zamierzasz dorosnąć?

- Nie sądzę, by interesowała mnie pańska filozofia - z pogardą odparł chłopak.

- Czas ci o niej przypomni, synu.

Ben odwrócił się i z nienawiścią spojrział na Jawahala.

- Czego pan chce? - warknął.

- Chcę spełnić pewną obietnicę. Obietnicę, która trzyma mnie przy życiu.

- A co takiego sobie pan obiecał? - zapytał Ben. - Że popełni pan jeszcze jedno morderstwo? Popisowy numer na do widzenia?

Jawahal popatrzył na niego z politowaniem i spokojnie zaczął

wywód.

- Różnica między zbrodnią a popisowym numerem to kwestia perspektywy. Obiecałem sobie znaleźć nową siedzibę dla własnej duszy.

A tę siedzibę zapewnią mi moje dzieci, czyli wy.

Ben zacisnął zęby, czując, jak krew rozsadza mu skronie.

- Pan nie jest moim ojcem - powiedział, starając się panować nad sobą. - A jeśli nawet kiedyś pan nim był, to wstydzę się tego.

Jawahal zaśmiał się protekcyjnie.

- Musisz zrozumieć, że na wybór dwóch rzeczy w życiu nie masz najmniejszego wpływu. Nie wybierasz swoich wrogów, to po pierwsze.

A po drugie, nie wybierasz rodziny. Czasem trudno uchwycić różnicę między pierwszymi a drugimi. Ale z czasem pojmujesz, że w rezultacie mogły ci выпаść gorsze karty. Życie, mój synu, to jakby pierwsza rozgrywana przez ciebie partia szachów. Kiedy zaczynasz rozumieć, o co w tej grze chodzi, okazuje się, że już przegrałeś.

Niespodziewanie Ben rzucił się na Jawahala z całą po-wstrzymywaną dotychczas furią. Jawahal, który siedział na skraju ławki, nie wykonał najmniejszego ruchu. Kiedy chłopiec przeszedł przez widmo, postać rozwiała się w powietrzu niczym dym. Ben runął na ziemię, czując równocześnie, jak wystająca z ławki zardzewiała śruba rozcina mu czoło.

- Szybko nauczysz się jednego - rozległ się głos Jawahala za jego plecami - zanim rzucisz się na wroga, wczuj się w jego sposób myślenia.

Ben otarł spływającą mu po twarzy krew i odwrócił się, nasłuchując w półmroku, skąd dochodzi głos. Dostrzegł wyraźnie sylwetkę Jawahala, tym razem na drugim skraju ławki. Zdezorientowany poczuł

się, jakby przed chwilą przeszedł przez zwierciadło, padając ofiarą przemysłnej sztuczki rodem z gabinetu luster.

- Nic nie jest tym, czym się wydaje - powiedział Jawahal. -

Powinieneś to już być zauważyć w tunelach. Projektując to miejsce, zadbałem o to, by kryło w sobie wiele niespodzianek, znanych tylko mnie. Lubisz matematykę? Matematyka jest religią ludzi myślących, dlatego też ma tak nielicznych adeptów. Szkoda, że ani ty, ani twoi przyjaciele nigdy się stąd nie wydostaniecie, gdyż moglibyście wyjawic światu niektóre z tajemnic tej budowli. Mając choć odrobinę szczęścia, otrzymalibyście w zamian tylko lekceważenie, zawiść i pogardę, jak ten, który owe tajemnice wymyślił.

- Oślepiła pana nienawiść. Już dawno temu.

- Wprost przeciwnie - odparł Jawahal - nienawiść otworzyła mi oczy. A teraz będzie dla ciebie lepiej, żebyś i ty otworzył oczy, bo choć widzisz we mnie jedynie pospolitego mordercę, przekonasz się, że otrzymasz szansę uratowania siebie i swoich przyjaciół. Której ja nie miałem.

Jawahal wstał i zbliżył się do Bena. Chłopiec przełknął ślinę, gotów w każdej chwili rzucić się do ucieczki. Tamten zatrzymał się dwa metry przed nim, bez pośpiechu skrzyżował ręce i lekko się skłonił.

- Miło mi było z tobą porozmawiać, Ben - powiedział uprzejmie. -

A teraz szukaj mnie.

Zanim Ben zdążył cokolwiek powiedzieć lub wykonać jakikolwiek gest, sylwetka Jawahala w jednej chwili zajęła się ogniem i wystrzeliła wirującym płomieniem ku sklepieniu dworca, zakreślając świetlisty łuk.

W parę sekund gorejący snop zagłębił się w tunele niczym rozżarzona strzała, pozostawiając za sobą fajerwerk iskier, które powoli opadały i gasły w ciemności, oświetlając przedtem drogę.

Ben raz jeszcze spojrzął na zakrwawione sari, po czym wszedł w tunel, przekonany, że tym razem, nieważne, którą drogą pójdzie, każda doprowadzi go do celu.

* * *

Pośród ciemności Ben dostrzegł zarys pociągu. Obserwując niekończący się skład wagonów strawionych przez ogień, pomyślał, że ma przed sobą truchło gigantycznego metalowego węża, który wymknął

się z diabolicznej wyobraźni Jawahala. Zbliżywszy się, rozpoznał

pociąg, który nie tak dawno na jego oczach przejechał przez ścianę sierocińca, spowity w płomienie, z uwięzionymi w wagonach duszami setek dzieci usiłujących się wydostać z tego wiecznego piekła. Pociąg stał teraz ciemny i nieruchomy i nic nie wskazywało na to, by w środku mogli się znajdować przyjaciele z Chowbar Society.

Niemniej intuicja podpowiadała mu coś zupełnie przeciwnego.

Minał lokomotywę i zaczął iść wzdłuż wagonów, zaglądając przez okno do każdego. W połowie drogi zatrzymał się i obejrzał. Czoło pociągu okryła ciemność. Już miał pójść dalej, kiedy kątem oka dostrzegł

przyglądającą mu się przez okno pobliskiego wagonu śmiertelnie bladą twarz.

Odwrócił się gwałtownie i poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła. Poczul na sobie spojrzenie czarnych oczu mniej więcej siedmioletniego dziecka, które obserwowało go uważnie. Przełknął ślinę i zbliżył się do wagonu. Dziecko otwarło usta i wydobyły się z nich płomienie, spopielaając całą twarz, jakby to była fotografia. Ben, czując lodowaty chłód na karku, ruszył dalej, nie zwracając uwagi na przeraźliwy szum dziesiątek głosów dobiegający z wnętrza pociągu.

W końcu dotarł do ostatniego wagonu i uchylił drzwi. Wewnątrz jarzyły się setki świec. Wszedł do środka. Twarze Isobel, Iana, Setha, Michaela, Siraja i Roshana rozjaśniły się. Chłopak odetchnął z ulgą.

- Jesteśmy w komplecie. Możemy przystąpić do gry - usłyszał tuż obok znajomy głos.

Odwrócił się powoli i zobaczył Jawahala trzymającego Sheere.

Drzwi wagonu zamknęły się, jakby zatrzasnęła się kasa pancerna.

Jawahal puścił Sheere. Dziewczyna podbiegła i przytuliła się do brata.

- Nic ci nie jest? - zapytał Ben.

- Oczywiście, że nic jej nie jest - odpowiedział za nią Jawahal.

- A wy? W porządku? - Ben zwrócił się, ignorując Jawahala, do pozostałych członków Chowbar Society, którzy siedzieli spętani na podłodze.

- W jak najlepszym - odparł Ian.

Obaj wymienili się spojrzeniami, które starczyły za tysiące słów.

Ben kiwnął głową.

- Może i się trochę potłukli, ale to przez własną niezdarność -

wtrącił Jawahal.

Ben puścił Sheere i spojrzał w jego stronę.

- Niech pan wreszcie powie, o co panu chodzi?

Na twarzy Jawahala pojawił się grymas zdziwienia.

- A cóż to? Nerwy? Tak ci spieszno? Szesnaście lat czekałem na tę chwilę, więc mogę poczekać minutę dłużej. Zwłaszcza że mnie i Sheere połączyła szczególna więź.

Myśl o tym, że Jawahal wyjawiał Sheere swoją tożsamość, nie dawała Benowi spokoju. Jawahal zdawał się czytać w jego myślach.

Cała sytuacja go bawiła.

- Nie słuchaj go, Ben - odezwała się Sheere. - Ten człowiek zabił

naszego ojca. Wszystko, co stara się nam wmówić, jest warte tyle, co ta kupa złomu, w której nas więzi.

- To niesprawiedliwe mówić tak o przyjacielu - spokojnie upomniął

ją Jawahal.

- Niedoczekanie pańskie...

- Nasze zaprzyjaźnienie się, Sheere, jest tylko kwestią czasu -

szeptnął Jawahal.

Raptem opanowany uśmiech zniknął z ust ich prześladowcy.

Jawahal wykonał nieznaczny gest, a Sheere, jak wystrzelona z procy, poleciała na drugi koniec wagonu.

- A teraz odpocznij sobie. Niebawem na zawsze będziemy razem...

Dziewczyna, uderzywszy o metalową ścianę, padła na podłogę bez czucia. Ben rzucił się ku niej, ale żelazny uścisk Jawahala zatrzymał go w miejscu.

- Nigdzie nie pójdziesz - powiedział Jawahal i objąwszy pozostałych lodowatym spojrzeniem, dodał:
- Następny, który będzie miał coś do powiedzenia, zacznie pluć ogniem.

- Proszę mnie puścić - zawył Ben, czując, że ręka ściskająca go za szyję zaraz skręci mu kark.

Jawahal puścił i Ben runął na ziemię.

- Wstawaj i słuchaj! - rozkazał Jawahal. - O ile wiem, tworzycie coś w rodzaju konfraterni i przyrzekliście wspierać się i troszczyć o siebie aż do śmierci. Czy to prawda?

- Tak, to prawda - odezwał się siedzący na podłodze Siraj.

Niewidzialna pięść uderzyła chłopca i powaliła go jak szmacianą kukielkę.

- Nie ciebie pytałem - rzekł Jawahal. - Ben, odpowiesz mi czy zrobimy mały eksperyment z astmą twojego przyjaciela?

- Niech pan go zostawi w spokoju. Tak, to prawda - odparł Ben.

- Dobrze. Pozwól więc, że pogratuluję ci pomysłu przyprowadzenia tu twoich przyjaciół. Dowód pierwszorzędnej troski, nie ma co.

- Mówił pan, że da nam szansę - przypomniał Ben.

- Wiem, co mówiłem. Ile jest warte dla ciebie życie każdego z twoich przyjaciół?

Ben pobladł.

- Nie rozumiałeś pytania czy chcesz, żebym uzyskał odpowiedź
inaczej?

- Jest dla mnie warte tyle co moje własne.

Jawahal uśmiechnął się lekko.

- Trudno mi w to uwierzyć - powiedział.

- Guzik obchodzi mnie to, w co pan wierzy, a w co pan nie wierzy.

- W takim razie przekonamy się, czy twoje piękne słowa mają pokrycie w rzeczywistości, Ben - oświadczył Jawahal. - Umowa jest następująca. Jest was siedmioro, nie licząc Sheere. Jej ta gra nie dotyczy.

Dla każdego z was przygotowałem skrzyneczkę, a w niej... małą niespodziankę.

Jawahal wskazał ustawione w rzędzie drewniane skrzynki, pomalowane na różne kolory i przypominające nieco skrzynki pocztowe.

- Każda skrzynka ma z przodu otwór, przez który można wsunąć rękę do środka, ale wyjmie się ją dopiero po chwili. Coś w rodzaju pułapki dla ciekawskich. Wyobraź sobie, Ben, że w każdej ze skrzynek znajduje się życie jednego z twoich przyjaciół.

W gruncie rzeczy tak właśnie jest, bo w pudełkach umieściłem drewniane tabliczki z waszymi imionami. Możesz wsunąć rękę, a potem ją wyjąć. W zamian za każdą skrzynkę, do której włożysz rękę i z której wyciągniesz ów swoisty paszport, puszczyć wolno jedno z was. Ale oczywiście nie wszystko jest takie proste. W jednej ze skrzynek zamiast życia kryje się śmierć.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - zapytał Ben.

- Widziałeś kiedyś kobrę, Ben? Mała bestyjka o złośliwym usposobieniu. Znasz się na węzach?

- Wiem, co to jest kobra - odparł sucho Ben, czując, że kolana się pod nim uginają.

- W takim razie oszczędzę ci szczegółów. Wystarczy, że powiem ci, że w jednej ze skrzynek jest kobra.

- Ben, nie rób tego - wyjąkał Ian.

Jawahal posłał mu mordercze spojrzenie.

- Czekam na odpowiedź, Ben. Nikt w całej Kalkucie nie zaproponuje ci korzystniejszej umowy. Siedem żyć i tylko jedna możliwość omyłki.

- Skąd mogę wiedzieć, że pan nie kłamie? - zapytał Ben.

Jawahal uniósł długi palec wskazujący i pokręcił przecząco głową tuż przy twarzy Bena.

- Kłamstwo to jedna z rzeczy, do których nie uciekam się nigdy. I dobrze o tym wiesz. A teraz decyduj. Jeśli nie masz odwagi przystąpić do gry i udowodnić, że twoi przyjaciele są ci rzeczywiście tacy drodzy, jak chcesz nam wmówić, powiedz to wyraźnie, a zaprosimy do gry kogoś z większą

fantazją.

Ben wytrzymał spojrzenie Jawahala i w końcu skinął głową.

- Ben, nie! - powtórzył Ian.

- Powiedz przyjacielowi, żeby się zamknął - polecił Jawahal - w przeciwnym razie będę zmuszony mu pomóc.

Ben spojrzał na Iana błagalnie.

- Nie utrudniaj sprawy, Ian.

- Ian ma rację - wtrąciła Isobel. - Jeśli chce nas zabić, niech sam to zrobi. Nie daj się oszukać.

Ben uniósł rękę, jakby prosząc o ciszę. Potem stanął twarzą w twarz wobec Jawahala.

- Mam pańskie słowo?

Jawahal popatrzył na niego przeciągle i w końcu przytaknął.

- Nie traćmy więc czasu - rzekł Ben, podchodząc do skrzynek.

* * *

Chłopak przyjrzał się uważnie siedmiu drewnianym skrzynkom pomalowanym na różne kolory, starając się odgadnąć, w której z nich może kryć się kobra. Rozszyfrowanie sposobu myślenia autora tej perfidnej gry wydawało mu się trudniejsze niż ułożenie układanki bez znajomości obrazka. Kobra mogła znajdować się w którejś ze skrzynek stojących po bokach, ale równie dobrze w środkowej; mogła być w tej pomalowanej na żywy kolor albo w zupełnie czarnej. Mógł zakładać wszystko. Nie miał pojęcia, którą wybrać. W głowie miał kompletną pustkę.

- Najtrudniejszy jest pierwszy raz - szepnął mu do ucha Jawahal. -

No, dalej, nie zastanawiaj się.

Ben spojrzał mu w oczy, ale nie dostrzegł w nich niczego prócz własnej bladej, wystraszonej twarzy. Policzył w myślach do trzech, zamknął oczy i błyskawicznie włożył rękę do jednej ze skrzynek.

Spodziewał się poczuć szorstki dotyk pokrytego łuskami ciała i ból śmiertelnego ukąszenia. Sekundy dłużyły mu się w nieskończoność. Nic się jednak nie stało. Po chwili oczekiwania na śmierć wyczuł opuszkami palców drewnianą tabliczkę. Jawahal uśmiechnął się do niego z satysfakcją.

- Dobry wybór. Czerń. Kolor przyszłości.

Ben wyjął tabliczkę. Przeczytał napisane na niej imię. Siraj. Posłał

Jawahalowi pytające spojrzenie, a on przytaknął. Rozległ się szcęk kajdanków krępujących chuderlawego chłopaka.

- Siraj - powiedział Ben rozkazującym tonem - wysiadaj z pociągu i uciekaj stąd.

Siraj, rozcierając zbolełe nadgarstki, spojrzął na przyjaciół przybity.

- Nie mam zamiaru się stąd ruszać - odpowiedział.

- Zrób to, o co prosi cię Ben - polecił Ian, siląc się na spokój.

Siraj pokręcił głową. Isobel spróbowała się uśmiechnąć.

- Siraj, odejdz stąd - powiedziała błagalnym tonem. - Zrób to dla mnie.

Chłopiec zawahał się, zbity z tropu.

- Nie będziemy dyskutować przez całą noc - odezwał się Jawahal. -

Albo idziesz, albo zostajesz. Tylko głupcy nie potrafią docenić, kiedy szczęście się do nich uśmiecha. A tej nocy wyczerpałeś swoją rezerwę szczęścia na całe życie.

- Siraj - rozkazał Ben. - Zmykaj stąd, ale już. Pomóż mi trochę.

Siraj posłał Benowi pełne rozpaczony spojrzenie, ale przyjaciel patrzył

na niego twardo i zdecydowanie. W końcu Siraj pokiwał głową i ze wzrokiem wbitym w podłogę ruszył ku drzwiom wagonu.

- Nie zatrzymuj się, zanim nie dojdiesz do rzeki - powiedział

Jawahal - bo gorzko tego pożałujesz.

- Tak robi - zapewnił Ben za przyjaciela.

- Będę na was czekał - jęknął Siraj, stojąc już na stopniu wagonu.

- Na razie, Siraj - odpowiedział Ben. - Idź już.

W tunelu rozległy się kroki odchodzącego chłopca. Jawahal uniósł

brwi, dając do zrozumienia, że gra toczy się dalej.

- Spełniłem obietnicę, Ben. Teraz twoja kolej. Masz o jedną skrzynkę mniej. Łatwiej podjąć decyzję. Wybieraj szybko, a kolejny z twoich przyjaciół ocali życie.

Ben utkwiał wzrok w skrzynce leżącej tuż obok tej, którą wybrał

poprzednio. Mógł sięgnąć do tej albo którejkolwiek innej. Powoli wyciągnął dłoń, zatrzymał się jednak o centymetr od otworu.

- Jesteś pewien, Ben? - zapytał Jawahala.

Chłopak spojrzał na niego z rozpaczą w oczach.

- Zastanów się dobrze. Twój pierwszy wybór był znakomity, nie popsuj tego teraz.

Ben uśmiechnął się do Jawahala z pogardą i wsunął dłoń do wybranej skrzynki. Źrenice Jawahala zwęziły się jak u kota. Ben wyjął

tabliczkę i odczytał napisane na niej imię.

- Seth - powiedział. - Jesteś wolny.

Kajdanki Seta otworzyły się natychmiast. Zdenerwowany chłopak podniósł się z ziemi.

- To wszystko mi się nie podoba - powiedział.

- Mnie podoba się jeszcze mniej - odparł Ben. - A teraz uciekaj.

Dopilnuj, żeby Siraj się nie zgubił.

Seth pokiwał głową i z ciężkim sercem ruszył do wyjścia, świadom, że próba sprzeciwienia się Benowi wszystkim źle wróży. Pożegnał się wzrokiem z przyjaciółmi i podszedł do drzwi. Stojąc przy nich, spojrzał

raz jeszcze na członków Chowbar Society.

- Wyjdziemy z tego cało, prawda?

Przyjaciele

pokiwali

głowami,

choć

rachunek

praw-

dopodobieństwa wydawał się podpowiadać zupełnie co innego.

- A jeśli chodzi o pana - dodał Seth, wskazując na Jawahala - dla mnie jest pan tylko kupą gnoju.

- Łatwo ci zgrywać bohatera, kiedy wychodzisz stąd o własnych siłach, zostawiając przyjaciół na pewną śmierć, co, Seth? Możesz wyzywać mnie do woli, jeśli tego pragniesz, chłopcze. Nic ci nie zrobię.

Ty pewnie będziesz spał spokojniej, wspominając tę noc, a niektórych spośród tu obecnych będą zżerać robaczki. I zawsze będziesz mógł

opowiadać, że ty, nieustraszony Seth, nawymyślałeś czarnemu charakterowi, co? Ale w głębi duszy i ty, i ja wiemy, jaka jest prawda.

Mam rację, Seth?

Twarz

Setha

zapłonęła

wściekłością.

Obrzucił

Jawahala

spojrzeniem pełnym dzikiej nienawiści i ruszył w jego stronę, ale Ben stanowczo stanął mu na drodze i zatrzymał go.

- Proszę cię, Seth - szepnął mu do ucha - idź już. Błagam.

Seth popatrzył na Bena i zrezygnowany pokiwał głową. Potem ścisnął go mocno za ramię. Ben zaczekał, aż przyjaciel wyjdzie z wagonu, po czym zwrócił się do Jawahala.

- Tego nie było w umowie - powiedział z wyrzutem Ben. - Nie mam zamiaru kontynuować gry, jeśli pan nie obieca, że przestanie się pastwić nad moimi przyjaciółmi.

- Wiem, że czy chcesz, czy nie, będziesz grał dalej. Nie masz innego wyjścia. Ale okażę dobrą wolę i zatrzymam dla siebie uwagi na temat twoich przyjaciół. A teraz do dzieła.

Ben spojrział na pięć pozostałych skrzynek i zatrzymał wzrok na stojącej na końcu, po prawej stronie. Bez zbędnych ceregieli wsunął do niej dłoń i spróbował wymacać, co jest w środku. Jego palce znów dotknęły tabliczki. Odetchnął głęboko i usłyszał dookoła westchnienie ulgi.

- Anioł Stróż czuwa dziś nad tobą - powiedział Jawahala.

Chłopak tymczasem odczytał zapisane na tabliczce imię.

- Isobel.

- Szczęście sprzyja damie - zauważył Jawahal.

- Niech pan wreszcie przestanie - mruknął Ben, mając po wyżej uszu kąśliwych komentarzy, którymi Jawahal przypieczętowywał każdy etap tej makabrycznej gry.

- Isobel - powiedział. - Do rychłego zobaczenia.

Dziewczyna podniosła się z podłogi. Przeszła obok przyjaciół, spuściwszy głowę i powłócząc nogami, jakby miała stopy z ołowiu.

- Nie powiesz nic Michaelowi na pożegnanie, Isobel? - zapytał

Jawahal.

- Niech pan już da spokój - poprosił Ben. - Co chce pan osiągnąć?

- Wybierz następną skrzynkę, Ben - odparł Jawahal - a przekonasz się, co chcę osiągnąć.

Isobel wysiadła z wagonu, Ben tymczasem tasował w myślach cztery pozostałe skrzynki.

- Zdecydowałeś się już? - naciskał Jawahal.

Chłopak przytaknął i podszedł do skrzynki pomalowanej na czerwono.

- Czerwień. Kolor namiętności - powiedział Jawahal. - I ognia. No, dalej, Ben. Coś mi mówi, że dziś jest twoja szczęśliwa noc.

Sheere otworzyła oczy i zobaczyła, że Ben, wyciągnąwszy rękę, zbliża się do czerwonej skrzynki. Przez ułamek sekundy zmartwiała z przerażenia, ale błyskawicznie otrząsnęła się, skoczyła na równe nogi i rzuciła się do Bena, jak umiała najszybciej. Nie mogła dopuścić do tego, by jej brat wsadził do skrzynki rękę.

Życie ich wszystkich nie miało dla Jawahala żadnej wartości. Byli dla niego jedynie narzędziem, które miało mu posłużyć do tego, by popchnąć Bena do autodestrukcji. Jawahal pragnął, by to sam Ben podał

mu na tacy swoją śmierć, ułatwiając wszystko. Dzięki temu owo przeklęte widmo mogłoby przeniknąć do jej ciała i opuścić tunele, wcieliwszy się w istotę z krwi i kości. Istotę młodą, która przywróciłaby go światu tych, których chciał zniszczyć.

Jeszcze zanim Sheere wykonała jakikolwiek gest, rozumiała, że nie ma wyboru, że zostaje jej jedno jedyne wyjście, jeden ruch, który doszczętnie zburzy misterną konstrukcję Jawahala. Tylko ona mogła odmienić porządek zdarzeń, robiąc tę jedną jedyną rzecz w świecie, której Jawahal nie przewidział.

To, co nastąpiło później, wryło się w jej pamięci tak dokładnie, jakby chodziło o serię sztychów, w której zadbano o każdy, najdrobniejszy nawet szczegół.

Błyskawicznie pokonała dzielącą ją od brata odległość, omijając trzech leżących na ziemi spętanych członków Chowbar Society. Ben odwrócił się powoli i wyraz zdziwienia na jego twarzy ustąpił

przerażeniu na widok Jawahala, który wstał, wyciągając prawą dłoń z ognistymi szponami zamiast palców.

Sheere usłyszała krzyk Bena, zdławiony niczym urwane echo, i odepchnęła go z całej siły, nie pozwalając mu wsunąć dłoni do pułapki czerwonej skrzynki. Ben padł na ziemię, Sheere zaś ujrzała, jak widmowa sylwetka Jawahala wyrasta przed nią, a ogniste szpony sięgają jej twarzy. Spojrzała w oczy mordercy i wyczytała w nich rozpaczliwe niedowierzenie i bezsilną złość. Czas wokół nich zatrzymał się niczym stara karuzela.

Ułamek sekundy później Sheere wsunęła rękę w szkarłatną zasadzkę. Poczuła zaciskający się wokół przegubu zatrzask, który uwięził jej dłoń jak bezlitosna roszciska. Leżący u jej stóp Ben krzyknął i ognista pięść Jawahala wyrosła tuż przed jej oczyma. Ale Sheere uśmiechnęła się tryumfalnie, czując po chwili, jak kobra składa na jej ręce swój śmiertelny pocałunek i parzący wybuch trucizny rozpala krążącą w jej żyłach krew niczym iskra padająca na strumyczek benzyny.

* * *

Ben objął siostrę i wyciągnął jej dłoń z czerwonej skrzynki, jednak było już za późno. Na bladej skórze grzbietu jej dłoni widniały dwie krwawiące kreski. Sheere uśmiechnęła się z wysiłkiem. Widać było, że za chwilę straci przytomność.

- Nic mi nie jest - wyjąkała z trudem, ale zanim zdołała wymówić te słowa do końca, nogi odmówiły jej posłuszeństwa i osunęła się w ramiona Bena.

- Sheere! - krzyknął Ben.

Dziewczyna poczuła, jak ogarniają ją obezwładniające mdłości, a siły opuszczają nieubłaganie niczym piasek przesypujący się w klepsydrze. Ben przytulił mocniej siostrę i zaczął głaskać ją po twarzy.

Sheere otworzyła oczy, a na jej ustach pojawił się nikły uśmiech.

Twarz miała białą jak kreda.

- Wcale mnie to nie boli, Ben - jęknęła.

Chłopiec odczuwał każde jej słowo jak cios prosto w serce.

Podniósł wzrok w poszukiwaniu Jawahala. Zjawa stała nieruchomo, przyglądając się scenie z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Ich spojrzenia się spotkały.

- Nie tak miało być, Ben - powiedział Jawahal. - Nie kryję, że to nam wszystko utrudnia.

Ben poczuł, jak wzbiera w nim fala nienawiści niczym otwierająca się w duszy rysa.

- Jest pan niegodziwym mordercą - wycedził przez zęby.

Jawahal raz jeszcze spojrział na Sheere drżącą w ramionach Bena i pokręcił głową. Sprawiał wrażenie, jakby myślami był daleko stąd.

- Zostaliśmy tylko ty i ja - powiedział Jawahal. - Jak nie ona, to ty.

Pożegnaj się z nią i szukaj zemsty.

Twarz Jawahala skryła się za maską płomieni, a on sam odwrócił

się i przeszedł przez ścianę wagonu, zostawiając za sobą czarny otwór ociekający stopioną stalą.

Ben usłyszał trzask otwierających się kajdanków skuwających dotąd Iana, Michaela i Roshana. Ian podbiegł do Bena i Sheere i chwyciwszy rękę dziewczyny, przytknął usta do rany. Zaczął z całej siły wysysać truciznę i wypluwać piekącą krew. Michael i Roshan uklękli przy nich, patrząc z rozpaczą na Bena, który przeklinał w duchu sam siebie za to, że pozwolił upłynąć cennym sekundom i nie zrobił od razu tego co Ian.

W pewnej chwili chłopak podążył wzrokiem za śladami pozostawionymi przez Jawahala, topiącymi ściany wagonów niczym rozżarzone cygaro przytknięte do papieru. Wagony drgnęły gwałtownie i pociąg powoli ruszył przez tunel. Łoskot lokomotywy odbił się zwielokrotnionym echem po wszystkich podziemnych tunelach labiryntu Jheeter's Gate.

Ben odwrócił się do przyjaciół, a następnie spojrział wymownym wzrokiem na Iana.

- Zaopiekuj się nią - powiedział stanowczo.

- Nie, nie, Ben - zaprotestował Ian, czytając w myślach przyjaciela.

- Nie idź tam.

Ben jeszcze raz przytulił siostrę i pocałował ją w czoło.

- Wrócisz, żeby się ze mną pożegnać? - zapytała dziewczyna słabym głosem.

Chłopiec poczuł, jak łzy napływają mu do oczu.

- Kocham cię - szepnęła Sheere.

- Ja też cię kocham - odparł Ben, uświadamiając sobie zarazem, że mówi to po raz pierwszy w życiu.

Lokomotywa szarpnęła wściekle i przyspieszyła gwałtownie. Ben podbiegł do drzwi wagonu, przeskoczył rozżarzoną ranę w metalowej ścianie i ruszył w pościg za Jawahalem.

Minąwszy następny wagon, dostrzegł kątem oka, że za nim biegną Michael i Roshan. Nie namyślając się wiele, wskoczył na łączącą wagony platformę i jednym ruchem odczepił dwa ostatnie wagony i

wyrzucił sworzeń. Palce Roshana musnęły jego dłoń. Kiedy podniósł

głowę, zobaczył zrozpaczone spojrzenia zostających w tyle przyjaciół.

Pociąg popędził dalej, unosząc jego i Jawahala ku mrocznym czeluściom Jheeter's Gate. Zostali tylko oni dwaj.

* * *

Idąc w stronę lokomotywy, Ben odniósł wrażenie, że z każdym jego krokiem pociąg jedzie coraz szybciej w piekielnej podróży przez tunele.

Wagony trzęsły się tak mocno, że z trudem utrzymywał równowagę i posuwał się naprzód po płonących śladach stóp odcisniętych przez Jawahala w ziemi.

Udało mu się dotrzeć na drugą platformę, gdzie złapał się kurczowo metalowej poręczy, podczas gdy pociąg skręcał w dół zboczem, jakby schodził do środka ziemi. Kolejne szarpnięcia wstrząsnęło wagonami, a pociąg przyspieszył jeszcze bardziej. Ben, odzyskawszy równowagę, pobiegł znów śladem Jawahala. Koła pociągu wyrywały z torów drzazgi, iskrząc jak ostrza na lodzie.

Chłopak poczuł pod nogami wybuch. Spostrzegł, że żarłoczne języki ognia obejmują szkielet pociągu, podrywając resztki zwęglonego drewna, jakie tu jeszcze pozostały. Ogień rozsadził szklane odłamki, tkwiące w oknach jak kły w paszczy mechanicznej bestii. Ben rzucił się na ziemię, chroniąc twarz przed potokiem szkła rozbijającego się o ściany tunelu niczym krew rozbryzgująca się po wystrzale z przytkniętego do ciała pistoletu.

Kiedy się podniósł, dostrzegł w oddali Jawahala idącego pośród płomieni. Zrozumiał, że znajduje się niedaleko lokomotywy. Jawahal odwrócił się i Ben, mimo pierścieni błękitnego ognia wybuchających w pociągu niczym tornado prochu, dostrzegł na jego ustach zbrodniczy uśmiech.

- Chodź po mnie - usłyszał w myślach.

W pamięci Bena stanęła twarz Sheere. Zaczął powoli pokonywać odległość dzielącą go od ostatniego wagonu. Przechodząc przez zewnętrzną platformę, poczuł powiew zimnego powietrza na twarzy i zrozumiał, że zostawiali za sobą tunele i pędzili z zawrotną szybkością ku centralnej części dworca Jheeter's Gate.

* * *

Wracając przez tunele, Ian mówił do Sheere bez przerwy. Wiedział, że jeśli pozwoli jej się poddać śmiertelnemu zmęczeniu, paraliżującemu nieuchronnie całe ciało, dziewczyna nie ujrzy już światła dziennego.

Michael i Roshan pomagali mu ją nieść, ale żaden z nich nie był zdolny wydusić z siebie ani słowa.

Ian, zepchnąwszy na samo dno duszy dręczące go czarne myśli, opowiadał absurdalne anegdoty i co mu tylko ślina na język przyniosła, byle tylko nie pozwolić dziewczynie zasnąć. Sheere słuchała go z

wysiłkiem i kiwała głową bez przekonania, spoglądając na chłopaka półprzymkniętymi, nieobecny oczyma, Ian trzymał w dłoniach jej rękę, czując, jak puls zamiera powoli, ale nieubłagane.

- Gdzie Ben? - zapytała Sheere.

Michael spojrzał na Iana, który uśmiechnął się szeroko.

- Jest bezpieczny, Sheere - odpowiedział tamten spokojnym tonem.

- Poszedł sprowadzić lekarza, co w tych okolicznościach zakrawa mi na zwykłe grubiaństwo. Przecież ja jestem lekarzem. Może jeszcze nie teraz, ale któregoś dnia na pewno nim będę.

Co z niego za przyjaciel? Tak ufa moim umiejętnościom? Z każdym najdrobniejszym problemem leci po byle jakiego doktora. A takich medyków jak ja nie ma zbyt wielu. To dar, z którym człowiek się rodzi, i już. Intuicja mi podpowiada, że wyjdiesz z tego. Pod jednym warunkiem, nie wolno ci zasypiać. Nie śpisz, prawda?

Nie możesz spać, nie teraz. Twoja babcia już na nas czeka, niecałe dwieście metrów stąd, a ja sam nie dam rady wytłumaczyć jej, co się stało. Nawet nie będę próbował, bo wrzuci mnie do Hooghly, a mój statek odpływa przecież za parę godzin. Nie zamykaj oczu, musisz mi pomóc z twoją babcią. Dobrze, Sheere? Powiedz coś.

Sheere zaczęła ciężko dyszeć, Ian w jednej chwili zrobił się blady jak ściana. Potrząsnął dziewczyną z całej siły.

- Gdzie Jawahal? - zapytała.

- Nie żyje - skłamał Ian.

- Jak zginął? - zdołała wyjąkać Sheere.

Ian zawahał się przez chwilę.

- Pod kołami pociągu. Nie dało się nic zrobić.

Sheere usiłowała się uśmiechnąć.

- Nie umiesz kłamać, Ianie - szepnęła, z trudem wymawiając każde słowo.

Ian poczuł, że nie uda mu się już dłużej odgrywać przyjętej roli.

- W tym towarzystwie kłamcą jest Ben - powiedział. - Ja zawsze mówię prawdę. Jawahal nie żyje.

Sheere zamknęła oczy, a Ian dał znak Michaelowi i Roshanowi, by przyspieszyli kroku. Pół minuty później wpadający przez wejście do tunelu blask oświetlił ich twarze. W oddali widać było dworcowy zegar.

Czekali już pod nim Siraj, Isobel i Seth. Na zewnątrz, z dala od stalowych arkad Jheeter's Gate, na szkarłatnej linii horyzontu zapłonęły pierwsze światła świtu.

* * *

Ben zatrzymał się przed drzwiami ostatniego wagonu i stwierdziwszy, że są zamknięte, położył rękę na obrotowej klamce.

Klamka była rozgrzana do czerwoności, mimo to chłopak zacisnął zęby i przekręcił ją. Poczuł, jak płomienie kłują mu skórę. Ze środka buchnęły kłęby pary. Kopniakiem otworzył drzwi.

Jawahal, stojąc bez ruchu pośród gęstych wyziewów, przyglądał mu się w milczeniu. Ben zauważył diaboliczną maszynę i rozpoznał

wygrawerowany w metalu symbol ptaka powstającego z płomieni.

Jawahal opierał dłoń na drgającej płytce kotła, jakby pochłaniał całą kipiącą z niego energię. Ben przyjrzał się gmatwaninie wygiętych rurek, zaworów i bulgocących zbiorników z gazem.

- W poprzednim życiu byłem wynalazcą, synu - odezwał się Jawahal. - Mój umysł i moje dłonie były zdolne do tworzenia. Teraz potrafią jedynie niszczyć. To jest moja dusza, Ben. Zbliź się, zobacz, jak bije serce twojego ojca. Sam je stworzyłem. Czy wiesz, dlaczego nazwałem swój wynalazek Ognistym Ptakiem?

Ben spojrzał na Jawahala, ale nie odpowiedział.

- Tysiące lat temu istniało pewne przeklęte miasto, prawie tak samo nieszczęsne jak Kalkuta - zaczął Jawahal. - Nazywało się Kartagina.

Kiedy Rzymianie zdołali w końcu je zdobyć, nienawiść, jaką budziło w nich wszystko, co fenickie, była tak wielka, że nie wystarczyło im je zburzyć ani zabić kartagińskich kobiet, mężczyzn i dzieci. Postanowili zrównać je z ziemią, by nie pozostał nawet kamień na kamieniu.

Ale i tego było im mało. Konsul dowodzący rzymskimi oddziałami nakazał żołnierzom zaorać grunt, na którym stało miasto, i posypać teren solą, by już nigdy na tej przeklętej ziemi nie odrodziło się życie.

- Po co mi pan to wszystko mówi? - zapytał Ben, czując, że pośród wydostającego się z kotłów nieznośnego gorąca całe ciało zlewa mu pot.

- Tam właśnie przyszła na świat księżniczka, która rzuciła się w ogień, by przebłagać gniew bogów i odkupić ciężące na mieście grzechy. Ale nie zginęła, powróciła, zmieniona w boginię. Tak wielka jest moc ognia. Słyszałeś o Feniksie, potężnym ognistym ptaku odradzającym się z popiołów?

Jawahal pogładził maszyny, będące jego ostatnim dziełem, i uśmiechnął się.

- Ja również odrodziłem się z własnych popiołów, powróciłem, by zniszczyć ogniem swoich

potomków, wymazać ich ze świata na zawsze.

- Pan jest szalony - przerwał mu Ben. - Nie sądzi pan chyba, że pozwolę panu zamieszkać w swoim ciele?

- A kogo uważasz za szaleńca? - zapytał Jawahal. - Tego, kto dostrzega przerażenie w sercach bliźnich i dąży za wszelką cenę do pokoju? Czy tego, kto udaje, że nie widzi, co się dzieje wokół? Świat należy do szaleńców albo do hipokrytów. Tylko te dwa typy istnieją na ziemi. A ty musisz wybrać swój.

Ben popatrzył uważnie na stojącego przed nim mężczyznę. Po raz pierwszy zdawało mu się, że dostrzega w nim cień człowieka, który był

kiedyś jego ojcem.

- A ty, ojcze, który z nich wybrałeś? Który wybrałeś, by powrócić i siać śmierć wśród tych nielicznych, którzy naprawdę cię kochali? Nie pamiętasz już własnych słów? Nie pamiętasz opowiadania o łzach Śiwy, które zmieniły się w lód, gdy bóg przybył do Kalkuty i zobaczył, że mieszkańcy zapredali dusze wędrownemu czarownikowi?

Możesz odebrać życie i mnie, tak jak zabiłeś wszystkich, którzy stanęli na twojej drodze. Nie sądzę, by robiło to na tobie jakiegokolwiek wrażenie. Ale zanim mnie zabijesz, spójrz mi w twarz i powiedz, że nie zapredałeś swojej duszy temu czarownikowi. Powiedz mi to, z ręką na tym sercu buchającym ogniem, w którym się kryjesz, a pójdę za tobą do samego piekła.

Powieki Jawahala opadły ciężko. Zrezygnowany skinął głową. W

jego twarzy zaczęła zachodzić powolna zmiana, a spojrzenie przygasło pośród parzących oparów, pokonane, zgnębione. Spojrzenie wielkiego drapieżcy, który ranny wycofuje się w cień, by umrzeć.

Owa przelotna, trwająca zaledwie kilka sekund wizja, ten niespodziewany ślad wrażliwości wydał się Benowi bardziej poruszający niż wszystkie poprzednie widmowe wcielenia tego upiora, któremu nie było dane zaznać spokoju. W twarzy Jawahala, zniekształconej przez ogień i ból, Ben nie widział już morderczej pasji, dostrzegł w niej smutne odbicie swojego ojca.

Przez chwilę patrzyli na siebie niczym starzy znajomi, których los rozdzielił bardzo dawno temu.

- Sam już nie wiem, Ben, czy to ja napisałem tę historię, czy zrobił

to ktoś inny - powiedział w końcu Jawahal. - Nie wiem, czy to moje wspomnienia, czy wszystko tylko mi się śniło. Nie wiem, czy sam popełniłem te zbrodnie, czy są one dziełem innych rąk. Ale jakkolwiek by brzmiała odpowiedź, jednego jestem pewien: już nigdy nie napiszę historii podobnej do tej, którą pamiętasz, ani nie zrozumie jej przesłania.

Nie mam przyszłości, Ben. Nie ma już we mnie życia. Stoi przed tobą widmo, cień martwej duszy. Jestem nikiem. Człowiek, którym niegdyś byłem - twój ojciec - umarł dawno temu, zabrawszy z sobą wszystkie moje marzenia. I jeśli nie chcesz dać mi duszy, bym zamieszkał w niej na całą wieczność,

podaruj mi chociaż spokój. Teraz już tylko ty możesz mi zwrócić wolność. Przyszedłeś zabić kogoś, kto od dawna nie żyje, Ben. Spełnij więc swoją obietnicę albo połącz się ze mną w ciemnościach...

W tej chwili pociąg wyłonił się z tunelu i przemknął głównym torem Jheeter's Gate, buchając pod sufit kłębamii płomieni. Lokomotywa przejechała pod wielkimi arkadami stalowej konstrukcji i wypadała na zewnątrz, po torach ciągnących się niegdyś w dal, w stronę rozbłyskującego pierwszymi światłami widnokręgu.

Jawahal otworzył oczy. Ben ujrzał w nich przerażenie i niewysłowioną samotność, które więziły na świecie tę przeklętą duszę.

Pociąg pokonywał ostatnie metry dzielące go od nieistniejącego mostu, gdy Ben pomacał w kieszeni i wyciągnął pudełko z ostatnią zapalką. Jawahal przytknął rękę do zbiornika z gazem; kaskada pary spowiła go chmurą czystego tlenu. Kształty widma zaczęły się powoli zlewać z maszyną będącą jego siedzibą, a chmura gazu upodobniła je do szarego mirażu. Oczy Jawahala spojrzały na Bena po raz ostatni.

Chłopcu zdało się, że dostrzega płynącą po jego policzku samotną łzę.

- Uwolnij mnie, Ben - usłyszał w swojej głowie. - Teraz albo nigdy.

Ben wyjął zapalkę i zapalił.

- Żegnaj, ojciec - wyszeptał.

Lahawaj Chandra Chatterghee opuścił głowę, a Ben rzucił zapaloną zapalkę pod jego nogi.

- Żegnaj, Ben.

W tej chwili, przez ułamek sekundy, chłopiec odniósł wrażenie, że widzi tuż obok twarz zasnutą woalką światła. Kiedy płomienie wspinały się, niczym rzeka lawy, ku jego ojcu, owe smutne, głębokie oczy spojrzały na niego po raz ostatni. Ben pomyślał, że wyobraźnia płata mu figle, ponieważ zdało mu się, że widzi zraniony wzrok Sheere. Potem świetlista dama zanurzyła się w płomienie, unosząc dłoń, zanim Ben zdążył się zorientować, kogo ma przed sobą.

* * *

Wybuch rzucił chłopca na drugi koniec wagonu i jak niewidzialna rwąca rzeka wypchnął go z płonącego pociągu. Upadłszy na ziemię, Ben przetoczył się parę metrów po zarastających tory zielkach. Podniósł się czym prędzej i pobiegł za pociągiem, który pędził dalej prosto w pustkę.

Kilka sekund później wagon wiozący jego ojca wybuchł raz jeszcze z taką siłą, że stalowe belki podtrzymujące konstrukcję mostu wyleciały w powietrze. Kaskada płomieni uniosła się ku burzowym chmurom, rozsnuwając na niebie kurtynę ognia.

Wąż z ognia i stali runął w pustkę i chwilę później ostatni wagon zniknął w ciemnym nurcie Hooghly. Ognisty Ptak wydał ogłuszający huk przetoczył się nad Kalkutą, a ziemia pod stopami Bena zadrżała. Ognisty Ptak wydał

swoje ostatnie tchnienie. Razem z nim odszedł na zawsze jego twórca, Lahawaj Chandra Chatterghee.

Ben zatrzymał się i upadł na kolana. Od strony dworca Jheeter's Gate torami biegli ku niemu przyjaciele. Nad nimi wirowały w powietrzu tysiące białych łez. Ben uniósł wzrok i poczuł je na swojej twarzy. Śnieżyło.

* * *

W ten majowy świt 1932 roku członkowie Chowbar Society zebrali się po raz ostatni nieopodal zniszczonego mostu na rzece Hooghly, przed wejściem do zrujnowanego dworca Jheeter's Gate. Kalkuta budziła się ze snu otulona w śnieżny całun. Mieszkańcy miasta ze zdumieniem przyglądali się, jak białe płatki, osiadające powoli na ko-pułach starych pałaców, zasypują zaułki i nieprzeniknione zakamarki Maidan.

Podczas gdy ludzie wylęgali tłumnie na ulice, żeby zobaczyć ten cud, który nie miał się powtórzyć nigdy, członkowie Chowbar Society odeszli na bok, zostawiając Bena samego z Sheere. Nie mogli dojść do siebie po wydarzeniach ostatniej nocy. Ujrzeli na własne oczy, jak pociąg w ogniu stacza się w przepaść, a eksplozja płomieni rozdziera niebo piekielnym ostrzem.

Wiedzieli, że być może już nigdy nie odważą się mówić o tym, co przeżyli i czego byli świadkami, a jeśli nawet, i tak im nikt nie uwierzy.

Tego poranka zrozumieli jednak, że byli tylko przypadkowymi widzami tego

spektaklu,

przygodnymi

pasażerami

owego

pociągu

przybywającego z przeszłości. Bez słowa przyglądali się Benowi trzymającemu w objęciach siostrę. Powoli światło dzienne zaczęło rozpraszać mroki tej, zdawało się, niemającej końca nocy.

* * *

Sheere, czując na twarzy zimny dotyk śniegu, otworzyła oczy. Brat przytulał ją i głaskał po policzku.

- Co to jest, Ben?

- To śnieg - odparł chłopiec. - W Kalkucie spadł śnieg.

Twarz dziewczyny na chwilę pojaśniała.

- Mówiłam ci kiedyś, o czym marzę? - zapytała.

- Zobaczyc ośnieżony Londyn - odpowiedział Ben. - Tak, mówiłaś mi o tym. W przyszłym roku pojedziemy tam razem. Odwiedzimy Iana; już wtedy będzie studentem medycyny. I codziennie będzie padał śnieg.

Obiecuję ci to.

- Pamiętasz opowiadanie naszego ojca, Ben? To, które powtórzyłam wam, kiedy zaprosiliście mnie po raz pierwszy do Pałacu Północy?

Ben pokiwał głową.

- To łyzy Siwy, Ben - powiedziała z wysiłkiem Sheere. - Roztopią się, kiedy wstanie słońce. I już nigdy więcej nie spadną na Kalkutę.

Ben ostrożnie posadził siostrę i uśmiechnął się do niej. Głębokie, zamglone oczy Sheere patrzyły na niego przenikliwie.

- Ja umrę, prawda, Ben?

- Nie - odpowiedział Ben. - Nie umrzesz. Jeszcze nie teraz, masz mnóstwo czasu. Twoja linia życia jest bardzo długa, widzisz?

- Ben - wyszeptała Sheere - nie mogłam zrobić nic innego. Zrobiłam to dla nas.

Chłopak przytulił siostrę jeszcze mocniej. Sheere spróbowała się unieść i zbliżyła twarz do ucha Bena.

- Nie pozwól mi umrzeć samotnie.

Ben odwrócił wzrok i przygarnął siostrę z całej siły.

- Nigdy.

Zastygli tak, objęci pośród śniegu, nie mówiąc ani słowa, aż puls Sheere zgasł powoli niczym świeczka na wietrze. Szare chmury odpływały niespiesznie na zachód, a pierwsze promienie słońca osuszały na zawsze przykrywające miasto płótno białych łez.

Miejsca, w których chronię się smutek i nędza, to siedlisko opowieści o duchach i zjawach. Ciemna strona Kalkuty przechowuje setki takich historii, w które nikt, jak wszyscy zapewniają, nie wierzy, ale które mimo to potrafią przetrwać w pamięci pokoleń jako jedyna kronika czasów przeszłych. Można by powiedzieć, że, oświeceni szczególną mądrością, mieszkańcy Kalkuty rozumieją, iż prawdziwa historia tego miasta zawsze pisana była na niewidzialnych stronicach jego duchów, jego skrywanych, przemilczanych klątw.

Być może ta sama mądrość oświeciła w ostatnich minutach drogę Lahawaja Chandry Chatterghee

i pozwoliła mu zrozumieć, że zablądził

w labiryncie własnego przekleństwa. Być może pojął, z czeluści duszy skazanej na ciągłe rozjątrzenie ran przeszłości, prawdziwą wartość życia wszystkich, których zniszczył, i tych, których mógł jeszcze ocalić.

Nie sposób powiedzieć, co takiego ujrzał w twarzy swego syna Bena, że pozwolił mu wygasić płomień urazy w kotłach Ognistego Ptaka. Może w swym szaleństwie zdołał zebrać na chwilę rozsądek, odbierany mu przez jego niezliczonych oprawców od czasu Grant House.

Wszystkie odpowiedzi na te pytania, tak samo jak tajemnice, odkrycia, marzenia i pragnienia tego człowieka, zniknęły raz na zawsze w potwornej eksplozji, która rozsądziła niebo nad Kalkutą o świcie 30

maja 1932 roku. Zniknęły jak topniejące w pocałunku z ziemią płatki śniegu.

Tak czy owak, tuż po tym, jak pociąg w płomieniach zanurzył się w wodach Hooghly, kałuża świeżej krwi, w pobliżu której krążyła niemogąca zaznać spokoju dusza kobiety, matki bliźniaków, wyparowała na zawsze. Zrozumiałem wtedy, że dusze Lahawaja Chandry Chatterghee i jego towarzyski życia będą wiecznie odpoczywać w pokoju. Już nigdy więcej nie zobaczę w snach smutnych oczu Księżniczki Światła pochylającej się nad moim przyjacielem Benem.

Przez wszystkie te lata, od chwili kiedy wieczorem wsiałem na statek wiozący mnie do Anglii, nie miałem okazji spotkać się z przyjaciółmi. Pamiętam ich przelęknione twarze, kiedy żegnali mnie na nabrzeżu Hooghly, podczas gdy statek podnosił kotwicę. Pamiętam, jak przyrzekaliśmy sobie, że będziemy trzymać się razem i nigdy nie zapomnimy tego, co widzieliśmy i przeżyliśmy. Prawdą jest, iż w tym samym momencie zdałem sobie sprawę, że wszystkie te słowa na zawsze znikną w kilwaterze statku odpływającego w czerwonym zmierzchu Bengalu.

Na nabrzeżu stali wszyscy prócz Bena. Ale nikt nie był bardziej obecny w naszych sercach.

Wracając teraz pamięcią do tych dni, czuję, że wszyscy oni razem i każde z nich osobno żyją w mej duszy, w miejscu zapieczętowanym na zawsze tego wieczoru w Kalkucie, miejscu, w którym wszyscy jesteśmy szesnastoletnimi dziećmi, a duch Chowbar Society i Pałacu Północy trwa we mnie.

A jeśli chodzi o to, co każdemu z nas zgotował los - czas zatarł ślady niektórych z moich przyjaciół. Wiem, że Seth po jakimś czasie zastąpił

otylego De Rozio na stanowisku szefa Działu Bibliotek i Dokumentacji Muzeum Indyjskiego, stając się tym samym najmłodszym dyrektorem w dziejach tej instytucji.

Miałem również wieści o Isobel, która kilka lat później wyszła za mąż za Michaela. Ich małżeństwo trwało pięć lat, a po separacji Isobel wyjechała w świat z niewielką trupą teatralną. Czas nie odarł jej z dawnych marzeń. Nie wiem, co się z nią później stało. Michael, który mieszka do dziś we Florencji, gdzie uczy rysunku w gimnazjum, nie zobaczył jej nigdy więcej. Wciąż

czekam, aż znajdę jej nazwisko w obsadzie filmowego szlagieru.

Siraj zmarł w 1946 roku, spędziwszy pięć ostatnich lat życia w bombajskim więzieniu, skazany za niepopelnioną, jak twierdził, kradzież.

Zgodnie z przepowiednią Jawahala szczęście, które towarzyszyło mu owej straszliwej nocy, opuściło go na zawsze.

Roshan jest dziś szczęśliwym i majątnym kupcem, właścicielem części starych uliczek Czarnego Miasta, gdzie przyszedł na świat i spędził wczesne lata dzieciństwa jako bezdomny żebrak. On jeden wysyła mi co roku kartkę z życzeniami na urodziny. Z listów dowiedziałem się, że się ożenił, a cyfrom na jego kontach dorównać może tylko liczba biegających po jego posiadłościach wnuków.

Jeśli o mnie chodzi, życie obeszło się ze mną łaskawie. Wykorzystałem swój bilet w jedną stronę, żyłem spokojnie, nie odmawiając sobie niczego. Wkrótce po ukończeniu studiów otrzymałem propozycję pracy w klinice doktora Waltera Hartleya w Whitechapel; tam dopiero nauczyłem się naprawdę zawodu, o którym zawsze marzyłem i z którego utrzymuję się do dziś.

Dwadzieścia lat temu, po śmierci mojej żony Iris, przeniósłem się do Bournemouth, gdzie kupiłem wygodny dom, w którym mieszkam i przyjmuję pacjentów. Z okien rozciąga się widok na nadmorskie mokradła Pool Bay. Odkąd Iris mnie opuściła, żyję tylko wspomnieniami o niej i o tajemnicy członków Chowbar Society.

Po raz kolejny zostawiłem Bena na sam koniec. Nawet dziś, kiedy upłynęło ponad pięćdziesiąt lat, odkąd widziałem go po raz ostatni, trudno mi mówić o człowieku, który był moim najlepszym przyjacielem i pozostanie nim na zawsze. Dowiedziałem się od Roshana, że Ben zamieszkał w domu należącym do jego ojca, inżyniera Chandry Chatterghee, razem z Aryami Bose.

Mimo twardego charakteru, kobieta nigdy nie podniosła się po ciosie, jakim była dla niej śmierć ukochanej Sheere. Melancholia, w którą popadła, nigdy jej nie opuściła i stała się przyczyną jej śmierci.

Aryami zmarła w październiku 1941 roku. Od tego dnia Ben mieszkał i pracował samotnie w domu zaprojektowanym i wzniesionym przez ojca.

Tam właśnie napisał wszystkie swoje książki. Aż kiedyś zniknął bez śladu na zawsze.

Pewnego grudniowego poranka, lata po tym jak wszyscy, z Roshanem włącznie, uznali go za zmarłego, spoglądałem właśnie na mokradła z pomostu przed domem, kiedy listonosz przyniósł mi małą paczuszkę. Widniał na niej stempel pocztowy z Kalkuty oraz moje imię i nazwisko napisane charakterem pisma, którego nigdy nie zapomnę, choćbym nie widział go sto lat. W środku znalazłem owiniętą w kilka warstw papieru połówkę medalionu w kształcie słońca, który Aryami Bose przelała na dwie części - rozdzielając Bena i Sheere owej tragicznej nocy 1916 roku.

Dziś rano, kiedy pisałem o świcie ostatnie linijki wspomnień, pierwszy tego roku śnieg otulił

białym płaszczem krajobraz przed moim oknem, a wspomnienie Bena powróciło do mnie niczym echo dalekiego szeptu. Wyobraziłem go sobie, jak idzie zatłoczonymi ulicami Kalkuty, przeciskając się przez tłum, pomiędzy milionami historii, przemilczanych i nieznanymi niczym jego własna, i po raz pierwszy zrozumiałem, że mój przyjaciel także jest już starym człowiekiem, a jego zegar niebawem zatrzyma się na zawsze. Tak dziwnie jest czuć, że życie wymyka się nam z rąk...

Nie wiem, czy doczekam się jeszcze jakichś wieści o Benie. Wiem jednak, że w jakimś zakątku tajemniczego Czarnego Miasta chłopak, którego pożegnałem na zawsze owego poranka, gdy w Kalkucie spadł

śnieg, żyje, podtrzymując płomień pamięci o Sheere, i czeka, by połączyć się z nią w świecie, gdzie nikt ani nic nie zdoła ich już rozdzielić.

Mam nadzieję, że ją spotkasz, przyjacielu.

Table of Contents

[Rozpoczni](#)